OD KOLEBKI DO MOGIŁY.

OD KOLEBKI DO MOGIŁY.

Z Życia Zapomnianego Człowieka.

OPOWIADANIE

PRZEZ

J. I. KRASZEWSKIEGO.

TOM I.

WARSZAWA.
NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA.

1885.

Дозволено Цензурою.

Варшава, 9 Октября 1884 года.

Druk Braci Jeżyńskich (dawniej J. Ungra) Warszawa,
Nowolipki Nr 3.

LUDWIKOWI JENIKE,

w dowód szacunku i przyjaźni,

przesyła

Autor.

Drezno, 1883. Październik.

Nim uderzy ta godzina, która już blizką być musi, pozwól, kochany panie Ludwiku, abym na téj kartce wiotkiéj, zapisał wspomnienie długoletnich naszych stosunków, mojego dla ciebie szacunku i przyjaźni. Jest-to jakby przedwczesne pożegnanie, które usprawiedliwia teraz to, com przebył, znękanie i smutne myśli, których się pozbyć nie mogę.

Część téj powieści narodziła się in vinculis w ciężkim strapieniu i ucisku ducha, który i dotąd trwa jeszcze. Bądź więc pobłażającym dla mnie i dla niéj. Praca była niekiedy niemal życia warunkiem, odpędzaniem myśli natrętnych, i zmuszać się do niéj musiałem, walczyć z sobą... Nie wiem czy kto kiedy w moim wieku, w takim stanie umysłu i ducha, coś podobnego przedsiębrał i dokonał. Potrzeba było czasem wielkiéj siły i przemocy nad sobą, aby się przenieść w ten świat fantazyi, dla uniknięcia rzeczywistości.

Przyjmij tę więzienną robotę dobrém sercem i niech ci Bóg błogosławi do końca twego pracowitego żywota.

J. I. Kraszewski.

Młodość jest wiosną, a tylko wiosna jest życiem. Wszystko, co ją poprzedza i co po niéj idzie, jest przygotowaniem wielkiego dnia godów, lub po nim żałoby. Lata młodości, krótsze lub dłuższe, mają sobie wydzielone ludzie i epoki młodzieńcze są w narodów dziejach... W nich życie z ziemi, powietrza i słońca, z wszystkiego co nas otacza, czém oddychamy, czerpie istota raz kwitnąć mająca; soki i krew żywiéj płyną. Późniéj zastygają one, siły słabną, członki drętwieją, uśpienie nadchodzi i spoczynek, przygotowujący życie nowe. Któż tego nie czuł na sobie i nie widział wkoło siebie?

Nasza młodość przypadła—jest-li to złudzeniem czy rzeczywistością?—razem z epoką poczynającego się życia nowego, którego prądy ją krzepiły i poiły. Wierzyliśmy w piękną, jasną, idealną przyszłość, którą dziś zakryły nam może rusztowania nowego gmachu—ale zasłaniające niebio-

sa i wschód jutrzenki. Mrok jakby wieczorny i chłód wieczoru nas otacza.

Dziś mniéj jest młodości w młodych, a starzy—zwracają się po życie do przeszłości.

Była wiosna 182.... roku—jedna z tych, jakie niezawsze przychodzą, choć pora ta sławi się swym wdziękiem i blaskami. Kwiecień był ciepły i otworzył pączki uśpione; maj poléwał ziemię deszczem ożywczym; wesoło i raźno strzelało wszystko dogóry. Słońce otwiérało chmurki złociste, spuszczało promienie, grzało swe dziatki i śmiało się podniesionym ku niemu liściom i kwiatom. Była wiosna tak kwiecista, wonna, zielona, krzepka, żwawa, jakiéj dawno nie pamiętali ludzie. Z niezmiernym pośpiechem, nawyprzódki, rośliny rozwijały się cudownie. Często po jednéj nocy i poranku poznać nie było można tego, co wczoraj zaledwie się z czarnéj ziemi dobyło. Całe gromady i ćmy ptactwa śpiewały w niebiosach chwałę téj wiosny, budując gniazda i biegając za żérem. Ruch czuć było wszędzie i pracę odrodzenia.

Wśród lasów ciemnych, iglastych i jasno zieleniejących gajów brzozowych, w dolinie nad rzéczką i błotami—pół-senne leżało miasteczko, które od prastarych czasów mało się jeszcze zmieni-

ło. Nowe życie świéżo wlał w nie széroki, tylko co dokończony gościniec, kamieniem wysypany, twardo ubity, piérwszy, którym się kraj mógł pochlubić. Patrzano nań z dumą, czując że takiemi drogami płynie owoc trudu i przypływa dostatek. Przy nim stare drożyny i groble, rozbite kołami wozów, pokręcone dziwacznie, pół roku nieprzebyte, a drugie pół nieprzebrnione, zdawały się wstydzić swego zaniedbania i zgrzybiałości.

Z drogą bitą mieścina jakby odrodzoną się czuła. Lecz z długiego snu nikt prędko się nie budzi. Przeciérała oczy.... Zwolna ważyli się ludzie ponad gościńcem zakładać domostwa, budować dworki, otwiérać gospody.

Miasteczko jednak zachowało dotąd swą starą fizyognomią i tradycyjne swe życie, stanowiąc ognisko dokoła rozproszonych wsi, osad, wólek i włości. Tysiące ludzi z okolicy nigdy w życiu daléj na świat nie wyjrzało nad tę mieścinę, która im dostarczała wszystkiego, czego praca i przemysł własny nie dawały. Wielki rynek był jedyną targowicą, na któréj zbyteczne sprzedać, a potrzebne nabyć było można. Dokoła niego stały rozproszone budki, kramy i sklepiki, które zawiérały wszystko, czego tylko mieszkaniec wioski mógł pożądać. Tu on przyprowadzał swą krówkę lub cielę na sprzedaż, ztąd przywoził chustę kraśną dla żony, a czasem buty paradne dla siebie.

Pomiędzy tą małą stolicą a krajem, co do niéj należał, związek był odwieczny i ścisły. Znali się tu ludzie od pokoleń wielu. Do domostw przylegały tradycye; kramy miały ustaloną sławę, rody swe właściwości, przywary i cnoty. Wieśniak wiedział zgóry gdzie czego szukać i jak się obejść z tym, który mu miał pożądane dostarczyć. Szło się jak w dym do Icka, a witało z nim jak ze starym przyjacielem.

Prawie u granicy dwóch różnych ziem położone miasteczko, na wielkim szlaku do Warszawy, rezydencya główna rozległych dóbr przemożnéj rodziny, teraz osiérociało po niéj—miało olbrzymi, walić się już i rozsypywać poczynający w gruzy zamek, którego przekopy powysychały, a wały stare porastały drzewa, kilka murowanych kościołów, odwieczną farę i bogato wyposażone probostwo, a co najwięcéj je wbijało w dumę, szkołę, filią krakowskiéj macierzy. Stał przed nią na straży patron młodzieży, mądry a święty Jan Kanty, syn krakowskiéj matki i patryarcha jéj razem.

Mieścina, jak wszystkie nasze, w sercu swém była czémś do miast całego świata podobném; ale po skrajach rozpływała się i przeradzała w wioskę naszę. Przedmieścia były rolnicze i biédne.

Tu mieszczanin zmieniał się w rolnika, a nie-

kiedy rzemiosło w jednéj chacie łączyło się z gospodarstwem wieśniaczém i cepy a kosy stały obok warstatu w dobréj zgodzie.

Niegdyś, przed laty, zamek stanowił ognisko, z którego strzelały promienie dokoła; miasto było podzamczem tylko; teraz, gdy tu wszystko wystygło i umilkło, ruch i żywot skupiał się około szkoły.

Z małéj, rosła ona w coraz znaczniejszą i czynniejszą, z podległéj farze i oddalonéj akademii kolonii, na samoistniejszą i krzepką. Stary murowany budynek, który dawniéj starczył na pomieszczenie nauczycieli i klas niewielu, teraz coraz się stawał ciaśniejszym. Na szérokich placach, które do niego należały, zwolna zaczęły się wznosić dworki i domy, zapełnione nauczycielami i uczniami.

W sąsiednich ulicach mieszczanie poprzerabiali swe chaty na stancye studenckie. Szkoła przyniosła miasteczku życie nowe, a gdy wrzawliwa i wesoła młodzież na wózkach i bryczynach rozsypała się na wakacye, czuć było, że brakło żywiołu, który stanowił teraz jeden z najgłówniejszych dla miasta.

Wprawdzie wszystka ta gromada nie z bogatych dworów, nie z wielkich domów się tu zbiegała; dostarczały jéj szlacheckie dworki i osady, ekonomskie rodziny—lecz z tego ubóstwa liczne-

go składał się wkońcu dostatek. Co możniejsi stawali u profesorów, którzy licznych uczniów utrzymywali; uboźsi wciskali się do mieszczan, pod nadzorem starszych towarzyszów. W ten sposób u drzwi życia łączyły się z sobą, mieszały, poznawały, bratały różne stany i klasy, które w późniejszém téż życiu ociérać się o siebie i obcować z sobą miały. Szkoła taka była propedeutyką przyszłego żywota — przygotowywała do niego.

Około tak zwanéj Akademii, w domkach nauczycieli, skupiało się, co stanowiło wybór i śmietankę młodzieży. Coraz daléj od niéj rozsypane było ubóstwo, które późniéj często wyprzedzać miało i zaćmić na czele stojących towarzyszów. O kilka tylko kroków od murowanéj szkoły staréj z osobnym, małym ogródkiem, zarosłym bzami wiszniami dzikiemi—mieścił się dworek, od lat wielu zajmowany przez profesora Jana Bojarskiego. Wykładał on łacinę, uczył polskiego i zastępował czasem historyka. Na skromném swém stanowisku nauczyciela wydziałowéj szkoły, profesor daleko wyżéj sięgał nauką i wykształceniem, niżby się spodziéwać było można.

Spojrzawszy nań, poznać było łatwo rozbitka, który po burzy schronił się z rezygnacyą spokojną pod ten dach nizki.

Zdala czuć w nim było szlachcica, a może na-

wet żołnierza. Trzymał się prosto, miał ruchy wojskowe, w twarzy coś surowego i poważnego, zarówno żołnierzowi, jak pedagogowi przystającego. Średniego wzrostu, krzepki, niemal chudy, zdrów i silny, na smutném obliczu miał wyraz świadczący o ciężko przewalczonych latach, o których nigdy nie wspominał.

Pomiędzy tą straszną przeszłością, a życiem dzisiejszém związek był rozerwany, drzwi zawarte i zapieczętowane.

Pan Jan Bojarski nie okazywał wcale, aby mu z tém źle było. Po burzach został może obłoczek, jakby chmurka na czole, lecz w sercu było spokojnie i jasno. Uśmiechał się rzadko, ale też nigdy nie wzdychał. Całe jego życie było nieustanną pracą albo w szkole, lub nad stolikiem, książkami, z piórem w ręku. Zdawało się, że chciał nagrodzić lata stracone, lub pamięć ich zatrzéć.

W domu zastępowała go żona, która już latami wspólnemi nauczyła się z nim godzić i na swoje ramiona brać to, od czego pan profesor chciał się wyzwolić. Jedyny synaczek, gospodarstwo małe, kuchnia, kasa, rachunki do niéj należały.

Profesor nie mieszał się do nich wcale; był-to tak zwany departament jéjmości. Pani, niegdyś piękna blondyneczka, córka ubogiego szlachcica,

była dziś okrąglucbną, świéżą jeszcze, żywą a wielce pracowitą, wesołego usposobienia, wszystko różowo widzącą profesorową Magdaleną.

Pan Jan szanował ją, kochał i często słuchał, chociaż miłość dla żony więcéj życiem, niż jawną okazywał czułością. Nie było w jego charakterze serca tajemnicami dzielić się z kimkolwiek. Był wogóle milczący i zamknięty. Tylko gdy go coś poruszyło do głębi, gdy ktoś dotknął jego świętości, przekonań—poruszał się, wybuchał, stawał wymownym, piorunującym, aby po chwili, odzyskawszy panowanie nad sobą, znowu z powagą zamknąć się w zwykłém milczeniu.

Trafiało mu się to rzadko, bo nie każdego uznawał godnym tego, aby z nim stanąć choć do chwilowéj walki.

Urodzony w tych czasach, przed sejmem cztéroletnim, w których życie się nowe budziło i odrodzenie zwiastowało, gdy prądy z zachodu przebiegały masy zdziwione i niespokojne, profesor wiele miał w sobie tego, co przyniósł wiek XVIII.

Lecz w nim doktryny filozoficzne téj epoki, tak prędko spopularyzowane, cudownie padły na grunt chrześciański i szlachecki i przyjęły się tylko o tyle, o ile z nim mógł je pogodzić.

Filozofia i teorye społeczne XVIII w. niezaprzeczenie zaczerpnęły wiele ze źródeł niechrze-

ściańskich, doszły do nieprzyjacielskiego często stanowiska w kwestyach religijnych—lecz niemniéj nieświadomie, mimowolnie zapożyczały się téż z ogólnego skarbca ewangelii, przerobionego już w soki i krew żywotne ludzkości. Ci co się chrześciaństwa zapiérali, ślepi byli na to co z niego zaczérpnęli i zostali mu winni.

Profesor Jan ze spuścizny XVIII w. to tylko przyswoił sobie, co ona miała pięknego i jasnego: braterstwo ludzi, równość ich praw, obowiązek ofiary, powinność miłosierdzia, naostatek wielkiéj miłości prawo, stojące wyżéj nad wszystkiém i wszystko mieszczące w sobie. Co płynęło z tych zasad, było dla niego nienaruszoném i świętém.

Z głową podniesioną, z niezachwianą wiarą w te prawdy kroczył teraz spokojnie drogą życia, nieusłaną różami, ale niezatrutą téż żadną goryczą pragnień niedoścignionych.

Starczyło mu doskonale to co miał—nie żądał więcéj. Nadzwyczaj prosty i skromny sposób życia osładzała praca, a może dawniejsze żołniérskie nawyknienie do niewytwornego chleba powszedniego. Nie pozazdrościł nikomu ani zbytku, ani wygódek, ani pieszczonego losu. Uśmiechał się, gdy widział kogo przywiązującego wagę do tych fatałaszków i drobnostek. Smakował mu chléb razowy, czysta woda lub szklanka piwa.

Palił fajkę wprawdzie i nałóg ten sobie wyrzucał, ale tytuniem się ograniczał jaknajtańszym i najprostszym.

Skromne ówczesne płace nauczycieli nie wymagały téż po nim i żonie rachuby troskliwéj, aby na wszystko starczyły, a na czarną godzinę coś odłożyć dozwalały.

Syna mieli jednego tylko. Profesor łatwoby był mógł powiększyć nieco swe dochody, biorąc uczniów na stancyą; ale zatrudnienia jego, miłość swobody, wstręt do odpowiedzialności za często niekarną młodzież — po kilku próbach, wyrzec mu się kazały tego.

Jéjmość byłaby część ciężaru przyjęła na siebie, aby kasę domową zbogacić, i często do jednego lub dwu uczniów wzdychała, którzyby z sobą i do śpiżarni i do woreczka coś przynieśli; ale profesor głową potrząsał. Dla synaczka téż znajdował lepszém, aby sam był w domu, a on mógł czuwać nad nim wyłączniéj.

Młody Bernardek, ukochane obojga rodziców dziécię, pieszczone przez matkę, surowo chowane przez ojca—był chłopięciem wielkich nadziei. Zawczasu okazywał, że z krwią po ojcu wziął nietylko temperament, charakter jego, ale nawet nasiona myśli i zasad jemu właściwych. Gdy z jednéj strony matka czułościami i pieszczotami karmiła serce, z drugiéj ojciec rozwijał umysł

rozmowami do wieku dziecka zastosowanemi. Bernardek słuchał go z wielkiém i żywém zajęciem, a że od dzieciństwa książkami był otoczony, bawiony, nawykły do nich, wcześniéj niż zwykle dzieci zabrał z niemi bliższą znajomość. Zaciekawiły go, zajęły, stały się potrzebą... Matka znajdowała, że na swój wiek zanadto się w książkach zatapiał; ojciec, uśmiéchając się, ręką potrząsał, nic nie mówił i nie podbudzał, ale téż nie odstręczał.

Bernardek bardzo często znajdował w nich rzeczy, których zrozumiéć nie mógł; uciekał się naówczas do ojca, który mu je tłumaczył.

W szkole, choć syn pana profesora, nie miał Bernardek żadnych przywilejów. Tu ojciec własny surowiéj może niż z innymi z nim się obchodził i nie pobłażał w najmniejszéj rzeczy.

Syn ojca, który był jeszcze wcale przystojnym mężczyzną, matki, co niegdyś była piękną, chłopak nie odziedziczył po nich powierzchowności wiele obiecującéj. Był małego wzrostu, rozwijał się zwolna; na twarzy bladość chorobliwa nadawała mu pozór cierpiącego, chociaż nie chorował i wiele znieść mógł, nie skarżąc się. Oczy tylko ciemne, żywe, wyraziste o sile młodéj duszyczki świadczyły.

Ojciec miał nadzieję, że z tego Bernardek wy-

rośnie, a gdy matka zbytnią go troskliwością i pieszczotami otaczała, krzywił się.

— Widzisz jéjmość—powiadał—wszystko to dobre, bo pochodzi z macierzyńskiego serca; ale trzeba mieć przyszłość na oku. Człowieka nie miękczyć należy, lecz hartować, bo go czekają próby w życiu ciężkie, które rozpieszczony boleśnie czuć będzie.

Kończyło się na tém, że jéjmość musiała taić przed ojcem swą troskliwość o jedynaka.

Bernardek dochodził właśnie lat dwunastu.

Dworek Bojarskich, zwany ich imieniem, bo go od bardzo dawna zajmowali, nie był ich własnością. Wzdychali nieraz, że nabyć go nie mogli, lecz *res angusta domi* zdobyć się na to nie dozwalała. Gdy się zebrało cokolwiek grosza, zawsze od dobrodusznych i uczynnych ludzi ktoś zapas ten wyłudził i najczęściéj odzyskać go już nie mogli. Najmowali dom od mieszczanina, który daléj nieco w drugim mniejszym się mieścił. Miał dworek ów dla nich tę wielką dogodność, że był o trzy kroki od tak zwanéj Akademii położony. W słotę profesor na lekcyą szedł pod olbrzymim szarym parasolem, po kładkach, które go suchą nogą prowadziły do drzwi starego budynku. Oprócz tego był jakby dla téj rodziny umyślnie postawiony, a tak się w nim, niby ślimak w skorupie, mieścili i rozporządzali, jakby

istotnie byli u siebie w domu, na własnych swych śmieciach. Nie różnił się zresztą od mnóstwa innych dworków miejskich, chyba tylko małym o dwóch słupkach ganeczkiem. Ogródek opasujący go dokoła, niewykwintnie utrzymywany, służył pani profesorowéj zarazem dla uciechy i pożytku. Było w nim trochę kwiatków pospolitych, wiecznie odrastających, z których czasem wiązał się bukiecik, ale miał téż grządki, na których się uprawiała włoszczyzna do kuchni potrzebna, trochę kartofli, odrobina kapusty i—zagon szparagów. O to się postarała jéjmość i z tryumfem je pokazywała, chociaż niewiele z nich było pociechy.

Profesor raz tylko kulturę tytuniu spróbował na jednéj grządce, lecz przekonawszy się ile pracy wymagała, wprędce ją zarzucił. Gra świécy nie była warta. Wolał bakun, lub besaraba kupować.

W dziedzińcu obszérnym, wspólnym z innemi dworkami, była najlepsza studnia w téj części miasta, po staremu jeszcze z żórawiem.

Pobudowany przed laty wielu, dworek się już był trochę w ziemię zasunął, a nigdy bardzo wysoko nie podnosił się nad nią, tak że teraz przez okno, wrazie konieczności, łatwo wnijść i wyjść było można. Tą drogą Bernardek chadzał, ale tylko gdy był małym jeszcze chłopakiem.

W pośrodku sień na przestrzał prowadziła do ogródka; izby mieszkalne i gospodarskie po obu stronach rozłożone były. Więc w lewo duży gościnny, za nim kancelarya, będąca razem biblioteczką, i sypialny rodziców, przy którym jeszcze alkierzyk był dla Bernardka.

Z sieni, przyozdobionych drabiną do wnijścia na strych, gdzie się rozwieszała bielizna podczas słoty i chroniły stare graty—przechodziło się do kuchni, przy któréj izba była dla staréj, gadatliwéj, ale pracowitéj Katarzyny, kucharki, sługi razem pani i pomocnicy jedynéj w domu.

Chuda jak szkielet, okrutnie brzydka, nieprzystępna, wszystko wiedząca, nieposkromionego tak języka, że nie mając do kogo, mówiła godzinami sama do siebie, Katarzyna pracowała za dwie, ale téż cierpliwości i dobrego humoru profesorowi było potrzeba, ażeby z nią wytrwać. Kłóciła się nawet ze swą dobrą panią, dziękowała za służbę bardzo często — lecz od lat więcéj niż dziesięciu jéj nie porzucała.

Śpiżarnia i skład zajmowały resztę dworku. Jak widzimy, nie było tu nawet gdzie uczniów pomieścić. Dawniéj skład bywał izbą studencką, lecz teraz go inaczéj zużytkowano.

W bawialni odwieczny sprzęt pokryty perkalikiem, stół prosty, niewytworna komoda, szafeczka, wszystko zużyte, niełądne i niemające do

wdzięku pretensyi, odpowiadało koniecznéj życia potrzebie. Lecz do tego wszyscy tak byli przywykli, że najwytworniejsze meble starych przyjaciółby nie zastąpiły.

Był urok pewien w téj prostocie, w tém ubóstwie, które się ani kryło, ani maskowało.

Na oknach kilka wazoników z kwiatami zawierały geranium, różyczki i myrt podobno weselny pani Magdaleny. Para sztychów zdobiła ściany: książę Józef tonący w Elstrze i Kościuszko, któremu cesarz Paweł pałasz i swobodę powraca.

Wielkie drzwi pojedyncze, prawie zawsze otwarte, wiodły do tego pokoju profesora, do którego, gdy on w nim pracował, na palcach się i pocichu wchodziło. Tu naprzeciw okna duży stół, atramentem poplamiony, zarzucony był zawsze papierami, książkami, seksternami, notatkami; wysiedziany przed nim fotel, wypolerowany użyciem długiém, mógł się już obejść bez politury. Niekiedy umbrelka zielona, któréj profesor czasem używał gdy zmęczył oczy, leżała na nim.

Przy ścianach stały proste, sosnowe półki książek pełne, inne zawieszone były na nich. Wszędzie zresztą, gdzie miejsce się znalazło, zajmował je foliant lub ósemka nowsza. Lecz myliłby się, ktoby wnosił z tego, że profesor miał liczną bibliotekę. Wyjąwszy nieodzownie potrzebne i naj-

ulubieńsze książki, Bojarski nie kupował innych bo nie mógł; pożyczał je albo z ubogiéj biblioteki szkolnéj, lub z klasztornych, a nawet od obywateli, u których coś się przypadkiem znalazło. Studenci, wiedzący jak książki lubił, jak ich potrzebował, przywozili mu je z wakacyj w podarku, lub do czytania.

Bojarski miał zwyczaj z każdéj jaką czytał czynić wyciągi i tych rękopisów, oprawnych niewyszukanie, stało już kilka rzędów na półkach. Pożyczał je czasem studentom, a było to znakiem zaufania i dobréj opinii, któremu z nich swoje *Miscellanea* powierzył.

Tym sposobem, nie mając zbyt obfitéj biblioteki, profesor mógł z notat swoich czerpać, co mu było potrzebném do wykładów i do pracy. Na fotelu spędzał on wszystkie wolne godziny dnia i część nocy, przy świécy łojowéj, osłonionéj umbrelką.

Jéjmość często, wykłóciwszy się z Katarzyną, opatrzywszy wszystkie kątki, odmówiwszy pacierze, położywszy spać Bernardka, twardo już zasypiała, gdy Bojarski, zatopiony w nowéj książce, lub śpieszący z przepisywaniem, jeszcze trwał przy stole, dopóki łojówki starczyło. Od tego żadna siła ludzka oderwać go nie zdolała. Gdy mu się co podobało, a dzieła dla ceny jego nabyć

nie mógł, przepisywał często poemata całe, całe tomy.

Biblią tylko, Homera, Wirgiliusza, klasyków łacińskich, kilka dzieł filozoficznych, niektóre pisma Rousseau miał na własność dawniéj nabyte.

Życie się tu wiodło jaknajprostsze, a godziny szkolne wpływały na jego rozporządzenie. Zrana szło się do szkoły na godzin kilka, wracało najczęściéj, gdy już Katarzyna wazkę starą i poobijaną z krupnikiem lub mlékiem na stół wnosiła. Kawałek mięsa przyprawnego jaknajprościéj, jarzyna, kasza, chléb żytni, szklanka piwa, starczyły niewymyślnym podniebieniom. Cieszono się z młodych kartofli jak z łakoci, smakowano w groszku świéżym i radowano zdrowéj marchewce z własnego ogródka.

Dawniéj profesor pijał kieliszek wódki przed obiadem; późniéj wyrzekł się i tego. Piwo z miasteczka starczyło, a woda ze studni świéżo przyniesiona była bardzo dobra.

Dwa razy na tydzień, gdy po obiedzie lekcyj nie było, profesor więcéj miał czasu do pracy, wcześniéj ją kończył i z synem, przybiérając mu kilku towarzyszów, wychodził albo na wały zamkowe na przechadzkę, lub daléj za miasto.

Naówczas chłopięta szły przodem i swawolić trochę wolno im było. Bojarski kroczył zadumany, z głową podniesioną dogóry, uśmiechając się

przysłuchując, lubując naturą, któréj był wielkim wielbicielem, a niekiedy w rozmowę się wdając ze swą gromadką.

W powrocie do miasta zwyczajem było, że młodzież pieśń jakąś Karpińskiego, lub nowszą Brodzińskiego intonowała. Przechadzki te odświéżały, rozweselały starego pedagoga, przypominały mu może dni jego młodości; wracał z nich zwykle weselszy, a nawet niekiedy żartobliwy. Jéjmość rzadko mu w nich towarzyszyła, bo nigdy wolnego nie miała czasu. Choć trzy tylko osoby były w domu, nad któremi czuwać musiała, cérowania, obrębiania, naprawek, prasowania, dozorowania praczek miała dosyć od rana do wieczora. Ledwie mogła podołać wszystkiemu z pomocą Katarzyny, która do igły i bielizny ani ochoty, ani wprawy nie miała. Nieustanne paplanie często ją z igłą w ręku trzymało nieporuszoną godzinami.

Wracających z przechadzki profesorowa witała zwykle w ganku, na którym, sparta o poręcz ławki, siadywać lubiła. Tu do niéj przychodziły z innych dworków kumoszki, przyjaciółki, sąsiadki, aby pogawędzić trochę. Sąsiedztwo w ogromnem podwórzu było liczne, nie rachując rodziny rektora, który w murowanéj Akademii mieścił się na górze. A że profesorowie inni wszyscy prawie studentów wielu utrzymywali, dziedziniec

rzadko bywał niezaludniony i spokojny. Grywano tu w piłkę, odbywały się gonitwy, a w odległych zakątkach straszne niekiedy i krwawe staczały się boje. Dodawszy do tego tyle kucharek i sług płci obojga, ile było domków — można sobie wystawić, jakie życie w pewnych godzinach wrzało i rozlegało się na podwórzu akademickiém.

Najciszéj jednak było zawsze około studni i dworka Bojarskich, dla których pewne miano poszanowanie. Profesor obudzał je swą powagą, sama pani dobrocią i uprzejmością.

W ganku dnia jednego wiosennego, pogrążony głęboko w książce, siedział Bernardek. Czytał chciwie, brwi namarszczywszy, tak zajęty, że nie spostrzegł, gdy ojciec z fajką wyszedł i stanął na progu, przypatrując mu się z pociechą, która się na jego twarzy malowała. Trwało to dosyć długo.

— Cóż to czytasz z takim zapałem?

Chłopak książkę odrzucił, podniósł oczy śmiało i uśmiéchając się raźno, odpowiedział:

— Historya, tatku.

— Cóżeś w niéj znalazł, żeś się tak nad tém zasępił?—rzekł ojciec.

Bernardek pomyślał trochę, nim się zebrał na odpowiedź.

— Myślałem — rzekł powoli — czy to zawsze ludzie byli tacy jak teraz, gorsi dawniéj, czy lepsi?

— A jakże ci się zdaje?—z łagodnym uśmiechem ciągnął dalej profesor.

Bernardek oczy trzymał spuszczone na książkę.

— Ja nie wiem—rzekł—bo jużciż mało znam, co się dziś na świecie dzieje; ale czytając historyą... Sokratesy, Kurcyusze, Leonidasy, Katony... tylu bohatérów, taka pogarda śmierci, takie piękne charaktery! Chyba już dziś o ludzi równych im trudno.

Profesor westchnął.

— Są i dziś—odezwał się—wielkie charaktery, lecz i wiele zepsucia się wkradło.

— A przecież—przerwał chłopiec, bijąc ręką chudą po książce — myśmy czémś lepszém być powinni od pogan, bo mamy naukę Chrystusa...

Tu zamilkł, jakby zaszedł zadaleko.

— Nauka Chrystusa — odparł ojciec poważnie—wydała téż swych wielkich ludzi. Czytaj historyą piérwszych wieków chrześciaństwa i męczenników za wiarę. To są téż bohatérowie, choć wielkość ich i świętość inny wcale ma charakter...

— No, ale dziś, dziś! — przerwał ciekawy chłopiec.—Ani takich bohatérów, jak w starożytności, ani takich męczenników, jak w piérwszych wiekach chrześciaństwa, nie widać i nie słychać. Więc chyba się świat popsuł, proszę tatki?

Bojarski długo, smutnie popatrzył na swe dziécię.

— Zkąd ci te myśli przychodzą? — rzekł spokojnie. — Dziwna rzecz!

— Albo ja wiem? — odparł Bernardek, ruszając ramionami.

Zamilkli obaj. Profesor począł po chwili:

— Tak, tak, mój chłopcze. Być może, iż świat się trochę popsuł. Niéma ani cnót starożytnych, ani świętości chrześciańskich: wszystko za groszem goni, za rozkoszą, za używaniem...

— To źle! — ogniście przerwał Bernardek.— Trzeba się to starać naprawić.

Rozśmiał się głośno ojciec i ręką białą, długą pogłaskał go po krótko ostrzyżonych włosach.

— Tylko się ty nie wybiéraj być bocianem!— dodał czuléj. — Źle tym na świecie, co roją, że świat mogą przerobić.

— Tak, ale to obowiązek, ale to...—Bernardek zabełkotał i chwilę się zamyślił. — Mnie się zdaje — dodał — że nie porywając się innych przerabiać, gdyby każdy siebie tylko starał się uczynić jaknajlepszym, zarazby inaczéj było. A to każdy przecie może.

Chłopak wypowiedział te słowa z taką energią głębokiego przekonania i siłą, że Bojarskiego twarz radością rozpromieniała. Nie chciał go w dumę wbijać pochwałą, ale myśl ta dziecka, tak piękna i tak trafna, serce mu błogiém poruszyła uczuciem.

Zbliżył się i, nic nie mówiąc, pocałował go w głowę.

Za Bojarskim stała w sieni matka; słuchała milcząca. I jéj się téż w oczach łzy zakręciły, lecz nie pokazując się i nie mówiąc nic, pocichutku zakręciła się i znikła.

Bernardek dumał.

— Pójdź się w piłkę pobaw z kolegami—odezwał się profesor.—Książka bardzo dobra rzecz, ale czasem młodemu i biegać, i poswywolić i poruszać się trzeba.

— A tatko zawsze nad książkami siedzi — rzekł Bernardek, wesoło z ławki powstając.

— Bom stary—tłumaczył profesor—i przeszły dla mnie lata ruchu, a nastąpiły po nich dni cichéj pracy spokojnéj, które przyjdą kiedyś i dla ciebie.

Nic nie mówiąc, posłuszny chłopak położył książkę na ławce i biegiem raźnym popędził w głąb dziedzińca, gdzie się śmiechy chłopców i uderzenia piłek w łapy rozlegały.

Bojarski zajął jego miejsce na ławie. W chwilkę potém pocichu przysunęła się jéjmość i usiadła koło niego.

— Proszę ja ciebie — rzekła pocichu do męża — zkąd temu błazenkowi takie myśli?

— Słyszałaś? — rozśmiał się profesor.

— A jakże...

Bojarski podumał trochę.

— Boję się, abym jako ojciec dla dziecka mojego nie był uprzedzonym—powiedział powoli;—ale wistocie, chłopiec na swój wiek zadziwiający... I cieszy mnie to, i przestrasza. Naprzód że niezawsze wczesne rozwinięcie zwiastuje umysł potężny, powtóre że gdyby poszedł w tym kierunku, moja jéjmość, z temi przekonaniami nie znajdzie szczęścia na świecie...

— Ależ-to, panie Janie, przekonania, które ty sam mu wpoiłeś...

— Tak—westchnął Bojarski—bo celem życia ludzkiego na ziemi nie jest szczęście jednostek, ale coraz potężniejsze dźwiganie się ogółu. Muszą być ofiary, a ci, co najwięcéj czynią, najmocniéj téż cierpią. Będzie czy nie będzie szczęśliwym—dodał—los o tém postanowi; ale czystym, poczciwym, szlachetnym być powinien.

— A czemuby nie miał nim być w spokojnym kątku, na małym zagonie, nie porywając się na wielkie rzeczy?—odszepnęła matka.

— Zapewne—odparł Bojarski—ale my o tém nie rozstrzygamy; zdolności i usposobienie zawyrokują.

Długie dumanie rodziców nastąpiło po téj któtkiéj rozmowie. Profesor miał twarz zasępioną, jéjmość łzy na oczach, oboje myśleli o dziecku, które biegało już wesołe, dawszy się wciągnąć w ożywioną grę towarzyszów.

Zaczęło się zmierzchać, następowała godzina wieczerzy; kluseczki z mlékiem niosła na stół Katarzyna. Profesor ręką dał znać Bernardkowi, który, zarumieniony i ożywiony, pędem przybiegł na zawołanie.

I razem z matką weszli do bawialnego pokoju, w którym jadano.

Podwórce dwa przy akademii, połączone z sobą, stanowiły jakby świat oddzielny, mający właściwe sobie życie.

Wszyscy ich mieszkańcy znali się, przyjaźnili, nawykli byli widywać się codzień, pomagać sobie wzajemnie, stanowiąc jakby jednę rozgałęzioną rodzinę. Mimo plotek sług, mimo nieuniknionych czasem sporów o drobnostki, zgoda i pokój panowały między dworkami profesorów. Wszyscy o sobie byli jaknajdokładniéj uwiadomieni, najmniejsza czynność, wypadek najobojętniejszy dla nikogo nie był tajemnicą. Długo jednemi losy połączona gromadka, gdy z niéj śmierć lub zrządzenie oderwało kogo niespodzianie, bolała, czując brak i pustkę, którą zostawiał po sobie. Nie było tu tajemnic: wszyscy żyli pod okiem i kontrolą ogółu, który się żywo zajmował każdym ruchem, niepowodzeniem lub pomyślnością.

Nie potrzebował nikt odzywać się o pomoc do sąsiada, bo, na sam odgłos że jéj ktoś mógł żądać, ofiarowano się zewsząd, śpiesząc i dobijając, ażeby była przyjętą.

Trafiało się wprawdzie, że długie sług języki zasiały złe ziarno i starały poważnić, ale wprędce otwarte postępowanie starą zgodę przywracało.

Nie było w zwyczaju zapraszać się na obiady, wyprawiać podwieczorków, wyjąwszy imieniny, bo wszyscy profesorowie, żyjąc z pensyi i utrzymywania studentów, mając sami dzieci, ściśle rachować się musieli z każdym wydatkiem; ale dzielono się tém co Bóg dał przy każdéj sposobności. Nadchodzący czasu obiadu lub kawy, zasiadał do spożycia bez ceremonii. Gdy czasem rodziców lub krewnych studentów, przybyłych do miasteczka, przyjmować musiano—a nie starczyło naczynia i nakrycia, których nigdzie do zbytku nie było—zapożyczano się wzajemnie. Kuchnie wszystkie zostawały w związku z sobą; wiedziano co się gdzie gotowało; niedostatek świéżego mięsa lub chleba dawał się zarówno wszystkim odczuwać. Naówczas zapas jednéj śpiżarni drugiéj w pomoc przychodził.

Proste pożywienie studentów stanowiło tu jednę z najdotkliwszych trosk codziennnych, bo, choć młodzież w niém nie przebiérała wiele, nigdy jéj dosyć nastarczyć nie było można.

Tak samo ratowano się w przypadku choroby radą i aptéczkami domowemi, a często doktora zastępowało doświadczenie starszych pań, które na wszystkie dolegliwości miały niezawodne recepty.

Trudny dozór nad nieuchodzonemi swywolnikami ułatwiały oczy sąsiadów i sąsiadek, czuwając nietylko nad tymi, którzy ich dozorowi powierzonymi byli, ale nad całą gromadką. Ostrzegano się pocichu i nic nie uszło bezkarnie. Młodzież téż zarówno swoich się wystrzegała gospodarzy, jak sąsiadów.

Nietylko zresztą interes wspólny łączył panów profesorów i ich rodziny, ale nawyknienie i z niego rosnąca miłość.

Dworek Bojarskich, choć nie należeli ani do najzamożniejszych, ani do największy wpływ tu wywiérających osób — był w powszechnéj estymie. Małomówny profesor, choć nie stronił od ludzi, był w sobie zamknięty i milczący, a do spraw cudzych dobrowolnie się nie mieszał; sama jéjmość waśni najmniejszéj unikała, niosła z sobą zgodę, pociechę i uśmiéch pobłażający. Chętnie nawet jakąś ofiarą gotową była okupić pokój, jeśli mu co zagrażało.

W tak zwanéj Akademii, najbliższéj Bojarskich, zamieszkiwał jeden tylko rektor, mąż już niemłody, poważny, jak na zwierzchnika zakładu

przystało, ojciec rodziny z kilkorga niedorosłych dzieci się składającéj, człowiek dobrego serca, wielkiego taktu, który umiał pozyskać sobie należyte uszanowanie, nie ciążąc zbytecznie nikomu. Milczący, pracowity, prawie zawsze w domu zamknięty, rządził szkołą, nie dając czuć nadto zwierzchnictwa swojego. On i żona jego, dziećmi, studentami i gospodarstwem zajęta, dzielili we wszystkiém losy swoich towarzyszów, niezbyt się nad nich wynosząc. Rektorowa przychodziła czasem na ganek do Bojarskiéj, aby z nią poufale pogawędzić o sprawach powszednich. Dom-to jednak był nie tak dostępny, nie tak spoufalony z innemi, jak drewnianych dworków mieszkańcy. Pewna aureola otaczała rektora, chociaż nie dobijał się o nią, a o drobnostkach powszedniego życia wiedział i troszczył się o nie mało. Ogólne sprawy szkoły pochłaniały go całkiem, a trochę wolnego czasu poświęcał czytaniu.

Rektor żył zresztą tak zamknięty na swém piąterku, iż rzadko go na dole widywane. Studenci stojący u niego mieli czuwającego nad nimi dozorcę. Kuchnia tylko rektorska, w dziedzińcu pobudowana, łączyła tę na wyżynach żyjącą rodzinę z najbliższymi sąsiadami, zdradzając wszystkie tajemnice gospodarskie i troski powszednie.

W lewo, nieco oddalony od murowanego gma-

chu, poza stajnią i drwalką, wznosił się obszérny, największy z dworów, który profesor Wilhelm Sprenger oddawna zajmował. Był-to najzamożniejszy ze wszystkich przedsiębiorca, u którego stacya nie kosztowała wiele, utrzymanie było jaknajprostsze, na studentów zbyt może pilnego nie zwracano oka, ale uganiano się za największą ich liczbą. Sam profesor i dwóch dozorców starczyli ledwie na utrzymanie w pewnym porządku młodzieży. Był to jakby konwikt, nieustającemi kłopotami niedający spocząć ani Sprengerowi, ani jego żonie i siostrze, zajmującym się gospodarstwem.

Liczba uczniów niemajętnych, na stancyi u Sprengera, niekiedy dochodziła do dwudziestu, tak że gdy na przechadzkę wyciągali szeregiem, ustawieni od najmłodszych i najdrobniejszych aż do chłopów pod wąsem, jak pułk się wydawali groźny i nieokiełznany.

Sprenger spekułował na jaknajtańszém żywieniu i przysposabianiu powierzonych sobie dzieci, obchodząc się z niemi dosyć szorstko i surowo, a z trudnością karność mogąc utrzymać między swywolnikami. Był-to maleńki, ruchliwy, zręczny, praktyczny wielce człowiek, któremu szło głównie o robienie grosza. Dla pozyskania go, czynił téż wszelkiego rodzaju ustępstwa rodzicom, dzieciom, zwierzchności i kolegom, nie prze-

chodząc jednak pewnych granic, któreby go na odpowiedzialność narazić mogły. W szkole gotów był wykładać wszystko, co się nastręczało; w domu faworyzował wybrańców, a pilnował, aby w końcu roku odłożyć coś dla dzieci. Żona i on rachowali się pilnie, ściśle i stół Sprengera wsławiony był z tego, że najtańszemi wiktuałami i bardzo skąpo karmiono. Gdy szemrania zbyt się już czuć dawały, następował lusztyk jeden po drugim, chwilowy dostatek, który zmuszał do milczenia, a po nim dawny porządek wracał. Głodne dzieci ratowały się wówczas pod okna podkradającą się starą Fejgą, roznoszącą w koszykach bułki, makagigi, pierniki i owoce. Mało który z nich dłużnym jéj nie był.

Sprenger uchodził tu za Krezusa, ale mało mu kto tego zazdrościł, bo kłopotów miał wiele, niepokój w domu ciągły i gdyby nie zabiegliwość jego i umiejętność życia, zagryźćby się musiał. Żona chodziła żółta jak cytryna z nieustannéj troski, a siostra jéj, stara panna, któréj studenci najwięcéj się obawiali, była nietylko w kuchni czynną, ale i dozorcom w utrzymaniu ładu dopomagać musiała. Miała téż głos, postawę, silną dłoń i charakter nieustraszony potemu.

Sprenger był z powołania matematykiem, ale z potrzeby dawał i historyi naturalnéj, i fizykę wykładać był gotów, a dla przypodobania się

zwierzchności choćby katechizm, którego nie umiał.

Nie lubiono go bardzo, ale nieprzyjaciół nie miał. Rektorowi służył i okazywał mu najuniżeńsze poszanowanie, wyprzedzając myśli jego; tak samo kolegom gotów był z pomocą, bo się ich obawiał, a na walkę czasu nie miał.

Nauki miał mało, ale zato zręczności wiele i ta starczyła za wszystko. Ospowaty, ciemnéj płci, mały, włosów na głowie kręconych, trochę łysy, zawsze uśmiéchnięty, niezmordowany, ruchliwy, biegał raczéj niż chodził, widział i wiedział najlepiéj, co się gdzie działo: ale do niczego się nie wtrącał, nie życząc sobie, aby i w jego sprawy wglądano ściśle. Raz doroku, na imieniny pani Sprengerowéj, wydawał podwieczorek, słynący ze wspaniałości, na który kupował kilka butelek wina. Studenci téż dnia tego mieli łakoci podostkiem i zapominali, jak często zato głodnymi być musieli dni powszednich.

Ze Sprengerową, która nieustannie skarżyła się, bolała, utyskiwała, pani Bojarska żyła mało, widywały się jednak czasami. Profesor zimnym był dla kolegi, znajdując że to powadze stanu uwłaczało z uczniów chcieć sobie robić majątek. Nie wdawał się jednak w krytykę. Sprenger, czując go zimnym, tém bardziéj mu nadskakiwał i gdzie jaką książkę pochwycił, biegł z nią do

Bojarskiego, aby mu się przysłużyć. Znał tę jego słabą stronę, a był to jedyny sposób przekupienia go. Pani Magdalena wówczas, ujęta tą uczynnością dla męża, mówiła, że *jednak* Sprenger niezłym jest człowiekiem.

Był on nim wistocie, ale miał to we krwi, że zbyt pamiętał o sobie... Mniejsze o wiele domostwo niedaleko zamieszkiwał nieżonaty, siostrę wdowę mający do pomocy profesor Tragczyński. Tu nie przyjmowano nigdy więcéj nad kilku studentów, żywiono ich doskonale, ale nadzór był surowy i pilny, karność straszna, czuwanie nad nimi nieustanne. Osławionych ze swywoli nie brał wcale Tragczyński, kazał sobie płacić drożéj, ale za uczniów ręczył, że się uczyć musieli i rozwydrzéć nie mogli.

Profesor historyi powszechnéj, niemłody już, jak wszyscy prawie pedagogowie, powierzchowność miał surową, sztywną i poważną. Namiętnostką jego było czytanie gazet i zajmowanie się polityką europejską, o któréj jak z trójnoga wyrokować lubił. Niezbyt rozmowny, gdy wpadł na ten przedmiot ulubiony, był niewyczerpanym. *De publicis* nikt téż nad niego lepiéj informowanym nie był.

Siostra, zajmująca się gospodarstwem, mająca dorosłego syna, który do szkół wojewódzkich przejść się gotował, prowadziła dom z wielką

starannością, a nawet z pewną pretensyą do elegancyi.

Tragczyński uchodził za światłego ze wszech miar człowieka i był nim wistocie. W polityc tylko marzycielstwo i przewagę fantazyi zarzucić mu było można.

Dodawszy państwa Boberkowskich, którzy też studentów mieli kilku i z trudnością sobie z nimi rady dawali, bo szczęście im nie służyło, będziemy mieli cały kompleks akademickiego dziedzińca. Pokorny, skromny, zbiedzony Boberkowski był zbyt miękkim człowiekiem, dobrodusznym i łatwowiernym, aby z młodzieżą mógł sobie dać rady.

Chciał prowadzić studentów dobrocią i przemawianiem do nierozbudzonego sumienia, lecz oszukiwano go niemiłosiernie. Chora ciągle, obwiązana, skarżąca się jejmość niewielką była mu pomocą. Młodzieży źle nie było u Boberkowskich, ale im z nią niedobrze.

Tu często pani Bojarska w pomoc ze swą wesołością, jasnym wzrokiem i dobrą radą przychodzić musiała. Sam profesor był gaduła, potrzebujący się wywnętrzać, chociaż go za dobre i miękkie serce lubiono. W klasie mało miał poszanowania, ale spółczucie powszechne. Ci nawet, co nadużywali jego nieopatrzności, przywiązywali się do niego.

Do tych rodzin dodawszy licznych studentów, będących pod ich opieką, można sobie wystawić, jaki ruch i życie w podwórcach, na które dworki wychodziły, panować musiały. Żywioł niewieści był wogóle przez niemłode już panie reprezentowany; dwie tylko dorastające Sprengerówny, nieładne, ale rozbudzone i żwawe, mogły młodzież pod wąsem na pewną narazić pokusę, bo były śmiałe i zalotne. Szczęściem wdzięków im poskąpiła natura.

Studenci, poczynając od ośmio i sześcioletnich dzieciaków, aż do spóźnionych na ławie drabów, co po dwa i trzy lata w jednéj wysiadując klasie, do końca wydziałowych szkół dobić się nie mogli— stanowili bardzo różnorodną falangę. Dzielili się naturalnie stosownie do wieku i wzrostu, a starszyzna stała daleko od smarkaczów.

Przejście z jednéj grupy do drugiéj, okupywane drogo, stanowiło ważny wypadek, który cały ten rój żywo zajmował. Najwyższa klasa przywłaszczyła sobie pewien rodzaj zwierzchnictwa nad wyrostkami, walcząc o nie z poprzedzającą, z którą rywalizowała. Tworzyły się tu obozy, narzecały komendy, rozstrzygały sprawy niezmiernéj wagi, dla starszych śmiészne i dziecinne. Ichmoście pod wąsem kochali się wszyscy i, w ciaśniéjszém kółku, széroko o tém rozprawiali.

Bernardek Bojarski, choć znajomy ze wszystki-

mi, mało się mieszał i poufalił z towarzyszami. Nie waśnił się z nikim, ale nie przyjaźnił téż, bo sobie nikogo dobrać nie mógł. Dla rówieśników był zbyt poważnym, dla starszyzny zamłodym. Lubił mówić o tém, co innych wcale nie zajmowało.

Starsi nazywali go pedantem, pomimo to w ciężkich razach zasięgając od niego objaśnień potrzebnych, których on umiał dostarczyć, korzystając z ojca książek i notatek.

Bernardek do zbytku na swój wiek marzycielem był i dojrzéwał nadto prędko. Odzywały się w nim chwilowo młodość i temperament dziecinny, lecz najmniejsza pobudka do myślenia zwracała go ku ulubionym naukom. Ojciec w poważném tém usposobieniu nie widział niebezpieczeństwa—cieszył się niém; ale matka potajemnie bolewała, obawiając się przedwczesnéj dojrzałości. Wolałaby go widziéć mniéj rozumnym, podobniejszym do pospolitych dzieci, a silniejszym i weselszym, mniéj zadumanym i nie tak zajadle pracowitym.

Według niéj jadał zamało, sypiał zakrótko, uczył się zadługo, męczył się zbytecznie.

W duszy ojciec powtarzał z dumą, spoglądając na to krzątanie się niezmordowane:

— Da Bóg, będzie z niego człowiek.

Tak spokojnie płynęło tu życie niezamącone niczém, niezdające się niczém zagrożoném, gdy los inaczéj postanowił o Bojarskich.

Może ze wszystkich nauczycieli szkoły jeden pan Jan, pozbawiony rodziny i stosunków, najmniéj mógł rachować na jakiekolwiek plecy i protekcyą.

Dostał się z wielką trudnością na tę posadę profesora, gdy ludzi brakło, pozostał na niéj, bo mu nic zarzucić nie było można—lecz oprócz rektora, który mu sprzyjał i szanował go, u góry nie miał nikogo, coby się losem jego zajmował.

W kilka dni po rozmowie z synem w ganku, profesor wezwany został do akademii, dla pomówienia z rektorem. Wypadek to był tak rzadki, tak niezwyczajny, iż nawet w profesorze, na wszystko zrezygnowanym i mocnego charakteru, uczynił pewne wrażenie.

Pani Magdalena poprostu się nastraszyła. Co to być mogło?... odgadnąć było niepodobna.

Bojarski wdział natychmiast swój surdut mundurowy, który zwykł był zapinać aż pod szyję, włosy zawsze buntujące się przyczesał i krokiem żołniérskim, spokojnie pociągnął ku Akademii. Niemniéj jednak miał jakąś w sercu obawę, przeczucie niedobre, choć sobie przyczyny wytłumaczyć nie umiał.

Rektora zastał w kancelaryi stojącego przy biurku, z papierem w ręku. Usłyszawszy nadchodzącego, zdjął i położył okulary.

Przywitanie było uprzejme, ale zakłopotanie zwierzchnika widoczne. Czas jakiś namyślał się rektor, nim rozpoczął; prosił siedzieć, jąkał się.

— Mój panie profesorze—odezwał się wkońcu, spuszczając oczy— okoliczność dla mnie niezrozumiała... zmusiła mnie wezwać go, dla pomówienia o niéj. Dwa dni już upływa, jak otrzymałem papiér urzędowy z Warszawy.

Wskazał na stolik.

— Przyczyny tego rozporządzenia dobadać się nie mogę—mówił daléj — i słowo panu daję, że nie wypłynęło ono z mojéj insynuacyi. Będziemy się starali zmienić... jeżeli zdołamy.

Bojarski pobladł nieco.

— Cóż to być może?—wyjąknął onieśmielony nieco.

— Poprostu chcą nam was ztąd odebrać— rzekł rektor;—myśmy tu z profesora wszyscy kontenci, niéma najmniejszego powodu.

— Jakto, miałżebym stracić posadę? z jakiéj przyczyny?—zapytał oburzony Bojarski.

— Tak źle nie jest—odparł rektor—owszem, ściśle rzeczy biorąc, jest to awans.

— Ale ja o niego nie prosiłem.

Rektor ściągnął ramionami.

— Chcą pana przenieść do gimnazyum do Warszawy—mówił daléj.—Pensya jest znaczniejsza, ranga wyższa, sposobność aby się dać poznać i ocenić dogodniejsza—ale rumacya, przenosiny, nowi ludzie, stosunki... Nie wiem, czy pan z tego będziesz rad.

— Wcale mi to nie na rękę—rzekł zasmucony Bojarski.

— Spróbujemy więc uczynić przedstawienie, przerobić to, jeżeli się da—dodał rektor—chociaż...

Spojrzeli na siebie.

— Masz kogo w Warszawie, profesorze?—zapytał rektor.

— Ani w Warszawie, ani na świecie nie mam nikogo—rzekł już zrezygnowany i uspokajający się zwolna Bojarski.

Rektor pogładził czoło.

— Wyznaczono nawet panu następcę—dodał ciszéj — a to mi jest wskazówką, że rzecz do przerobienia będzie trudna.

— Kogóż?—spytał Bojarski.

— Człowiek nam nieznajomy — odpowiedział rektor—niejaki Paczurka, ale mający tu krewnych, zajmujących posady urzędowe. To tłumaczy, dlaczego mu się do nas zachciało, a może téż w Warszawie, pod oczyma zwierzchności, obawiał się posady... do któréj wątpię czy jest

usposobiony. Bądźcobądź, dla szkoły strata to wielka, dla mnie niemniejsza, a dla pana....

Zadumał się Bojarski.

— Nie mam innego środka, muszę rozporządzeniu być posłusznym, choć ono dla mnie w najwyższym stopniu jest niedogodném—począł zadumany.—Niespodzianka to, któréj ledwie potrafię podołać, zmiana wszystkich życia nawyknień i warunków. Ciężki los!

Wstał, jakby chciał odchodzić. Rektor wyciągnął ręce do niego.

— Z mojéj strony uczynię, co tylko będzie w méj mocy—rzekł—lecz na wszelką ewentualność przygotować się potrzeba.

Ścisnęli sobie ręce. Bojarski wyszedł, myśląc już tylko, jak o tym fatalnym wyroku da znać biédnéj żonie, którą przenosiny okrutniéj jeszcze dotknąć miały, niż jego. Była tak nieprzygotowaną, biédna Magdusia!...

Wciągu krótkiego przejścia od Akademii do dworku, na myśl mu przyszło przedstawić żonie tę zmianę dotkliwą jako wypadek, szczęśliwe następstwa mogący pociągnąć za sobą dla wychowania Bernardka.

Jemu samemu było to jedyną pociechą, chociaż przenosiny narazie stawały im się jeśli nie ruiną, to przynajmniéj troską nader bolesną. Nie mieli nic w zapasie; potrzeba było sprzedawać wszyst-

ko, kupować potém drożéj, rozstać się z domkiem do którego przyrośli, z ludźmi dobrymi, i życzliwymi, wpaść w wir nieznanych i może nieprzyjaznych, a conajmniéj zimnych, obcych i obojętnych...

Z bijącém sercem żona na niego czekała w ganku, zdala już śledząc wyraz twarzy, który on starał się uczynić jasnym i spokojnym.

Podbiegła ku niemu kroków kilka. Znała go nadto dobrze, aby nie wyczytać źle ukrytéj troski.

— Zmiłuj się, Jasiu—odezwała się czule.—Co się to stało?

Profesor ruszył ramionami; nie chciał przeciągać męczarni i nic w bawełnę owijać, ale osłodził pigułkę.

— Awans—odpowiedział rezolutnie.—Nieproszeni, chcą nas przenieść do Warszawy.

Profesorowa, któréj wszystkie następstwa natychmiast w oczach stanęły, rozpłakała się.

Bojarski spokojny usiadł w ganku.

— Rektor powiada, że starać się będzie rozporządzenie to odwołać, ale ja o tém wątpię. Naznaczono mi nawet następcę Paczurkę, który tu ma krewnych. Rzecz więc dla niego ukartowaną została; ma plecy. Nazywa się to awansem—być nawet może dla nas z pewną korzyścią, ale narazie ciężkie przejście!...

Żona płakała, zakryła sobie oczy i nic mówić nie mogła. Bernardek stał zdala z książką, niczego się nie domyślając. Czas jakiś siedzieli oboje milczący.

— W każdéj sprawie—odezwał się poważnie Bojarski—potrzeba rozważyć wszystkie jéj strony. Naprzód jest to awans wistocie, więc nic upokarzającego; powtóre pensya większa, choć Warszawa téż droższa daleko; naostatek dla wychowania Bernardka nadzwyczaj świetne otwiérają się widoki. Bylibyśmy go musieli dla wyższych klas oddać za oczy, a tak pozostanie z nami. Z tego względu na los się wcale uskarżać nie możemy.

Pani Bojarska otarła trochę oczy; trafiało jéj to do przekonania.

Właśnie gdy do dworku przechodzić mieli, wielkiemi krokami, pośpiesznie nadbiegł niespokojny Sprenger. Wiedział on już o tém, że Bojarskiego rektor wzywał, a nawet że papiér jakiś, tyczący się go, odebrano z Warszawy. Paliła go ciekawość dowiedzenia się czegoś więcéj.

— Profesorze—zawołał, zbliżając się—byłeś u rektora, słyszałem.

— Właśnie powracam od niego—odrzekł Bojarski.

— No, cóż to tam? urzędowego coś?—rzekł,

siadając w ganku, kolega.—Jużciż nie dałeś żadnego powodu...

— A nie, mimo to jednak—odezwał się profesor, biorąc fajkę z rąk żony, która mu ją na pociechę pośpiesznie przyniosła—mimo to podobno mnie ztąd wypędzą.

Sprenger poskoczył z ławy. Przestraszyło go to, bo—któż wie? — pomyślał zaraz ze zwrotem ku sobie — gotowi go zastąpić takim, co będzie chciał trzymać studentów. Obawiał się konkurencyi.

— Być-że to może? Ale powód?

— Władze nie mają obowiązku tłumaczyć się, zwłaszcza gdy zmiana wygląda na awans. Biorą mnie do Warszawy.

Sprenger gryzł paznogcie.

— Nie staraliście się przecie o to? — zapytał.

— Okupiłbym się—rzekł Bojarski.

— Intryga jakaś podła — dodał pośpiesznie Sprenger.

— Następcę nawet mi wyznaczono—dokończył Bojarski.—Ma nim być niejaki Paczurka.

Sprenger brwi namarszczył i uderzył się po czole.

— Czekaj! Paczurka jest tu w sądzie, pewnie brat jego—zawołał.—Znam go. Niezdara, był długo nauczycielem prywatnym. Osioł jest, kawaler, marnotrawca, ale... protekcya... Uczciwy

i zasłużony ustąpić musi. W Warszawie, na oczach nigdyby go umieścić nie śmiano; tu, na partykularzu... mając z sobą familią...

Ręką zamachnął.

— Oto mi nowina! niech kaci porwą!—dołożył.—Co my tu bez was poczniemy?

— A co ja tam bez moich dobrych towarzyszów?—westchnął Bojarski.

— Cóż na to rektor?—spytał Sprenger.

— Obiecuje próbować, czy się to nie da odmienić — rzekł Bojarski — ale ja bardzo o tém wątpię. Na wszelki wypadek trzeba się przygotować do wojażu wcale niespodziéwanego.

Profesorowa znowu popłakiwać zaczęła. Bernardek, który już usłyszał wszystko i zrozumiał, tulił się do niéj, starając się pieszczotami ból ułagodzić.

Po chwili Sprenger, w kilku jeszcze słowach żal swój wyraziwszy, odszedł, bo mu pośpiesznie było nowinę tę roznieść po podwórzu i rozprawiać o niéj. Wprawdzie nominacya Paczurki tłumaczyła wypadek, ale poza nią zostawało jeszcze szérokie do domysłów pole. Dlaczego właśnie Bojarskiego, a nie kogo innego ruszono? Jakie to mogło za sobą pociągnąć skutki? Co było robić z tym niezdarą Paczurką, który miał jaknajgorszą głowę, a niezawodnie mógł utrzymywać studentów, aby więcéj zyskać i trwonić?

W godzinę potém na podwórcu Akademii wszystko co żyło, poczynając od kucharek, aż do profesorów, rozprawiało o Bojarskich losie.

Targczyński i Boberkowski siedzieli u Sprengera, strwożeni obaj. A nuż to miało być znakiem jakichś ogólnych translokacyj! nuż i innych profesorów przerzucić tak miano na Bóg wié jak odległe posady!?

Zmiana zwierzchności, systemu—przychodziła na myśl subtelnie rzeczy biorącemu Targczyńskiemu. Boberkowski był wzruszony biédą Bojarskich i na miejscu usiedziéć nie mógł.

Sprenger usiłował sobie przypomniéć coś o Paczurkach wogóle, a mianowicie o tym nauczycielu prywatnym, który nigdzie miejsca zagrzać nie mógł, a teraz miał zato otrzymać stałą posadę, i—powracał ciągle do tego, że niezawodnie utrzymywać będzie studentów. Mógł wistocie nająć inny, obszérniejszy dworek. Następstwa były groźne.

Wśród najżywszéj rozmowy, nadszedł ksiądz Roga, wikaryusz przy farze, a razem nauczyciel religii w szkole. Był to człowiek młody, wesołego temperamentu, towarzyski, ale w rzeczach religii surowy i nikomu nieprzebaczający. Chłosty jego i nauki przybiérały formy łagodne, dowcipne czasem, lecz niemniéj nie pobłażały niko-

mu. Szczególniéj karcić był zwykł ignorancyą najgłówniejszych i najprostszych zasad wiary.

— Nie umiécie katechizmu! — powtarzał starym.—Uczą się go dzieci, ale was wszystkich jeszczeby do egzaminu z niego napędzić potrzeba.

Ksiądz Roga, wchodząc, nie wiedział o niczém jeszcze.

— No, cóż to za *conciliabulum?*—zawołał.—Co za kura jaje zniosła?

Boberkowski pośpieszył z nowiną.

— Bojarskiego ztąd wynoszą—rzekł.

— To nie może być—odparł zdumiony kapelan, który naukę i charakter profesora cenił wysoko.

— Tak jest, niestety!

— Dokąd?

— Do Warszawy, pozorny awans, a dla nich ruina poprostu — dodał Sprenger — i jeszcze w miejsce poczciwych Bojarskich, dają nam niezdarę tego, o którym pewnie słyszał ksiądz wikary, Paczurkę.

— Co był nauczycielem prywatnym? — krzyknął kapelan.— O! znam go! to ziółko! istna pokrzywa! Piękny profesor.... Nic nie umié... a w którym domu był, z żadnego bez awantury nie wyszedł. Ptasio! ptasio!—dorzucił ks. Roga.

Wszyscy spojrzeli po sobie.

— Znam go—powtórzył, siadając i zajmując miejsce wśród areopagu.— Mógł był sobie przynajmniéj dobrać miejsce inne, gdzieby wiadomość o sprawkach jego nie doszła.

— Ale tu ma plecy!

Ksiądz Roga głową pokręcił.

— Mnie się zdaje że, bądźcobądź, poczciwego nas pozbawi kolegi, a sam tu nie usiedzi.

Zaczęto rozprawiać gorąco, nie szczędząc przybysza, o którym kapelan zdawał się lepiéj od innych uwiadomionym. Miał to być człowiek lekki, obyczajów nader płochych, małéj sumienności, wiercipięta, który się tém tylko zalecał, że kilku językami źle mówił, a o wszystkiém gotów był rozprawiać. Godzono się na to, że brat urzędnik, nie wiedząc co począć z tym biédakiem, miejsce mu wyrobić musiał. Ks. Roga *stante pede*, krótko tu zabawiwszy, z pociechą religijną poszedł natychmiast do Bojarskich i w progu się odezwał po zwykłém: niech będzie pochwalony!

— Przychodzę z kondolencyą, ale nie nad wami, tylko nad nami, których wy osiérocacie. Jest Pan Bóg i w Warszawie, nie macie się tam obawiać czego!

Wszelkie starania rektora okazały się próżnemi. Odpowiedziano zgóry, że rzecz jest stanow-

czo rozstrzygnięta i że profesor Bojarski na awans z pensyą powiększoną uskarżać się nie ma prawa. Oprócz tego, na przedstawienie zwierzchności, wyznaczono mu indeminizacyą za koszta przenosin, naznaczając termin dość blizki do zajęcia posady przy szkole.

Bojarski już się nie wahał. Nie mógł podać się do dymisyi, nie mając jeszcze prawa do emerytury i żadnego widoku, aby sobie inne mógł wyrobić stanowisko.

Jéjmość płakała, a Bernardek zadumany rachował. Niekiedy po dziecinnemu cieszył się odmianą, nowością, to znowu trwożył o matkę i ojca.

Zaczęły się dla niedoświadczonych przygotowania utrapione do przenosin. Kochanych sprzętów starych na żaden sposób wieźć nie było podobna do Warszawy, bo koszta transportu więcéjby wyniosły, niż one były warte.

Sprzedać ich prawie nie było podobna, bo wistocie stare i zużyte, tylko dla Bojarskich miały cenę. Po jednemu zbywano stoły i komódki Żydom do gospód, za tanie piéniądze. Dużo ukochanéj biédoty profesorowa ocaliła, wyprosiła, bo i tak pod książki, papiery i rzeczy furę żydowską najmować było potrzeba.

Miała nadzieję, że się w niéj wiele, wiele pomieści.

Najboleśniéj dla niéj było rozstać się z tym domkiem, który widział lata jéj szczęścia, do którego ścian tyle wspomnień przylgnęło, z ogródkiem, którego w Warszawie miéć nie mogła, a ten jéj tak do kuchni i gospodarstwa był wielką pomocą! Nie kupowała prawie warzywa i włoszczyzny—miała nawet na mizeryą ogórki własne, a raz małą beczułkę skwasiła i były przedziwne. Profesor znajdował je od pomarańcz smaczniejszemi.

Wszystko to teraz gromadnie na pamięć przychodziło, bo było stracone... a tego nowego życia w Warszawie dopiéro się omyłkami popełnianemi uczyć było potrzeba.

Bojarski, przebolawszy nieco, mężnie teraz patrzył w oczy przyszłości—dla Bernardka. Warszawa zdawała mu się opatrznościowo zesłaną.

Uwolniony od lekcyj, ze łzami w oczach pożegnawszy się z uczniami swymi, naprzód sam musiał jechać na zwiady, przedstawić się nowéj zwierzchności, wynaléźć niedaleko od szkoły mieszkanie tanie, nająć je i obmyśléć piérwsze na wysiadaném potrzeby.

Nie był on człowiekiem do tego stworzonym, a oddawna zwykł powszednie sprawy zdawać na żonę. Jéj jednak saméj wysłać nie mógł, choć się biédne kobiécisko napiérało.

Na warszawskim bruku, gdzie tyle rozbitków

zawsze spotkać można, Bojarski najniespodzianiéj się zetknął z dawnym, starym towarzyszem broni, kapitanem Wrońcem, który już tam czatował na niego. Służyli niegdyś w jednym pułku i byli z sobą bardzo dobrze, ale się potém z oczu stracili.

Wroniec dowiedział się o nominacyi kolegi w kancelaryi, w któréj zajmował posadę, będącą więcéj synekurą, niż istotném zajęciem. Miał wiele dobrego czasu, serce dobre i ochotę zbliżenia się do jedynego człowieka, z którym mógł mówić o starych czasach. Sam więc wyszukał Bojarskiego, a jako obyty z miastem i oddawna w niém mieszkający, podjął mu się ułatwić wszystko. Odżył przy nim i profesor, który nad książkami czasów swéj służby zapomniał, a może umyślnie pamięć o nich w sobie zaciérał.

Wroniec, stary kawaler, prowadził dom z pomocą gospodyni, naprzód więc zaprosił do siebie kolegę i nie dał mu stać w gospodzie. Potém czynnie i żywo rozprawiwszy się o budżecie, obrachowawszy wydatki, dowiódł czarno na białém, iż skromnie, ale przyzwoicie, Bojarskim z synem było się z czego utrzymać. Dodatkowo podjął się znaléźć lekcyą literatury na pensyi żeńskiéj i wielkiém męztwem natchnął kolegę.

— Co, do kroćset!—zawołał, pojąc go winem— to nie klęska, ale łaska Boża, że cię z téj dziury wy-

nieśli. Zobaczysz, naprzód odżyjesz, powtóre odkarmisz się, ludzi poznasz, z literatami wejdziesz w stosunki, a poczciwa żona twoja znajdzie tu najlepsze towarzystwo. Nie mówię już o tém, że dla syna też to błogosławieństwo Boże.

Bojarski dał się pokrzepić, a cieszył się głównie tém, iż żonę mógł podźwignąć, otrzéć jéj łzy i zapewnić, że w Warszawie nie zginą.

Kilka dni tu spędzonych dziwnie wpłynęły na profesora. Przerobił się on był długiemi latami na starego pedagoga, pozbył wszelkiego żołniérstwa; ale obcowanie z Wrońcem wydobyło zpod gruzów wojaka i nawet na powierzchowności widzieć się dawała zmiana. Nie mógł się dosyć nadziękować koledze, który ze swéj strony niewypowiedzianie szczęśliwym był i uradowanym, iż mógł dopełnić obowiązku i zyskać do gawędy nieocenionego towarzysza.

Przy jednym z obiadów popłakali się, gdy Wroniec zanucił znaną piosnkę żołniérską. Bojarski miał ją przepisaną i umiał więcéj jedną strofą od niego.

Chciało się bardzo profesorowi dla żony dworka, jak w miasteczku, chociażby od szkoły był oddalonym. Dowodził, że toby mu zdrowém było i więcéj ruchu dawało; ale naówczas już stare dworki, dawniéj w Warszawie gęste, stawały się

coraz rzadszemi, a te które pozostały, w ruinach były i srogiém opuszczeniu.

Okazało się to niepodobieństwem; lecz Wroniec znalazł mieszkanie na parterze, z małym ogródkiem, kilku zagonami, drzewami i altaną. Można było w nim nawet w kątku zasadzić włoczczyznę. Lokal był nierównie czystszy i wygodniejszy, niż w starym dworku; ale profesor go znajdował zbyt wytwornym, a zatém i sprzętu kosztowniejszego wymagającym. Kapitan Wroniec obiecywał kupić meble przyzwoite za bezcen. Bywały licytacye, miał znajomych naostatek... Franciszkańska ulica... składy mebli używanych... Nie było się troszczéć o co.

Może w nadto różowych kolorach przezacny Wroniec odmalował koledze przyszłość, lecz wiele się przyczynił do uczynienia jéj znośniejszą.

Podejmował się tak dalece wszystkiego, że nawet dostarczyć miał poczciwéj kucharki, o co podobno najtrudniéj.

Odjeżdżającego odprowadził kapitan aż na Pragę, utrzymując go ciągle w humorze wesołym, dodając męztwa i żegnając go zapewnieniem:

— Śmiało! ja przy tobie!

Był to żarcik z dawnych czasów, chodzący po świecie z imieniem znaném zucha Plautusowego *Miles gloriosus.*

Bojarski powracał trzęsącą bryką żydowską, daleko raźniejszy, odżywiony, odmłodzony niemal szczęśliwém spotkaniem ze starym kolegą. Potrzebował on tego rozbudzenia, będąc trochę uśpiony życiem, w którém zakrzepnął powoli.

Gdy trzeciego dnia, bo się wlókł noga za nogą, nad wieczorem zjawił się we dworku, powitany okrzykiem żony, która objąwszy go, rozpłakała się—Bojarski zadziwił ją swém męztwem i dobrym humorem.

W kuchni mu pośpiesznie przygotowywano wieczerzę, a on tymczasem z żywością, od któréj żona oddawna była odwykłą, rozpowiadał o swym pobycie, spotkaniu z Wrońcem i wszystkiém, czego w tak krótkim dokonał czasie.

Profesorowa najciekawszą była mieszkania, którego plan jéj musiał nakréślić krédą na stole. To co o niém rozpowiadał niezupełnie ją uspokoiło; potrząsała głową, dumała. Ale Bojarski prawił o ogródku, który był rzadkością, chwalił się nim, a za mieszkanie ręczył, iż się żona z niém pogodzi. Wspomniał i o kucharce, na co pani Magdalena odpowiedziała, że Katarzynę z sobą zabrać myśli, bo się ta nie będzie miała gdzie podzieć, a z wielkiém miastem łatwo obyć potrafi.

Bernardek, nie odstępując na chwilę rodziców, słuchał rozmowy z uwagą natężoną i cieszył się tém, że ojca widział ożywionym, a pełnym do-

brych nadziei, które i matkę przygnębioną zwolna musiały podźwignąć. Bojarski i dla niego przywiózł dobre słowo przyszłości, ale najwięcéj, najdłużéj rozprawiał o swoim poczciwym Wrońcu, którego się odchwalić nie mógł.

Nazajutrz zkolei wszyscy bliżéj i daléj mieszkający profesorowie, dowiedziawszy się o powrocie kolegi, zebrali się słuchać wiadomości przywiezionych przez niego i winszowali mu, że sprawa niemiła lepiéj się teraz, niż przypuszczano, rozwiązywała. Boberkowski niemal zazdrościł. Sprenger uśmiechał się milczący, bo jemu Warszawa wcale nie smakowała; tam konkurencya była zbyt groźną.

Oznajmiono zarazem Bojarskiemu, że wczasie jego niebytności zjawił się w miasteczku Paczurka, był u rektora, który go przyjął bardzo zimno i surowo, zapowiadając iż będzie wymagającym.

Tymczasowo przyszły profesor mieści się u brata urzędnika. Opisywano go jako niepoczesną, zszarzaną figurkę, która nic w sobie profesorskiego nie miała.

Ledwie dano dnia tego odetchnąć Bojarskim.

Nazajutrz około jedénastéj zjawił się u swojego poprzednika małego wzrostu łysy, śmiésznie ubrany, w pretensyach do elegancyi i nadania sobie pewnego tonu, pan Hilary Paczurka. Był to wistocie na piérwsze nawet spojrzenie nieobie-

cujący człowieczyna. Mówił z przesadą, wyszukanemi słowy, niepoprawnie, a plątał się tak w dłuższéj rozmowie, iż jedno nie trzymało się drugiego.

Przepraszał on Bojarskiego, iż niegodny posady, stanowisko po nim zająć będzie zmuszony, i zaręczał mu, że bez jego wiadomości i starania wyrobiono mu profesurę.

Profesor odpowiedział zimno, życzył szczęścia, zapewniał iż, jakkolwiek przykro mu było opuścić towarzyszów i miejsce do którego nawykł latami długiemi, przecież nie rozpacza o przyszłości.

Profesorowa, nawet dla ciekawości widzenia człowieka, ku któremu wstręt czuła wyjść do niego nie chciała.

Paczurka rozpytywał potém o dworek, oświadczył się z chęcią nabycia części ruchomości na kredyt — ale już nic do zbycia prawie nie mieli Bojarscy, a Paczurce jéjmość nawet drogo sprzedaćby była nie chciała.

Pozbywszy się wstrętliwego natręta, Bojarski musiał iść żegnać starych przyjaciół i znajomych poza szkołą, na probostwie, w klasztorze i domach miejskich, z któremi byli w stosunkach.

Miał tę pociechę, że wszędzie mu żal szczéry objawiano i oburzenie przeciwko intrydze, która pozbawiała miasto tak powszechnie szanowane-

go człowieka. W klasztorze bibliotekarz, ksiądz Bonifacy, westchnął, odbiérając pożyczane książki, nad tém, że teraz już tylko móle je czytać będą.

Bojarskiemu wczasie tych odwiédzin kilka razy łzy stawały na oczach... Nie pozostali i studenci poza innymi w wyrażeniu wdzięczności swéj ukochanemu profesorowi. Naprędce każda z klas, w których wykładał, przygotowała laur w ramach, w pośrodku jego młodzieńczemi wiérszami sławiąc dobroczyńcę swego.

Wiérsze były bardzo liche, laury niezgrabne i jaskrawe, do liści ich, dla krasy, przyłączono i róże krwawe, i astry i dębinę, ale niemniéj serce się profesorowi poruszyło, gdy mu je przynieśli studenci, których więcéj już widzieć nie miał.

Wszyscy Bojarskich żegnali, dopiéro teraz może nauczywszy się ich cenić; każdy starał się w tych chwilach ostatnich być pomocą, uczynić jakąś małą przysługę, dowieść że był przyjacielem. Bankietów pożegnalnych nie wydawano, bo te naówczas nie były we zwyczaju, a profesorowie nie kusili się nigdy o nie; ale gdziekolwiek pokazali się oboje, lub ona sama, przyjmowano ich z uczuciem tak gorącém, bolano tak nad stratą, polecano się pamięci, że poczciwi ludzie po-

kochali tych, których tracili, więcéj niż kiedykolwiek.

Profesorowa zaczęła te pożegnalne pielgrzymki od rektorowéj. Wyszedł do niéj sam nawet stary zwierzchnik i był bardzo rozmównym, co mu się rzadko zdarzało.

Saméj pani musiała opowiadać Bojarska o pobycie męża w Warszawie, o wszystkiém czego w tak krótkim czasie dokonał, przyznając, że nigdy go tak praktycznym, tak czynnym znaléźć się nie spodziéwała.

Zasilano ich radami. Sprenger, który o jedném myślał tylko, namawiał do utrzymywania studentów, o czém Bojarscy nie myśleli wcale.

— Gdyby się jeden jaki przyzwoity towarzysz dla Bernardka znalazł — odparła profesorowa — to jeszcze, ale więcéj niech Bóg obroni. Dosyć jest odpowiedzialności z dzieckiem własném, a o cudze człowiek się trwoży, żeby zarazy nie wprowadzić do domu.

Sprenger był wcale innych przekonań.

Tragczyński zazdrościł profesorowi, że będzie teraz u źródła wszystkich nowin w gazety opływał; ale tych Bojarski prawie nie czytywał, znajdując, że czas na nie użyty był straconym.

Boberkowska, chora zawsze, wzdychała, mówiąc o doskonałych doktorach, których w wiel-

kiém mieście łatwo znaléźć było. On sam ręce łamał, biegał i winszował.

Wszyscy już, po poznaniu się z Paczurką, wcale niezbudowani jego figurą i rozmową, przepowiadali mu tu życie niełatwe, a wcale sobie z niego nie obiecywali pociechy.

Ks. kapelan uradowanym był opowiadaniem o Wrońcu i Warszawie, dowodząc, że się zawsze spodziéwał opieki Opatrzności nad zacną rodziną.

Można było za największy dowód ofiarności i spółczucia uznać dar, jaki Sprengerowa, oszczędną i nielubiąca nic dawać nikomu, uczyniła odjeżdżającéj Bojarskiéj. Była to mała faseczka marynowanych rydzów, bo to tego w Warszawie nie dostać!

Z wdzięcznością przyjęła ją Bojarska. Wistocie w rydzach tych było serce, które się rzadko poruszało.

Bernardek także w tym pożegnalnym wirze, który na kilka dni popsuł zwykły w klasach i szkole porządek, miał udział niemały.

Zawróciła mu się głowina i z zapałem mówił o przyszłości swéj, nauce, o tém wszystkiém, czego dokonać zamierzał. Obstępowali go koledzy, a wielu mu zazdrościło. Wielkie miasto, zwłaszcza zdaleka widziane, miało dla nich urok potężny.

Bernardek, po ojcowemu, naprzód w niém wi-

dział biblioteki, *usui publico* otwarte, niby studnie wody żywéj.

Dla niego, jak dla ojca, książka była orężem, pokarmem, śpiżarnią, wszystkiém. Widywał jak ojciec przepisywał mozolnie to, czego nabyć nie mógł, a w Warszawie wszystko pod ręką mieć mogli. Nie obrał sobie jeszcze przedmiotu, chciał się uczyć, uczyć co tylko głowa mogła pomieścić; potém los miał rozstrzygnąć, ku czemu głównie obrócić się należało.

Karmiony poezyą zamłodu, bo ojciec ją miłował i żyć bez niéj nie mógł, Bernardek teraz już mnóstwo pięknych rzeczy umiał na pamięć, a więcéj jeszcze ich czytywał i odczytywał. Deklamowa z patetycznością wielką, z troszką przesady, ale ogniście. Naówczas blada i niełądna twarzyczka zmieniała się, pięknieła, a oczęta żywe strzelały promieniami.

Były to właśnie te lata, gdy jeszcze po prowincyach zarówno Naruszewiczowska Oda do słońca, Krasińskiego Satyry, jak pieśni Kniaźnina, Karpińskiego, Brodzińskiego przekłady i piérwsze dźwięki lutni Adama zapał budziły. Bojarski zbiorek poezyj jego, wydanych w Wilnie, cały sobie przepisał, czując w nich jutrzenkę ery nowéj.

Bernardek Pierwiosnka i pary balad na pamięć się nauczył. Jakkolwiek niewielkich rozmiarów

i mniej wybitnego charakteru od późniejszych tworów Mickiewicza—poezye te, silniéj niż Brodzińskiego, czuć dawały coś świéżego, zwrot jakiś śmiały, zapowiadający więcéj, niż one w sobie mieściły.

Bojarski z zapałem piérwsze na parnasie polskim zapowiadał miejsce młodemu poecie—przepowiadał w nim mistrza. Chodziły już wówczas po rękach przepisywane Mickiewicza pieśni, które w Miscellanea profesora wciągnięte zostały. Nie przeszkadzało mu to z wielkiém spółczuciem lubować się Brodzińskim; walki tylko, poczynającéj się między klasykami a romantykami, nie rozumiał i miał ją za czczą i niepotrzebną paplaninę. Nie rozstawał się z klasykami dla Mickiewicza i ramionami poruszał, czytając rozprawy w tym przedmiocie, z których ani notat, ani wypisków nie robił, zapowiadając, że to wszystko przejdzie bez śladu.

— Co piękne, to piękne—mówił—jedno nie przeszkadza drugiemu.

W Bernardku była już żyłka poetyczna, ale w któréмże młodém chłopięciu jéj niéma? Ojciec łapał próbki wiérszowane, śmiał się, a synowi mawiał, że wprzódy trzeba i świat poznać, i żyć i pisać się nauczyć, nim się pióro weźmie do ręki.

— Mało co, albo nic już do wyśpiéwania nie zostało—mówił synowi—powtarzać to gorzéj, co

inni opieli po mistrzowsku — bałamutna rzecz, a nowe stworzyć, choćby tylko z pozoru i formy, nie każdemu dano. Naprzód samemu człowiekiem nowym urosnąć i wykształcić się potrzeba.

Milcząco słuchał chłopak i uczył się. Z ojcem miał biédę, bo był nadzwyczaj wymagającym. W jednéj sferze zamykać mu się nie dawał, ganił jego wstręt do matematyki, dowodząc jéj użyteczności, nalegał, aby umiéć jaknajwięcéj.

Wchodziły w to i nauki języków. Pilnował, aby chłopię jaknajwięcéj ich sobie przyswoić się starało. Sam umiał dobrze po łacinie i trochę tylko po grecku, nad czém bolał, a z nowożytnych władał dobrze francuskim i niemieckim, rozumiejąc po włosku.

Tyle conajmniéj uczyć się nie chciał i Bernardek, a Byron, Walter Scott i Moore pociągali ku zaniedbanéj długo na świecie angielszczyźnie.

Ciężkie to było zadanie, tylu rzeczami zapchać sobie głowę; ale według profesora młody mózg mógł temu podołać i zczasu należało korzystać. Bernardek, z wyjątkiem matematyki, do którćj nie czuł powołania, ani zdolności, gotów był zdobywać, co tylko się mu nastręczyć mogło. Głowę miał otwartą, a pamięć doskonałém kształceniem jéj do wysokiego stopnia rozwiniętą. Nie zbywało mu téż na woli, która jest jedną z najpotężniejszych dźwigni wszelkiego czynu. Jako

dziécię, przerzucał się wprawdzie łatwo z jednego do drugiego przedmiotu, ale ojciec nie był temu przeciwnym, bo według jego zasady, zmiana w pracy była najlepszą metodą do wytrwania w niéj, bez wyczerpania się.

Zostawiał synowi swobody wiele, i tu znajdując potrzebném, aby dziécię, niekoniecznie ciągle prowadzone na pasku, własnym się popędem nauczyło poruszać.

Od kilku dni ogromna bryka, mająca przewieźć do Warszawy bibliotekę, rękopisma w proste skrzynki popakowane, spiżarnię i garderobę całéj rodziny — stała już u ganku dworku. Katarzyna, która stanowczo zabiérała się z państwem do Warszawy — coraz to się pokazywała we drzwiach z węzełkiem jakimś, wsuwała go w tę arkę Noego, która i parę ulubionych kur miała mieścić w sobie, i wychodziła z niéj, głośno mówiąc coś, co ona jedna słyszała i rozumiała.

Niekiedy wychodziła Bojarska, nieubrana, w fartuszku, zaglądała trwożliwie wewnątrz budy i boleściwie przypatrywała się ściskowi, jaki w niéj panował.

Naturalnie drogocennym rękopismom profesora, ściśniętym w kilku prostych pakach i kuferkach, należało się miejsce najlepsze, od deszczu i zamoknięcia zawarowane; potém szły bielizny

i odzieże; naostatek co Bóg dał. A gratów i rupieci, jawnie i oczywiście niewartych tego, aby się wożono z niemi, nabrano bez miary, bo ciężko się z tém było rozstać.

Profesorowa Sprengerowa, mimo że była zawsze nadzwyczaj zajętą, Boberkowska, choć obwiązana chustami—przychodziły z radami i ciekawością do téj budy, coraz się bardziéj wypełniającéj. Już nawet pod spodem wisiały koszyki, a ztyłu stała skrzynka umocowana sznurami, któréj prorokowano, że ją ktoś oderżnie w drodze.

Bojarscy sami mieli w tylnéj straży jechać małą bryczką z synem, nie spuszczając z oka swych skarbów, co stanowiło pewną rękojmię dla przysznurowanéj skrzynki. Zrazu na niéj, oprócz obojga państwa i z przodu na wymoszczoném siedzeniu Bernardka—nic się nie miało mieścić, tylko woźnica i jego owies i siano. Katarzyna jechała w budzie, równie dla kur, jak dla wielu drobnostek, które łatwo ukraść było.

Lecz gdy bryka olbrzymia tak została wyładowaną, nabitą, zapchaną, że już nawet wałki od bielizny i mały ręczny magielek nie mógł się wcisnąć, zaczęto państwu kłaść w nogi małe sprzęty.

W siedzeniu musiał się stary tłomok ulokować, ztyłu przywiązano coś, i owa lekka bryczyna—wyszła na filią ciężkiéj fury.

Miano wyjeżdżać w sobotę, nie rozrachowawszy się z szabasem; w niedzielę kapelan nie pozwalał, w poniedziałek obawiała się profesorowa i tak ściągnęło się aż do wtorku, ale we wtorek o świcie Chaim miał konie przyprowadzić— i... w imię Boże!... Żegnał się tymczasem Bernardek... Znali go tu wszyscy i lubili, więc z kim się nie trzeba było żegnać? Stara Fajga, któréj nic nigdy winien nie był, ofiarowała mu piernik na drogę.

Z drugiéj strony Akademii, w uliczce wiodącéj na przedmieście, całéj niemal z zastawionéj dworkami, w których mieszczanie utrzymywali ubogich studentów, na rogu był domek wdowy po profesorze, ubogiéj kobiéty, utrzymującéj się téż z uczniów, nad którymi prawdziwie po macierzyńsku czuwała.

Pani Saska, wcześnie owdowiała, młoda jeszcze, ale blada, zmęczona i schorowana, bo los ją na ciężką próbę i walkę nad siły narażał, żyła tylko dla jedynego dziécięcia, córeczki dochodzącéj lat dziesięciu.

Klarka, bardzo rozbudzona, nad wiek swój rozwinięta, była miłą i śliczną dziewczynką, chociaż nad ten wdzięk powierzchowny niczém się nie odznaczała. Samowolną była. Kapryśna trochę, tyranizowała matkę, panować chciała jéj i wszystkim w domu, stroić się lubiła nadto — ale taki

miała urok młodego pączka, takie mówiące oczy niebieskie, tak różowe jagódki, usteczka, takie kosy złociste, rączki i nóżęta utoczone, figurkę cudną, że jéj wszystko wybaczyć za to musiano. Matka niemal jéj do nóg padała i psuła dziécię; okadzano zawczasu biédną głowinę, która się téż kręciła...

Wychowanie, przez matkę prowadzone, staranne, bo na nic nie żałowała i mały nawet fortepianik klepadełko kupiła, na którym Klara uczyć się grać nie chciała — mało co wpłynęło na popsute pieszczotami dziécię. Klarcia uczyła się źle, a przez okno na starszych studentów spoglądać ustrojona lubiła bardzo.

Dla jéj wdzięku pobłażliwi byli wszyscy na to, co się zdawało dziecińctwem. Nie miała przecie lat dziesięciu.

Jakim sposobem Bernardek, który się często z nią spotykał, dziecinną miłością zapałał w sekrecie dla Klarci, on, tak poważny, tak surowo trzymany i sam dla siebie surowy?

Stawał w rogu Akademii czasami, gdy wiedział że nikt go nie spostrzeże, godzinami czatował, aby mu się pokazała w okienku. Sam nie wiedział, co go ciągnęło—ale serce wabiło i oczy się zachwycały czarującym obrazkiem. Nęciła go zagadka, która zdaje się zawsze zwiastować w powłoce uroczéj duszę piękną.

Ile się razy mógł do niéj zbliżyć i zawiązać z nią krótką rozmowę, powracał ostygły. Była dziwaczną, dziecinną i z tych pięknych rzeczy, które on tak kochał, nic nie rozumiała. Poezye wydawały się jéj śmiésznemi. Wyrywała się z takiemi niedorzecznościami, że Bernardek rumienić się musiał za nią.

Pomimo to coś go ciągnęło i obrazek Klarci przelatywał przed jego oczyma, chociaż jéj nie było.

Matka, dobra, trwożna o dziécię kobiéta, zapracowana dla niego, znużona, czasem przychodziła z żalami, niekiedy z prośbą jaką do Bojarskich. Czasem, choć rzadko, profesorowa z córką, gdy Bojarska na przechadzkę szła z mężem, towarzyszyła jéj; ale Klarcia nie z chłopcami szła wtedy, tylko ze starszyzną, krzywiąc się, a kwiatki zrywając po drodze.

Naówczas oczy studentów starszych nieustannie się ukradkiem ku niéj zwracały, a Bernardek tak się zawsze umieścił w szeregu, aby mógł się jéj dosyta napatrzéć.

Dwie niełądne Sprengerówny i ich matka nie cierpiały pięknéj Klarci, któréj okropną przyszłość wróżyły. Był, według nich, już w dziecku zaród strasznéj zalotnicy, a mądre panienki niełądne znajdowały ją, oprócz tego, poprostu— głupią.

Ale była taka śliczna!

Sprengerowa z zazdrości dochodziła do wniosku, że może z téj rozsławionéj piękności wyrosnąć jeszcze wcale brzydkie stworzenie—bo i to się często trafia—dodawała, krzywiąc się—zobaczymy!

W wigilią wyjazdu Bernardek wieczorem stał w rogu Akademii. Patrzył, nie śmiąc się zbliżyć—gdy Klarcia, która sama była w oknie, ruchem rączki go powołała.

Poskoczył szczęśliwy. Dziéwczę się śmiało, bo uroczy uśmieszek często w niéj zastępował słowo.

— Jedziecie?—odezwała się.

— Jedziemy—westchnął chłopak— i właśnie ja—bardzo chciałem pożegnać pannę Klarcię, a prosić, aby o nas nie zapominała.

Pokręciła główką.

— Do Warszawy—szepnęła—jacy wy szczęśliwi! Pan Bernard o nas tam prędko zapomni.

— A! nigdy w świecie!—z zapałem odezwał się chłopiec.

Figlarnie spojrzała mu w oczy, uśmiechając się zwycięzko.

— Kiedy my się zobaczymy?—dodał Bernard.

— Może nigdy!—szybko odparło dziéwczę.

— O, to nie może być!—proroczo wykrzyknął chłopiec.

I w téj chwili, słysząc kogoś nadchodzącego,

pochwycił jéj rączkę, do ust przycisnął, pomodlił się do niéj oczyma i zniknął.

Klarcia poszła w głąb domu, śpiewając piosnkę wesołą.

Przez cały czas podróży modliła się profesorowa; on dumał. Nie szło zbyt raźnie. Arka Noego, przeładowana, zpoczątku ciągle stawała; coś się urywało, odczepiało i potrzeba było naprawiać. Katarzyna wyskakiwała z budy, łając Chaima. Żyd kłócił się z nią zażarcie, profesorowa wychylała się niespokojnie.

Po kilku minutach—wio ho!—jechano znowu, żadnéj nie przepuszczając karczemce, to pojąc konie, to siana im zarzucając. Profesor wysiadał rzadko, fajkę palił i dumał. Bernardek przy każdéj sposobności wyskakiwał, z chciwością przypatrując się rzeczom dla siebie nowym, a bardzo wiele ich spotykał, choć małe wycieczki robiono z miasteczka, a samo ono napół wsią było.

Na wielkim bitym gościńcu mnóstwo przedmiotów zwracało jego uwagę, nawet nieznane kwiaty, które poraz piérwszy spotykał i o nazwiska ich ojca pytał, bo Bojarski potrosze był botanikiem, z miłości ku naturze.

Cieszyło to niezmiernie ojca, że chłopca zajmowało wszystko, że nie o sobie myślał, ale i w dro-

dze się uczył... radował się ożywieniem Bernardka, piérwszy raz w lasach i na szérokiém polu zachwycającego się widokiem wschodu i zachodu, biegającego oczyma za chmurami.

Z rodzajem gorączki chłopiec tę podróż odbywał, niezmordowany. Na noclegach wybiegał daleko, kładł się późno, wstawał do dnia, puszczał się w las, gdy bryka wlokła się po piasku. Wszystko dla niego cudném było i zachwycającém, oprócz ludzi. Tych i postacie i obyczaje budziły w nim więcéj podziwienia, niż spółczucia.

Oprócz żebraków, dla których się dopraszał grosika, a matka go chętnie dobywała z woreczka, reszta tych postaci pospolitych, zbrukanych, często napiłych i kłócących się wrzawliwie—wstręt mu czyniły i odrazę.

Powracał do swéj myśli, dlaczego w książkach świat ten tak jest piękny, a rzeczywistość tak zbrukaną i niezdarną?

Nie mógł tego pojąć — ale tém więcéj sobie obiécywał sam stać się czémś piękném i innym pomagać, aby takimi byli. Wprawdzie w naturze spotykał wiele téż istot brzydkich i wstrętliwych, ale w nich coś było oryginalnego—a w ludziach i tego nie znajdował.

Na coś to jednak wszystko być musiało potrzebném, lecz cel przechodził jego pojęcie.

Kilka tych dni powolnego wleczenia się po

ożywionéj drodze, nie zostało straconych dla niego. Przypadły one na piękny koniec wiosny, a, mimo przepowiedni Katarzyny, która się słoty spodziéwała i zamoczenia, kropla deszczu nie spadła na nich.

Wmiarę jak się ku stolicy zbliżali, obraz się ożywiał, urozmaicał, ruch powiększał. Nawet budowy, dwory i gospody szérszemi rozmiarami i wytworniejszemi kształty nowy świat zapowiadały.

Bernardek był ciekawy, matka się coraz żarliwiéj modliła. Serce jéj biło niepokojem, pomimo że mąż utrzymywał, iż poczciwy Wroniec, który to sobie wyprosił, zapewne czekać na nich będzie na Pradze.

Dał mu znać o prawdopodobnym dniu przybycia Bojarski; tymczasem Chaim i jego konie, popasów nieustannych wymagające, inaczéj o tém postanowiły. Spóźniono się niemal o dzień cały, bo i rozeschnięte koło jedno nanowo zlepiać i nabijać musiano. Nie było więc nadziei, aby kapitan mógł czekać na swych gości.

Bojarski niedość jeszcze znał Wrońca; stary był tak niecierpliwy, gorączka, że jednego dnia do późna przesiedziawszy na Pradze próżno, nazajutrz już był tam od rana. Trzy razy pił wódkę i chlebem z solą zakąsywał; domyślał się już

nieszczęśliwego jakiegoś wypadku, gdy nareszcie ogromna fura i mała bryczka nadciągnęły.

Przybiegł natychmiast kapitan prezentować się z całą galanteryą dawnych czasów zafrasowanéj profesorowéj, która pomięty czépek i stary kapelusz poprawiała. Zatrzymano wozy.... Chciał na dorożkę kolegę zabrać Wroniec, lecz mu się dla nieodstępowania strwożonéj żony wyprosił— i skończyło się na porwaniu Bernardka, który, nadzwyczaj szczęśliwy, z gadatliwością dziecinną począł zaraz opowiadać wszystkie wypadki podróży.

Kapitanowi, który dzieci lubił niezmiernie, ożywione chłopię się podobało. Nie spuszczał z niego wejrzenia i małe oczki śmiały mu się niewypowiedzianą radością.

Lecz Bernardek wkrótce przerwał swą powieść, zarzucając kapitana pytaniami.

Nim dojechali na przeznaczoną kwaterę, na któréj intencyą dnia tego poraz trzeci Bojarska „Pod Twoję opiekę" powtarzała, pomiędzy starym wojakiem a młokosem zawiązała się taka przyjaźń serdeczna, znajomość tak poufała, jakby z sobą niewiedzieć ile lat przeżyli.

Cochwila Wroniec schylał się, ściskał Bernardka, całował go i coraz mu coś nowego obiecywał.

Naostatek bryka zatrzymała się na dany znak

przed kamienicą w średnim wieku, ani zbyt starą, ni zbyt świéżą, dosyć powierzchownie obrukaną, i kapitan podał rękę profesorowéj, która jéj wistocie potrzebowała, bo się pod nią trzęsły nogi i w oczach ćmiło.

Sień wydała się jéj pałacową.

W mieszkaniu czekała ją niespodzianka. Nie było ono co się nazywa umeblowane, ale o najpotrzebniejszy sprzęt, który kobiécinie wydał się zbytkownym, postarał się kapitan. Gospodyni jego miała gotową kawę i coś do przetrącenia.

Bojarska ze strachu i radości naprzód się rozpłakała, ale na łzy niezwykła była tracić czasu. Otarła je, słysząc krzykliwą rozmowę Katarzyny, która już się do wyładowywania przysposabiała.

Nie było tu co popasać długo kapitanowi. Wstał z krzesła.

— Mnie się zdaje—rzekł—iż najrozumniéjby było, gdybyśmy my z profesorem i Bernardkiem poszli sobie gdzieś wieczerzać na miasto. Tymczasem nie zawadzalibyśmy pani dobrodziéjce, która tu miéć będziesz bardzo wiele do czynienia

Oparł się profesor.

— Nie mogę opuścić żony — szepnął. — Niewiele jéj pomogę, bom do tego niezdatny, ale obowiązek przedewszystkiém. Bernardka, jeśli chcesz, weź, ale ci będzie ciężarem; a potém.... jak powróci do domu?

Była godzina czwarta może z południa. Wroniec ofiarował się nad wieczór przyjść z chłopcem, którego matka jednak nie puściła, póki się nie ogarnął, nie umył i nie uczesał.

Rozpoczęło się gospodarowanie.

Nienawykła do rozmiarów, jakie tu znajdowała, Bojarska zachwycała się, ale i trwożyła. Pobiegła do ogródka. Opuszczony, zdziczały, niepodléwany... przeszedł jednak jéj nadzieje. Altana była podupadła, lecz można było obsadzić ją fasolą.

Z kąta w kąt naprzód chodzili oboje. Najlepszy pokój jéjmość chciała oddać mężowi, najgorszy przeznaczała dla siebie. Zgodzono się jednak wprędce.

Znoszono rzeczy. Niestety, drogocenne te rupiecie, które w małym dworku wcale przyzwoicie wyglądały, tu nawet profesorowéj nędznemi się wydały.

Katarzyna rozpaczała nad kuchnią, która ogromnie wiele drzewa na opalanie wymagać się zdawała.

Do wieczora niemal trwała rumacya z arki Noego do kamienicy, z coraz nowemi okrzykami zgrozy, bo mnóstwo rzeczy się połamało, poociérało, wielu doszukać się nie było można, a z niektóremi niewiedziéć co robić mieli.

Wszystko to jednak osładzała troskliwość nieo-

szacowanego kapitana, który na piérwszy ząb zaopatrzył śpiżarnię, tak że parę dni można się było obejść bez zakupów, aż do poznania się bliższego z targiem za Żelazną bramą.

Bojarska nierychło siąść i odetchnąć mogła. Próbowała kilka razy spocząć, lecz coraz nowego coś na myśl przychodziło i wybiegała z tém do Katarzyny, która również zapalczywie porządek starała się robić.

Profesor, zdjąwszy surdut, dobywał już książki, opatrując ile się ich poprzeciérało i pogniotło. Półek na nie jeszcze nie było, ale dosyć miejsca na ziemi.

O zmierzchu z przekarmionym łakociami Bernardkiem zjawił się kapitan i zastał jeszcze chaos, tak że uściskawszy kolegę, natychmiast uszedł z placu.

Chłopak z niesłychaną gadatliwością ojcu i matce opowiadał piérwszą swą po ulicach wielkiego miasta wycieczkę. Zachwycał się niém jak naturą, i znajdował, że jest od wsi, pod względem ludzi, nierównie piękniejszém. Mieli tu ludzie, przynajmniéj powierzchownie, coś wyższą i szlachetniejszą zwiastującego naturę.

Gdy to ojcu powiedział, profesor się boleśnie uśmiéchnął.

— Dziecko jesteś—rzekł—przekonasz się późniéj, że barwy i kształty kłamią.

Następnych dni, pomimo pomocy i informacyj Wrońca, Bojarska miała tyle do czynienia, że się oblewała potem i zdyszana siadać musiała cochwila. Profesor przechodził także rodzaj nowicyatu, który na stare lata jest twardym do zgryzienia orzechem.

Wszystko potrzeba było poznać, oswoić się, zdobyć zaufanie i rozbroić uprzedzenia—a co najgorzéj, kłaniać się, czekać w progu, składać hołdy, do czego Bojarski nie był nawykłym. Żołniérska jego natura twardy kark miała.

W wielu rzeczach jednak Wroniec mu był pomocą; znał ludzi, drogi i sam miał pewną wziętość.

Uprzejme przyjęcie znalazł Bojarski prawie wszędzie; ale piérwsza lekcya w szkole, gdy go do niéj rektor wprowadził, nawet dla zestarzałego pedagoga była przejściem dosyć ciężkiém.

Drapieżne oczy uczniów, które tak łatwo słabe strony człowieka dostrzegają, każdy ruch jego śledziły, chwytały każde słowo.

Bojarski był nieśmiałym, ale serce mu dyktowało, jak było najwłaściwiéj obejść się z młodzieżą. Piérwszą więc tę godzinę spędził na rozpytywaniu się i prawie wesołéj rozmowie. Spoufaliło to zaraz dzieci, chwyciło za serce i pod koniec był już jak w domu.

Tegoż dnia, gdy ojciec zasiadał na katedrze, syn wśród nowych towarzyszów pomieścił się na

ławie szkolnéj. Ale tu nowicyat był trudniejszy. Śmielszy od ojca, Bernardek począł sobie z niejakiém zaufaniem w swe siły i obudził pewien rodzaj zazdrości. Młodzież postawiła mu się wrogo, szydersko; łzy mu na oczach stanęły, lecz potrafił się zachować cierpliwie i mężnie.

Przy wyjściu z klas, kilku zbliżyło się do niego i lepszą zawiązało znajomość.

Młodzież, która go tu otaczała, znalazł Bernardek wielce odmienną od téj, z którą w miasteczku obcował, powierzchownie więcéj ogładzoną, śmielszą, dojrzalszą i zepsutszą. Zrobiła na nim wrażenie wyższéj klasy, choć nauką nie stała wysoko. Chłopcy w rozmowie takie okazywali obycie się ze światem, jakiém Bernardek wcale się nie mógł pochlubić.

Zadumany powrócił do rodziców, ale na zapytania ich odpowiedziéć nie umiał. Miał rozwagi tyle, że z piérwszego wrażenia sądzić nie chciał.

Bojarskiemu po wstępnéj lekcyi poszło wszystko jak z płatka. Bernardkowi było ciężko, lecz za brak porozumienia z towarzyszami, do którego jakoś przyjść nie mógł, płaciło to, że w nauce okazał się nierównie od nich lepiéj przygotowanym. Kilku zaledwie uczniów w klasie na równi z nim stało.

Profesorowie natychmiast się na tém poznali,

wyróżniając go. Głowę miał otwartą, pojęcie bystre, rozwinięcie nad wiek.

Ostatnie ławki, mieszczące w sobie drugoletnich i ogromnych chłopów, którzy się uczyć nie chcieli, największą mu okazywały pogardę.

Zpoczątku, chociaż się rodzicom nie skarżył, odbolał wiele Bernardek; ale wytrwał mężnie, zwyciężył, obył się, oswoił, zyskał przyjaciół kilku i życie stało się znośném.

Dobroć jego i uprzejmość, chętne pomaganie nawet tym, co mu się nieprzyjacielsko stawiali— powoli rozbroiło niechęci.

Po kilku miesiącach był już zupełnie ze swém położeniem pogodzony i uczył się znowu z zapałem, jak dawniéj, myśląc tylko o nauce.

Bojarskiemu téż wiodło się dosyć dobrze, lecz mimo to był smutny. W późniejszym wieku zmiana otoczenia, życia, atmosfery, nawet tych mnóstwa drobnostek, do których się wagi nie przywiązuje—rzadko bywa bezkarną.

Nie brakło mu tu niczego; książek ulubionych miał daleko więcéj i dostawał je z największą łatwością; lecz, przy staraniu nawet o zachowanie dawnego trybu rozporządzania sobą i czasem, życie w Warszawie sprowadziło wiele zmian dotkliwych.

Niepostrzeżenie tracił godziny całe na drogę do szkoły, na nieuchronne w korytarzach rozmo-

wy, na przyjmowanie Wrońca i dawnych a nowych znajomych. Spędzał czas przyjemnie, ale czczość jakąś czuł w duszy, nietyle czytając i myśląc, co dawniéj. Z podwójnym zapałem rzucał się potém do książki, lecz umysł potrzebował wypoczynku, myśl skupienia: czytał i nie rozumiał. Nużyło go to bardzo... smutniał.

Piérwsza profesorowa postrzegła w nim wielką zmianę, do któréj się przyznawać nie chciał.

Zagadnięty, prostował się, uśmiechał, udawał wesołego, przymilał się do żony, wmawiał jéj imaginacyą; ale Magdusia zbyt go dobrze znała, by najmniejsza zmiana uszła jéj oka.

Nie było tu Bojarskiemu z pewnością gorzéj— ale inaczéj. Nawyknąć nie mógł do większego ruchu, który go otaczał, do pośpieszniejszego życia. Cisza, spokój, samotność lat długich stały się dla jego ciała i duszy potrzebą. Brakło mu ich tutaj. Mizerniał na twarzy, tracił apetyt. Zwykłe zajęcia, owo przepisywanie, co mu dawniéj na godziny całe starczyło, teraz stawało się ciężkiém i nudném. Poczciwy, zacny Wroniec, który służył im obojgu z poświęceniem przyjaciela, z miłością brata i przyswoił w nich sobie rodzinę, a Bernardka kochał jak własne dziécię— czasem jednak męczył nawet Bojarskiego, powtarzając jedno—bo miał tę wadę starości.

Wciągu kilku tych miesięcy zmiana stała się

tak widoczną, że p. profesorowa w sekrecie, gdy męża nie było w domu, zwierzyła się ze swego niepokoju Wrońcowi, prosząc go, ażeby jakimś sposobem, nieznacznie, ściągnął doktora i zapytał o stan zdrowia Bojarskiego.

Kapitan, chociaż nie widział nic a nic grożącego, ulegając prośbom kobiéty, znalazł medyka, zwierzył mu się i zaprosił ich obu na śniadanie. Lekarz, niegdyś także wojskowy, człowiek niemłody i doświadczony, nie dając tego widziéć po sobie, zbadał dobrze profesora. Okazało się, że oczy żony wistocie dostrzegły, serce przeczuło, co dla innych było niewidocznem. Nie krył stary medyk, że Bojarski nad wiek swój był wyczerpany, znużony, że potrzebował spoczynku może, i zarazem czegoś, coby odżywiło. W takim razie ludziom niezależnym, majętnym radzi się zwykle podróż, kuracyą klimatyczną, rozrywki; ale dla ubogich, zmuszonych do pracy, są to środki niedostępne.

Lekarz sam wątpił, czy kilkomiesięczny urlop byłby pomocnym, gdy zasoby wygodnéj podróży, ze spokojem ducha, przedsiębrać nie dozwalały. Zakłopotał się Wroniec, ale Bojarską uspokoił, a sam postanowił tylko jaknajwięcéj rozrywek dostarczać przyjacielowi.

Pochodziło to z najlepszego serca, ale się wbrew sprzeciwiało temu, czego potrzebował Bojarski, którego rozrywki nie rozrywały, lecz męczyły.

Zdać się potrzeba było na łaskę Bożą.

Profesor sam, niespokojniejszy teraz skutkiem stanu zdrowia więcéj niż kiedy, z czułością nadzwyczajną, niemal chorobliwą, zajmował się synem. Było to uderzającém.

Czytał mniéj, nie przepisywał już wcale, lecz godzinami siedział z Bernardkiem w jego pokoiku, rozmawiał z nim, pomagał, a niekiedy milczący patrzył tylko na niego, zasępiony i osłupiały.

W tym stanie ducha jedno jeszcze, co mu na chwilę przywracało dawną żywość—były to nowości literackie i plotki, które z ówczesnych kółek, a nadewszystko z domu generała Krasińskiego, gdzie się zbiérali warszawscy poeci i literaci—krążyły po mieście. Z niemi razem dochodziły przepisywane wiérszyki dowcipne, koncepta, polemika, w któréj Dmochowski i Koźmian, Morawski, Osiński i młodzież napływająca do Warszawy czynną grali rolę.

Choć niewszystkie objawy tego były wielkiéj doniosłości, tlało w nich życie, była zapowiedź nowego prądu. Walka miała znaczenie większe niż treść jéj okazywała.

Bojarski nie brał strony niczyjéj, stał mniéj więcéj na tém stanowisku co Brodziński, uznając piękno, zkądkolwiek ono pochodziło. Poznał się on osobiście z autorem Wiesława i pokochał go, a poszanowanie miał dla niego wielkie. Łączyło ich wiele uczuć wspólnych, podobieństwo charakterów, toż samo zamiłowanie ciszy, samotności i pracy.

Były więc chwile w tym nowym trybie żywota miłe i rozgrzéwające, lecz na Bojarskim ciężyło coś, czego określić nie było podobna.

Bernardek, po przebytym nowicyacie, z tą giętkością młodzieńczą, która się do każdego położenia zastosować umié—szedł już teraz z głową podniesioną do marzeń swych celu.

Nie zmieniły się one, chociaż nie znajdował współuczniów, którzyby go zrozumieli. Każdy z nich miał przed sobą ideał jakiś, ale to były bardzo pospolite, powszednie i niewysoko sięgające mrzonki. Jeden pragnął zbogacenia, drugi miłości jakiéjś poetycznéj, inny połysku i znaczenia—sławy. Bernardek chciał być nie wielkim człowiekiem, ale czémś... czego sam nie umiał określić—wzorem cnoty, prawdomówności, prawości, szlachetności, poświęcenia... Niczém się nie skalać, *vitam im pendere vero*—i—*impavidum ferient ruinae...* wszystkie te starożytne frazesy

umiał na pamięć, pisał je na seksternach, zbiérał sobie, jako przewodnik do życia.

Miłość prawdomówności w szkole, gdzie często potrzeba się z czegoś wykłamać, dla uniknienia kary towarzyszowi lub sobie—narażała Bernardka w obliczu kolegów. Miano mu za złe, iż zapytany, jeżeli zamilczéć nie mógł, prawdy nigdy nie zataił.

Były to dziecińśtwa, ale Bernardek wiedział, że kto kłamie w rzeczach małych, wchodzić potém będzie z sumieniem w kompromis, gdy o ważniejsze przyjdzie walczyć.

— Raz nazawsze — odezwał się do towarzyszów w jednéj z podobnych okoliczności—proszę was, nie narażajcie mnie, bo ja nigdy i w żadnym razie, ani dla siebie, ani dla drugich nie skłamię. Mam to mocne postanowienie i dotrzymam go. Możecie mnie wygrzmocić, ale do fałszu nie zmusicie. Milczéć potrafię, lecz gdy mówić jest koniecznością, nie powiem, tylko prawdę.

Przezywano go Katonem, śmiano się z niego, wykuksano go razy kilka—ale Bernardek wcale nie myślał ustąpić.

Równie twardo stał w spełnianiu innych obowiązków, które raz uznał za zasadnicze. Dzielił się z biédniejszymi wszystkiém co miał, ze stoicyzmem aż do wygłodzenia dochodzącym, a matka rozpaczała często, że tak nierozważnie szafował

tém, co mu dawano. Bernardek na zarzuty odpowiadał ewangelią.

W chłopcu było to czasem śmiésznóm, bo go nad wiek czyniło poważnym i sztywnym, lecz z tego léczyć go było niebezpiecznie.

Wroniec się nad nim unosił, uwielbiał go i, gdyby Bernardek mógł być zepsutym—zepsułby go pewnie pochwałami.

Ojciec i matka byli nim dumni.

Nauka też szła, wedle programu ojca, ze zmianami zajęć ułatwiającemi ją, chwytana i połykana dziwnie—i Bernardek byłby z łatwością mógł, zdając egzamen, jednę klasę przeskoczyć; ale ani ojciec sobie tego, ani on sam nie życzył. Chciał stary, aby syn nie połykał pokarmu, ale go dobrze trawił. Wiérszy teraz mniéj pisywał chłopak, lecz plany różnych dzieł i pomysły najosobliwsze rodziły się w téj głowie, o których ojciec dowiadując się, najczęściéj mu wskazywać musiał, że to co on chciał pisać, było już doskonale i oddawna napisane.

Nie zrażało to malca, który się cieszył, że niezupełnie niedorzecznego coś wymyślił.

Nadeszły wakacye, które w miasteczku miały swe przyjemności. Były-bo tam czasy wycieczek na wsie, do lasów— przechadzek całodniowych z koszykami wiktuałów, w towarzystwie rodzin

profesorskich i t. p. W Warszawie niewiedzieć co z niemi robić było.

W murach dokuczał skwar, pył i gwar zwyczajny, a do Bielan, do Mokotowa i na Saską kępę było daleko i kosztownie. Tak, kosztownie, choć się to liczyło na skromne złotówki; ale są położenia, w których z niemi téż rachować się potrzeba pilno. Profesor miał powiększoną pensyą, dotrzymał mu słowa Wroniec i znalazł wykłady u jakiéjś pani dla dziéwcząt, ale wszystko to, razem z indeminizacyą, zaledwie pokryło koszta przenosin i podróży.

Najskromniejsze w Warszawie życie daleko było droższém, niż na prowincyi. Oboje Bojarscy mieli za zasadę nigdy nie robić długów— płacili natychmiast. Jéjmość utrzymywała regestra szczegółowe, a końce się zaledwie schodziły. Pozwalać więc sobie nie mogli.

Wroniec zręcznie bardzo często im pomagał rozmaitemi małemi przysługami, dowodząc, że to otrzymywał ze wsi, od przyjaciół bezpłatnie; ale i to nie starczyło na podwyższone wydatki.

Musiano oszczędzać troskliwie i tylko jedynak Bernardek nie czuł tego, bo oboje rodzice nie żałowali mu niczego.

Czasu lata Wroniec był przywykł do jednego z dawnych towarzyszów broni wyjeżdżać i tam spędzać kilka miesięcy, zabawiając się połowa-

niem. Pragnął koniecznie zabrać z sobą Bojarskiego, wyrobił zaproszenie serdeczne; profesor jednak ani chciał o tém słuchać. Żony opuścić nie mógł, Bernardka zabrać także... Postanowiono więc w mieście pozostać. Bojarski miał się wziąć do czytania; ale teraz, ile razy siadł do niego, więcéj dumał, niż czytał.

Bojarska, udając wesołą i nie okazując tego po sobie, po kątach zaléwała się łzami, bo mąż jéj w oczach nikł, chudnął, żółkł. Kaszlał—słabł i choć się krzepił niby, sam już na starość zaczynał narzekać i kawęczéć..

Z porady doktora przedsięwzięto pewne w życiu zmiany, które jednak nie uczyniły żadnego skutku. Przyczyna choroby leżała zbyt głęboko i usuniętą być nie mogła.

Bernardek ten czas wolny poświęcił nie spoczynkowi, ale nauce języków. Oprócz tego robili małe wycieczki, w których namiętnie herboryzował wraz z ojcem.

Gdy wychodzili za miasto w stronę Pragi, Bojarski nieraz mimowoli stawał, patrząc na lasy ciągnące się ku Miłosnéj i zakrywające mu jego dawne gniazdo, jego spokojny kątek. Łzy stawały mu na oczach. Co w nim było tak uroczego, ciągnącego serce ku sobie? Chyba wspomnienia lat ubiegłych, szczęścia, a nadewszystko spokoju.

Upłynął rok cały w Warszawie... Bojarski chodził wprawdzie bardzo regularnie do klas, bo nigdy się ani o minutę jednę nie zwykł był opóźniać, ale—był już teraz chory. Sam się przyznawał do tego.

Przywołany lekarz dawał lekarstwa, profesor je brał—nie pomagały.

Chciał żyć dla Bernardka, dla żony — a teraz nadewszystko dla dosłużenia się téj emerytury, do któréj mu lat kilku jeszcze brakło.

Tymczasem uciekało życie, a im uparciéj się go trzymał, tém widoczniéj wyślizgało się... biegło jak szparami płyn z rozbitego naczynia.

Kaszel się powiększał, chudość zaczynała być przerażającą, osłabienie nie dozwalało się przechadzać, wzrok się zaćmiéwał coraz bardziéj, ochota do pracy odpadała.

I jednego dnia rano, w bawialnym pokoju, opróżnionym ze sprzętów, Bojarski leżał w skromnéj trumnie, przy któréj płacząc, z załamanemi rękami, modliła się żona, klęczał Bernardek, Wroniec i kilku nauczycieli.

Opiekę nad rodziną powierzył kapitanowi, który by ją był sobie i samowolnie przywłaszczył, gdybymu jéj nie oddano.

Boleść profesorowéj była zrezygnowaną, cichą, chrześciańską, przejmującą, chociaż obowiązki względem dziécięcia poddawać się jéj nie dozwa-

lały. Bernardek w początku był oszalały z żalu, z rozpaczy. Nikt w świecie nie mógł mu takiego zastąpić ojca. Tylko wiara głęboka w nieśmiertelność, w życie przyszłe, w istnienie ducha, nawet w związek jakiś żywych z umarłymi—egzaltowane chłopię pocieszała. Mówił nieustannie o ojcu... Każde słowo jego, teraz przypominane, było świętą spuścizną. Wroniec postarał się wpływem swoim, aby profesorowéj wyjątkowo przyznaną była pensya trochę większa niż ta, do któréj miała prawo; lecz łaska umotywowana jako tako, pewnych granic przejść nie mogła. To co wyznaczono, zaledwie z trudnością mogło starczyć na bardzo ubogie utrzymanie matki i Bernardka. Kapitan postarał się także o stypendyum dla chłopca, lecz wszystko razem wzięte jeszcze niewiele wynosiło.

Potrzeba było naprzód zmienić już zaobszérne teraz i zadrogie mieszkanie, usunąć się na mniejszą uliczkę, a rachować ściśléj jeszcze.

Bojarskiéj, nawykłéj do prostego życia, postów i obywania się małém, nie ciężyło to tak bardzo, ale się troskała o syna. Bernardek znowu mocne miał postanowienie jaknajprędzéj przychodzić w pomoc matce i na chléb zarabiać.

Zdolny, usposobiony, jeden z najlepszych uczniów, znalazł zaraz korepetycye i bez wiedzy matki się ich podjął, nie chcąc ustąpić od tego.

Był dumnym, że choć czémś małém może się przyczynić do swojego utrzymania.

Lecz małemu Katonowi, z jego niewzruszonemi zasadami, i tu nie mogło iść dobrze. Ani rodzicom się przypodobywać, ani dzieciom pochlebiać i pobłażać nie umiał.

Mówił prawdę i robił sobie nieprzyjaciół. Najlepszą z lekcyj stracił, nie pożałowawszy jéj, boby ją musiał okupić fałszem, którym się brzydził.

Ludzie z trudnością go mogli zrozumiéć. Niepodobna było nie kochać tego wyrostka, pełnego życia, uprzejmego, miłego, usłużnego, łagodnego, a tymczasem gdy to dobrę chłopię zetknęło się z najmniejszém czémś wymagającém ustępstw— stawało okoniem, twardo, i nie dawało się złamać. Starsi czasem zakłopotani rumienili się przed siłą jego argumentów, które z młodzieńczą stanowczością i odwagą wypowiadał na swą obronę.

Znajdowali się tacy, co go ocenić umieli, ale w ostatku ta niezłomność dla ogółu niedogodną była.

Pomimo kilku niepowodzeń, korepetycye się utrzymały i coś tam do szczupłéj kasy przynosiły, a Bernardek uczył się po nocach, czas na nich spędzony od snu odbiérając.

Tu ani błagania matki, ani gaszenie świécy, ani żadne perswazye nie pomagały.

Czuł w sobie siły, młodość i był pewien że

twarde, pracowite życie zaszkodzić mu nie może. Wistocie z dosyć niepozornego chłopaka, jakim był w miasteczku, Bernardek bardzo na korzyść swą wyrósł: cera mu się odświéżyła, twarzyczka wypiękniała, oczy jeszcze większego nabrały blasku i matka znajdowała, że może być wcale przystojnym młodzieńcem, czego się nie spodziéwała.

To co miał w duszy, odbijało się na rysach, w obliczu, postawie i nadawało mu pewną oryginalność, jakąś cechę niepospolitą. Niepodobnym był do drugich—był sobą.

Wydawał się starszym nad wiek, poważniejszym, choć nie zbywało mu na wdzięku młodości. Potężna energia i odwaga znamionowały go szczególnie.

Wostatku i zazdrośni i niechętni wszyscy uznawali w nim młodzieńca wielkich nadziei. W klasach był piérwszym, choć się wcale nie dobijał tego dla próżności, bo był skromnym.

Profesorowie, z tą miłością dla wschodzących gwiazd, którą zwykle miéwają, patrzyli na niego i czasem słuchali, uśmiechając się ze śmiałych jego paradoksów.

Było niewątpliwém, że umysł tak żywy musi zawczasu wziąć się do wylewania choćby niedojrzałych myśli. Posądzano go o poezye—ale Bernardek, pamiętny słów ojca, zachwycając się

cudzemi, sam nie tykał pióra. Bronił się téj pokusie z taką samą energią, jaką w innych życia wypadkach okazywał—postanowił nie pisać, aż gdy w nim dojrzeją myśli i cały zawód naukowy nie zostanie ukończonym.

Drugi już rok upłynął od śmierci Bojarskiego, gdy jednego dnia Bernardek powrócił ze szkoły z wyrazem takiego jakiegoś bólu i frasunku na twarzy, że matka się ulękła.

— Co ci jest? — zapytała, obejmując go za szyję.

— Ale nic, matusiu!—to tak sobie. At, sprawa studencka—rzekł chłopak, ale czoło mu się nie rozfałdowało.

Ponieważ zawsze się zwykł był przed matusią spowiadać z najmniejszéj drobnostki i skrytości dla niéj nie miał, milczenie kazało się domyślać profesorowéj, że coś musiało zajść bardzo ważnego.

Zlękła się biédna, bo dla tego ukochanego syna obawiała się wszystkiego. Poczęła nalegać, ale Bernardek, przeciwko zwyczajowi, wyślizgiwał się, nie chcąc przyznać. Potrzeba było zaklęć i widoku niepokoju, jaki ogarnął Bojarską, aby go zmusić do wyznania.

Rzecz się tak miała.

Bernardek od kilku już miesięcy spotykał się w dziedzińcu szkolnym ze studentem trzeciéj kła-

sy, obdartym, w dziurawych butach, bladym, chudym, zbiédzonym, który w nim niezmierną litość obudzał.

Było to, jak się dowiedział, nie dziecko warszawskiego bruku, ale siérota po rodzicach, którzy tu się przybłąkali z prowincyi i zmarli w wielkiéj nędzy.

Chłopak, zowiący się Emilem Twardzińskim, zostawiony na łasce losu, powinien się był zwalać, bo się nim nikt nie opiekował, piasek nosić, lub wyjść na parobczaka. Jakim sposobem dostał się do klas, trudno się było dobadać. Ksiądz jakiś podobno wziął go naprzód do posługi i czytać nauczył. Z elementarnéj klasy przeszedł do piérwszéj i wlókł się daléj, utrzymując cudem jakimś... Jak sobie na to zarabiał, nie mówił. Samo wytrwanie w nędzy uparte mówiło za nim, ale téż nic więcéj. Był to w całém znaczeniu łobuz, zły, zazdrosny, cieszący się cudzą biédą, kąsający, podstawiajacy nogę, gotów męczyć dla saméj przyjemności męczenia, odcinający się za każde słowo, zuchwały — słowem istota w nieszczęściu zgniła i zepsuta.

Gdy chciał jednak, uczył się łatwo i dobrze. W klasie nie miał przyjaciela, nikt go nie lubił, a on każdemu łatkę przypinał. Profesorów wyśmiéwał, przedrzéźniał i tak jak Bernardek żył prawdą, on kłamstwo miłował i umiał łgać

z prawdziwém w tym kunszcie mistrzostwem. Poprzéć fałsz nawet przysięgą najuroczystszą nic go nie kosztowało.

Gdy mu tego dowiedziono, śmiał się. Chudy, wyciągnięty, brudny, z włosami ciemnemi rozczochranemi, fizyognomią miał niby cygańską: oczy duże, czarne, zęby białe, rysy twarzy dość regularne, ale z wyrazem złym, zwierzęcym jakimś, napastliwym. Umiał udawać pokorę, lecz tak go to kosztowało, że cochwila przechodził z niéj do zuchwalstwa.

W bójkach ze studentami obawiano go się, bo był silny, a bez miłosierdzia, a gdy się zawziął, kąsać był gotów.

Fantastyczne to było stworzenie, lecz niewątpliwie siła się w nim objawiała, któréj tylko pewien nadać kierunek było potrzeba, aby z tego wyrodka zrobić człowieka. Zdaniem powszechném miał jednak wyrosnąć na łotra.

Bojarskiego ciekawość obudził Emil chwilą przypadkowéj rozmowy. Nędza, która była na nim jawną, litościwe serce chłopca poruszyła. Zbliżył się umyślnie do niego, aby go wybadać, a jeśli można, trochę go dobrém słowem nawrócić na drogę pracy spokojnéj.

Nadspodziéwanie swe znalazł Bojarski tego trzecioklasistę rozwiniętym. Nauki było niewiele, ale zdolności, bystrości, daru postrzegawczego

nad miarę. Wszystko to zaprawne goryczą, szorstkie, złe, dowcipne, pogardliwe czyniło chłopię nadzwyczaj dziwną istotą, dojrzałą i zbłąkaną, rozbolałą i oszalałą niemal.

Conajmniéj było z niéj ciekawe studyum, nawet dla takiego jak Bernardek młokosa.

Po kilku spotkaniach z tym Emilem, Bojarski powziął rodzaj politowania i spółczucia nad biédakiem. Naprzód dał mu kilka niepotrzebnych już książek naukowych, parę razy zasilał go datkiem, potajemnie wynosząc coś ze starzyzny.

Bernardek powiedział sobie w duszy, że gdyby się miłosierna jaka istota zajęła tym nieborakiem, przytulała go, nakarmiła, osłodziła mu byt, to z tego złośliwego zuchwalca zdziczałego mógłby wyrosnąć człowiek zdolny, pożyteczny, bo na zdolnościach mu nie zbywało.

Ale potrzeba było codzienném obcowaniem, czuwaniem powoli przyswoić, zmiękczyć, uzdrowić to stworzenie.

— To obowiązek!—powtarzał sobie mały Kato—jak nie ratować? Wyjdzie na łotra, powiadają, ale może wyjść i na znakomitego człowieka. Pamięć ogromna, pojęcie bystre!

Raz to sobie powiedziawszy, Bernardek nie mógł się pozbyć myśli, aby przyjść w pomoc nieszczęśliwemu sierocie. Biédząc się z wynalezieniem środków, dostrzegł wkońcu, że nie było nie-

podobieństwem własnym chlebem się podzielić, dać mu schronienie, a tém silniéj nieustannie czuwać nad nim i wpływać na niego. Gotów był i skromny swój posiłek, i część odzieży i kąt mu dać przy sobie, ale dla matki był to ciężar nowy.

Uprzykrzenie nad tém przemyślał, a pragnieniu spełnienia chrześciańskiego, ludzkiego obowiązku oprzéć się nie mógł. Wprawiało go to w rodzaj gorączki. Twardziński, zostawiony sam sobie, obcujący nie wiedzieć z jakimi ludźmi, wystawiony na wpływy, które już się na nim widzieć dawały, musiał zdziczéć i do reszty się zepsuć. Każdy dzień powiększał niebezpieczeństwo.

On i Bernardek byli jednego wieku, niemal jednego wzrostu, mógł więc Bojarski resztkami swemi go odziewać. Straszno było spojrzéć na Twardzińskiego, na którego mundurze łata leżała na łacie, spodnie odarte u dołu, całe w strzępach, koszuli dopatrzéć się nie mógł Bernardek... Włosy nieczesane, twarz niemyta czyniły go, mimo niebrzydkich rysów, odrażającym. Studenci obawiali się siedziéć koło niego, a gdy się otarł o którego, starannie się potém otrzepywali. Twardziński też, wiedząc o tém, na złość wciskał się między nich, aby im figla spłatać... Był to Paria, jedném słowem.

Gdy matka nalegać zaczęła na zasmuconego chłopaka, wyspowiadał się jéj wkońcu.

— Ja nie wiem — rzekł — jak ludzie mogą z obojętnością i krwią zimną patrzéć na ginącą w oczach ich istotę, w któréj może skarb się ukrywa; nie pojmuję, że się nim nikt nie zaopiekuje.

— Mój drogi—odparła Bojarska—my przynajmniéj podjąć się tego nie możemy. Zważ jak nam samym utrzymać się jest trudno, jak ubodzy jesteśmy. Nie wiész co to jest wziąć do domu obcego, rozpuszczonego, przywykłego do rozpusty chłopaka. Dla ciebie byłaby to troska nieustanna, przeszkoda w nauce, a dla mnie kłopot bez miary, obawa. Łobuz, musi być niesforny, sam mówisz że jest złośliwy. Niepokój ciągły... Jego nie poprawisz, a my się zagryziemy.

— A! matusiu—przerwał Bernardek—gdyby nie ty, nie namyślałbym się ani chwili. Naturalnie, że z nim będzie wiele do czynienia, nim się go przerobi; ależ niemała rzecz człowieka wyrwać zagubie. Myśmy téż siéroty, więc nad siéroctwem serca nasze litować się umieją... Płakać mi się chce, gdy myślę, że ten biédak przepadnie.

Profesorowa wzdychała. Godziła się na poświęcenie staréj odzieży, choć ją można było sprzedać i wziąć kilkanaście złotych; gotowa by-

ła coś ofiarować z bielizny, karmić nawet czasami, ale brać do domu! Strach ją przejmował.

Bernardek nie nalegał, ale smutniał. Oporządziwszy nieco Twardzińskiego, kazawszy mu się umyć i uczesać, dnia jednego przyprowadził go na obiad do matki. Bojarska miała przy swéj prostocie instynkt kobiécy, który rzadko ją mylił, gdy się z nowymi ludźmi spotykała. Bacznie patrzyła na Emila, który, mimo pewnego przymusu, nie potrafił się otrząsnąć z zuchwalstwa i nabranych nałogów prostaczych. Obudził w niéj wstręt i obawę. Nie mogła pojąć spółczucia, jakie syn mu okazywał.

Twardziński, ośmieliwszy się u stołu, począł wszystkich wyśmiéwać, przechwalać się ze swych najgorszych figlów, odgrażać nawet— i lekceważąco prawie znajdował się w gościnie. Najadł się, napił, naładował kieszenie i poszedł, zaledwie się skłoniwszy.

Przez czas jakiś mowy o nim nie było, chociaż Bernardek się nim opiekować nie przestał. Nakoniec w kilka miesięcy, gdy profesorowa była zmuszoną zmienić mieszkanie i przeprowadzić się na nowe, gdzie została mała izdebka próżna, Bernardek tak począł ją po rękach całować, prosić, modlić się, że profesorowa się nakoniec zgodziła oddać ją dla Emila. Miała osobne wnijście, by-

ła oddzieloną, zdawało się jéj, że to nic nie pociągnie za sobą.

Twardziński zaraz nazajutrz się tu wniósł, z małym węzełkiem pod pachą... Nie miał ani łyżki, ani miski... ani nic — gałganów trochę. Samo z siebie wynika, że siadał do stołu, a począwszy od chleba, którego połykał ogromne kromki, jadł co napadł tylko z żarłocznością długo wygłodzonego. Bernardek widocznie się wstrzymywał od jedzenia, aby matka się tém nie trwożyła.

Oprócz tego był nieznośnym w obejściu się. Pół dnia siadywał w kuchni u Katarzyny, którą męczył i odkradał jéj wiktuały; ciągle czegoś potrzebował, przywłaszczał sobie bez pozwolenia, słowem postępował tu tak, jakby był panem, nie z łaski przyjętym gościem.

Bernardek z cierpliwością niezmierną dawał mu lekcye prywatne, w czasie których Emil patrzył w okno, myślał o czém inném, świstał i mało sobie cenił to poświęcenie.

Młody Kato tłumaczył to matce tém, że tych starych nałogów prędko nie było można się pozbyć. On miał cierpliwość i—nadzieję.

Tymczasem jeden tylko skutek tego polepszenia losu na Twardzińskim widać było: rosnące zuchwalstwo i zarozumiałość.

Bojarska się go obawiała — ona i Katarzyna

pocichu utyskiwały nad tą załogą, która im strasznie ciężyła; ale jak było kochanemu Bernardkowi odmówić?

On cieszył się. Wynajdywał coś codzień na pochwałę swojego ucznia, podnosił go, tłumaczył. Doprowadził wreszcie do tego, iż dostał promocyą, z czego był szczęśliwszym, niż ze swojéj najpiérwszéj nagrody. Wistocie na zepsutym chłopcu, w którego krwi może już była spuścizna łotrostwa, szczęśliwa tu zmiana położenia wywarła skutek przeciwny, niż się go Bojarski spodziéwał. Nabrał odwagi do złego, więcéj trochę chytrości w ukrywaniu się z niém, zręczności w kłamstwie, a natura na dnie została taż sama.

Wczasie wakacyj pod jakimś pozorem wyprosił się i zniknął, niby na wieś mając się udać, chociaż Katarzyna, chodząc na targ, zaklinała się, że go w mieście widywała.

Twardzińskiemu, do nieograniczonéj nawykłemu swobody, przykrzył się nadzór, pewien rodzaj zależności i niewoli. Miał podobnych sobie towarzyszów i towarzyszki w mieście i wrócił do cygańskiego życia.

Po upływie wakacyj przyszedł znowu opalony, brudny, odarty, zuchwalszy niż przedtém; ale następnego roku, z wielką pociechą Bernardka, wziął się do nauki pilno. Co go pobudziło do te-

go, nie można było dojść; nauczyciel przypisywał to sobie.

Następnie widoczną była w nim powoli przychodząca zmiana, chociaż całkiem powierzchowna, lecz niezaprzeczenie zdająca się prowadzić ku lepszemu.

Zuchwalstwo zastąpiła chytrość, niby powolność i posłuszeństwo, potakiwanie milczące. Ale, jak dawniéj, tak i teraz, w domu z nim męka była i strapienie, bo ciągle coś tasował, wyciągał, a i książki Bernardkowi ginęły, idąc na Żydy. Emil zawsze piérwszy denuncyował stratę i wiedział kogo o nią można było posądzić, tak że sam umiał czysto wychodzić i odwrócić podejrzenie.

I tego roku Bernardek przeszedł świetnie do ostatniéj klasy, a jego wychowaniec postąpił do piątéj.

Co do nauki, nic mu nie było można zarzucić: pojmował łatwo, pamięć miał wielką, ale głęboko się nie zaciekał. Bernardek postrzegał to z niejakiém podziwieniem, że wielu rzeczy umiał się domyśléć, nie ucząc, albo tak z zadania wywinąć, iż zdawało się, jakby je rozwiązywał. Oszukiwać doskonale miał talent niepospolity.

W Bernardku te lata rozwinęły to, co obiecywały poprzedzające. Był-to już niemal dojrzały

człowiek i za takiego go uważano; on tylko sam siebie bardzo jeszcze mało cenił.

Czas nadchodził, w którym o kierunku na przyszłość rozstrzygnąć było potrzeba. Matka, która się najwięcéj o chléb troszczyła, o spokojny dla niego byt i życie, pocichu podszeptywała medycynę, która i teraz i dawniéj uchodziła za najpewniejszy chleba kawałek. Bernardek jednak najmniejszego do niéj nie czuł powołania; serce go ciągnęło do literatury, poezyi, do nauki, która nic nie daje, oprócz gałązek lauru, a jéj wszystko poświęcić potrzeba.

Ojciec mawiał mu zawsze, że popełnia czyn świętokradzki, kto głosu powołania nie słucha, bo ten jest głosem Bożym. Słowa te ojca były dla dziecka świętemi.

Lecz w pojęciu jego literatura, choćby tylko dała skromną posadę nauczyciela, płaciła sowicie rozkoszami, które przynosiła zaspokojonéj duszy.

On przeto postanowił sobie poświęcić się literaturze, matki tylko nalegania i niepokoje od oświadczenia się z tém stanowczo jeszcze go wstrzymywały.

Wreszcie i ona dziecku nie miała siły się sprzeciwiać.

Wciągu tego pół wieku, który nas przedziela od lat młodości Bernardka—wiele, bardzo wiele

zmieniło się na świecie. Literatura, jeśli nie u nas, to gdzieindziéj, nietylko daje chléb, ale i masło do niego; chudy literat tradycyjny utył znacznie. Pisarstwo, zamiast być, jak dawniéj, poświęceniem, stało się zawodem. Za owych jednak czasów ani Bernardek, ani nikt nie widział w powołaniu tém nic innego nad ofiarę, nieprzezwyciężonemu wewnętrznemu poczuciu misyi uczynioną.

Młody Bojarski widział w tém pewien rodzaj kapłaństwa—najszczytniejsze zadanie. Prowadzić ludzi ku światłu, a przez nie ku cnocie, do téj *civitas Dei*—do wymarzonego ideału...i—nie wartoż było znosić, cierpiéć, mrzéć głodem, aby stać się apostołem wielkich idej, nawołującym ludzkość na drogi Boże?

Obok tego celu, sam kult piękna był szczęściem w jego pojęciach... Czuć i tworzyć piękno nie jest-że największą rozkoszą?

Poeta, wódz, kapłan, choćby w łachmanach—nie był-że największą świata ozdobą?...

W ostatniéj klasie uległ Bernard pokusie—począł pisać. Zdawało mu się, że poznawszy, co tylko poezya wydała najpiękniejszego aż do czasów ostatnich, mógł pochwycić za pióro i spróbować, czy z piersi wytryśnie źródło żywe.

Długo wprzódy nosząc się z myślami, wyrabiając w sobie temata, ubiérając je w jaknaj-

świetniejsze szaty, miał zapas ogromny, niezużyty, który drudzy na marnych próbach rozpraszają.

Z bijącém sercem, z niewypowiedzianą rozkoszą—począł tworzyć.

Lecz co w myśli okryte było uroczemi blaskami, co się zdawało łatwém do wylania, do wcielenia — gdy przyszło nadać temu formy pewne, ukazało się bladém i słabém.

Wstawał w gorączce od pisania, a potém, gdy owoc pracy i natchnienia wziął w rękę, znajdował go poronionym i słabym—w umyśle jego był on daleko doskonalszym.

Zraziło go to, ale postanowił walczyć...

Tysiące tajemnic ma w sobie sztuka. Zbytek natchnienia rozpłomieniającego siły do tworzenia często odbiéra—ostygnięcie zupełnie ich pozbawia. Znaléźć chwilę szczęśliwą jest niełatwém.

Ileż płodów poronionych przez szał, który panem nad sobą nie dał być poecie; ile chybionych rzeczy, gdy z natchnienia odblask tylko został i wspomnienie!

Była to chwila, w któréj poezya zaczynała się ku najnaturalniejszym zwracać źródłom, ku pieśniom ludowym, tradycyom narodowym—do materyału rodzimego. Bernardek mało znał lud: pzieciństwo spędził w miasteczku, młodość mu upły-

wała w stolicy; piękności sielskiéj poezyi odczuł tylko w zbiorach wydanych, szczególniéj w obrobieniu ich i zużytkowaniu przez Brodzińskiego. To jednak nie starczyło. Postanowił sobie w jakikolwiek sposób zbliżyć się do ludu.

Z drugiéj strony stała poezya Byronowska, z całą potęgą wiekuistych tęsknic i boleści ludzkich, pociągająca ku sobie rozpaczliwym, często szyderskim swym wyrazem. Potężną jéj piękność czuł Bernard, ale zdawała mu się za czarną a poza nią niebios i niczego jasnego nie było widać. Okrywała świat ciemnościami i żałobą. Była raczéj jedną struną wiekuistéj lutni — nie całą nią, lub wyrazem prawdy. Ostatniém słowem jéj rozpacz, a Bernardek pojąć tego nie mógł, aby świat miał być stworzony na to, ażeby istnienie swe przeklinał. Trwogą ogarniały go te skargi boleściwe, przejmujące, złowrogie, zostawiające po sobie truciznę i niesmak.

Piérwsze więc próby wypadły dziwnie. Było w nich coś z powiewu świéżego, wiosennego, trochę tęsknicy—nieoznaczonego coś i mglistego. Bernardek nie był z nich rad i popisywać się niemi wcale nie myślał.

Przypadkiem mu je wykradziono. Choć się może niczém nie odznaczały nadzwyczajném, formą, któréj dar miał i poczucie szczęśliwe, mogły najsurowszego znawcę zachwycić. Wiérsz

był prześliczny, dźwięczny, harmonijny, wykwintnie wydłutowany, tak że pokrywał słabość treści, odświéżał co w niéj było zużytego.

Poszły próbki te po rękach, dostały się ówczesnym koryfeuszom i... zdumiały.

Wszyscy znajdowali w nich zapowiedź znakomitego talentu; ale Bernardek był w rozpaczy, bo czuł, że one fałszywą dawały miarę jego zdolności i siły.

Brodziński, który się tak po ojcowsku zajmował młodzieżą, powołał go do siebie. Z uniesieniem wyraził się o piosence i baladzie, które mu przyniesiono.

Ze spuszczonemi oczyma słuchał tych pochwał Bojarski.

— Panie profesorze—rzekł—prawdziwie nie zasłużyłem na nie. Czuję ile braknie tym piérwszym młodzieńczym porywom. Nie mam jeszcze nic wyrobionego, własnego; są to oddźwięki, powtórzenia i... wiem że są słabe.

— Tem lepiéj—odparł profesor—że zbytniéj wagi nie nadajesz temu, choć to są rzeczy piękne. Wydrukuję je.

— Ale bez imienia mojego! — zaczął prosić Bernardek.

— Zgoda na to—rzekł, śmiejąc się, Brodziński.

W druku—o cudo!—samemu poecie próby te

wydały się lepszemi niż wprzódy, para tylko omyłek drukarskich wprawiała go w rozpacz.

Nie zrobiły te wiérsze wielkiego wrażenia, a jednak więcéj może czytane były i rozbiérane, niż dziś ukazujące się najpiękniejsze poemata. Poezya była na porządku dziennym—odradzała się, pragniono jéj.

Skutkiem piérwszéj próby musiało być, że zachęciła i natchnęła Bernardka do dalszych. Przystąpił do nich z większym namysłem, rozwagą, ostrożnością, hamując zapał. Tym razem był to mały poemacik z podań ludu, którego całość ułożył udatnie, a kilka epizodów, w szczęśliwéj chwili wyśpiéwanych, miało urok młodzieńczego uczucia. On sam znajdował jednak, że zamało w tém był sobą. Adam, który nastroił lutnię całego pokolenia, i tu się czuć dawał.

Nad poemacikiem Bernardek pracował więcéj, przerobił go parę razy, porównał rzut piérwszy do późniejszych, dziwiąc się temu, że niekoniecznie poprawki były wszędzie szczęśliwe. Pomysł ich prawie zawsze przechodził pierwotny, lecz forma i wykonanie mu nie odpowiadały.

Brakło zresztą tym wszystkim wylewom serca struny, która brzmiała gdzieindziéj najgłośniéj—miłości. Bojarski, oprócz jakiegoś nieokréślonego uczucia zachwytu widokiem Klarci, nie kochał się wcale, nawet po studencku. Nie miał na to

czasu. Miłość dla matki przepełniała mu serce, inna jeszcze się w niém nie zrodziła. Co więcéj— miał rodzaj wstydu, który mu nie dozwalał obnażać serca i na popis dawać przed światem to, co w niém najdroższego było. Ile razy czytał miłosne wiérsze, rumienił się, nie pojmował jak te świętości można było na profanacyą, na szyderstwo zimne, na targowicę wynosić i rzucać ludziom pod nogi.

Miłość dla niego była tym kwiatem, który dotknięcie najmniejsze zważyć musiało... wielką tajemnicą świątyni życia, zamkniętą w jéj przybytku.

Rozpoczęły się nowe studya w akademii, nowe życie poświęcone nauce, ale już wyemancypowanéj, wcale innéj, z majestatem swym ukazującéj się w całym blasku.

W ostatnim roku rozstali się z panem Emilem Twardzińskim, lecz—co przewidzieć było łatwo— w taki sposób, że Bernardek zyskał w nim sobie nieprzyjaciela i oszczercę.

Coraz jawniejsze i częstsze wybryki nieposkromionego Emila zmusiły do surowości, do słów prawdy, których zuchwalec znieść nie umiał. Nieuszanowanie okazane profesorowéj dopełniło miary: Bojarski kazał mu się wynosić z domu.

Twardziński wyszedł, poprzysięgając zemstę dobroczyńcy.

Był on już teraz znacznie wyrobiony i przeistoczony na nowego człowieka; ale skorupa się tylko zmieniła; w gruncie pozostał czém był we wnętrzu – cyganem.

Tyle zyskał, iż przekonawszy się że nauka jest potrzebną i może być użyteczném w życiu narzędziem, pilnie się uczył i z czasu umiał korzystać. Zdolności rozwinęły się w nim nadzwyczaj szczęśliwie, szybko, z tym samym charakterem, który prowadził go do chwytania powierzchownie wiadomości i zręcznego ich zużytkowania.

Nie było w nim miłości nauki — on ją tylko uważał za niezbędną. Ogromne życia pragnienie tłumiło w nim wszystko. Powiedział sobie, że powinien zdobywać w jakikolwiek sposób i wykształcenie cenił, jako narzędzie do walki.

Wyrzucony przez Bernardka, teraz już mógł sobie dać radę. Wyglądał dość przyzwoicie ze swą fizyognomią cygańską, czarnemi oczyma zuchwałemi, ustami uśmiéchającemi się szydersko, ślicznemi zębami. Wzrost, postać, ruchy czyniły go pięknym mężczyzną, choć życie piérwsze na bruku nadawało mu coś rubasznego, śmiałego, nie bez pewnego wdzięku.

Świadectwa z nauk dobre dozwoliły mu zna-

léźć miejsce korepetytora... Bernardek stracił go z oczu. Sposobić się miał na jurystę.

Koleżeństwo uniwersyteckie wprowadziło Bernardka, którego już mianowano poetą, w sfery nowe.

Młodzieży z wyższych towarzystwa warstw było dosyć. Ci nawet, co zpoczątku sposobili się w domach, przy nauczycielach prywatnych—przechodzili do uniwersytetu i zasiadali na ławach obok dzieci ubogiéj szlachty i urzędników.

Powierzchowność, skromność, dobre imię, jakie miał Bernardek, zbliżyły go wkrótce do paniczów. Nie miał on zbyt demokratycznych uprzedzeń, choć ojciec jego nigdy się do panów nie cisnął i o stosunki z nimi nie starał.

Bernardek téż ani unikał, ani się napraszał, ale znajdując w dobrze wychowanéj młodzieży przyjemność—nie dziczył się. Więcéj on do niéj przypadał, niż wielu popsutych chłopaków rodzin zamożnych. Jest bowiem pewna arystokracya natury, czyniąca czasem najprostszych wieśniaków wybrańcami, gdy potomkowie krwi znakomitéj gburami być mogą. Bernardek miał to poczucie przyzwoitości, delikatności, a w obejściu się ogładę, które w salonie, mimo nieoswojenia się z nim, nie wydawały obcego mu przybysza.

Powoli poznawał świat, rzucał w jego głębie ukradkowe wejrzenia i nabywał wyobrażenia

o tym kalejdoskopie, którego obrazy są nieskończonéj rozmaitości.

Praca szła tymczasem daléj i szczęśliwie. Obok poezyj, zasnuwały się plany rozpraw i tu dopiéro poznał Bojarski niezmierną ważność nauk historycznych, bez których na żadném polu kroku uczynić nie było można. Znajomość przeszłości okazała się niezbędną.

Trzeba się było zwrócić ku nowym studyom, bo to, co się ze szkół przyniosło, prawie na nic się nie zdało... Dzieje, z całym ogromem tego co je stanowi, z tysiącem pomocniczych drobnostek, które są ich źródłami — przerażały zrazu pracą, jakiéj wymagały.

Ale w nich i najlepsze nasiona poezyi tkwiły także: nauka miała urok wielki.

Po staréj szkole Naruszewiczowskiéj, nowa Lelewelowska odkrywała światy nieznane. Wszystko przerabiać było potrzeba i na nowych oprzéć podstawach.

Stara profesorowa wiodła, wpatrzona w swe ukochane dziécię, tak pięknie i szczęśliwie się rozwijające, obiecujące tyle—żywot wdowi, karmiony wspomnieniami, modlitwami i domowemi staraniami o Bernardka. Pozbywszy się Emila, który okrutnym dla niéj był ciężarem, czuła się teraz szczęśliwą. Katarzyna znała już Warszawę, targ, ceny, przekupki na placach. Zrana, po

kawie, Bojarska szła do blizkiego kościoła na cichą mszyczkę, z kilku trojakami dla ubogich w woreczku... Powracała do domu, aby się rozpatrzéć w obiedzie, czasem sama pomagała w kuchni, lub zajmowała się bielizną, a potrosze czytywała.

Prawdą a Bogiem, choć synowi posłuszna, kładła książki przed sobą, bardzo często nad niemi nieprzezwyciężona drzémka ją napadała.

Broniła się jéj, popijając wodę, wracała do poczętéj karty—ale myśli nadchodziły różne.

Na obiad Bernardek wracał najczęściéj ożywiony, wesół i mający zawsze coś do opowiedzenia matusi. Słuchała go z zachwyceniem. Po obiedzie rozstawali się do wieczora... a Bojarska po długich pacierzach, wczasie których po saloniku chodziła z paciorkami, kładła się spać, rozmarzona swoim Bernardkiem.

Stary Wroniec ich nie opuszczał, przybywał często, służył wiernie, ale nieboraczysko w dwu latach ostatnich ogłuchł mocno, rozmowa z nim szła nadzwyczaj ciężko, co on sam wiedział. Zwykle opowiadał plotki miejskie, powtarzał stary koncept jaki, całował w rękę profesorową i odchodził, zawsze prawie na stoliku lub na komodzie zostawiwszy ślad po sobie. Miał to nawyknienie starych robienia małych przysłużek i podarunków, tak że rzadko przyszedł z próżne-

mi rękami. Były to pospolite i niekosztowne przysmaczki... a matka cieszyła się z nich dla Bernardka.

Bardzo mało znajomości nowych zrobiła Bojarska w Warszawie, ale i na tych jéj nie zbywało. Dwie profesorowe, stara panna, daleka kuzynka Wrońca, która mieszkała u kanoniczek, jedna żona urzędnika, stanowiły kółko szczupłe... Z tych pań, oprócz jednéj profesorowéj i żony referendarza, żadna nie miała córek i młode panienki, któreby spokój serca Bernardkowi odebrać mogły, nigdy prawie nie bywały w domu.

Bojarska się obawiała niezmiernie dla syna, aby zawcześnie nie obarczył się rodziną, a jako matka, wiele, bardzo wiele wymagała dla niego. Starała się dobadać, czy nie miał jakich miłostek za domem—lecz Bernardek był skromny i zdawał się dotąd o jednéj tylko myśléć matce.

Modliła się na tę intencyą poczciwa staruszka, aby syn jaknajdłużéj z tém usposobieniem pozostał...

Wtém jednego dnia spotkała Bojarską niespodzianka.

W chwili gdy powróciła z kościoła, Katarzyna, czekająca na nią w sieni, szepnęła jéj na ucho, uśmiéchając się, że jakaś pani czeka na nią w saloniku.

— Kto?

— Zobaczy pani!—tajemniczo zamruczała Katarzyna.

Profesorowa weszła. Na krzesełku siedziała, tyłem do okna zwrócona, ubogo ubrana kobiéta, któréj poznać nie mogła, a obok niéj—co uwagę Bojarskiéj zwróciło — nadzwyczajnéj piękności dziéwczę... Daleko wytworniéj i aż do zbytku jaskrawo ustrojona panienka była uderzającego blasku i uroku istotą. Niebieskie oczy łzawe, włosy złociste, płeć białości śnieżnéj, postać, wszystko w niéj składało się na taką doskonałość, że oczu od niéj oderwać nie było podobna. Wykrzyknik z ust się dobywał: Jaka piękna!

Biédnéj profesorowéj, która jeszcze nie wiedziała wcale z kim ma do czynienia, piérwszą myślą było: — O mój Boże, Bernardek gotów się w niéj zakochać!

Wtém przystąpiła do niéj z powitaniem starsza, a zdumiona Bojarska poznała w niéj owę wdowę Saską, więc w dziéwczęciu Klarcię.

Jakim sposobem się one do Warszawy dostały?... Saska dopiéro zasiadłszy, całą tę historyą opowiadać zaczęła. Wyszła ona za mąż z miłości dla nieboszczyka, czemu brat się sprzeciwiał i zerwał był z nią stosunki. Uboga, długo utrzymywała się ze studentów, wychowując Klarusię. Tymczasem brat, szlachcic niegdyś zamożny, majątku nadtracił, owdowiał i przeniósł się do War-

szawy, i choć sam był w bardzo ciężkich interesach, zażądał od siostry, aby się do niego sprowadziła, dla zajęcia dziećmi jego i domem.

Saska z największą radością podjęła się tego, licho sprzedała domek i była już od dwóch miesięcy z córką w Warszawie.

Bojarskiéj biło serce... Cieszyła się, że biédnéj Saskiéj los się polepszył, ale drżała, patrząc na Klarcię... A! taka strasznie była piękna!

Zaczęła się przerywana rozmowa o miasteczku i jego mieszkańcach. Dowiedziała się z niéj profesorowa, że jedna ze Szprengerówien wyszła za Paczurkę, że chora Boberkowska skończyła doczesne życie, a opłakujący ją poczciwy mąż ciągle na cmentarz odbywa pielgrzymki; że Tragczyński dostał emeryturę, że rektor także na nią czeka i w miasteczku wiele a wiele się zmieniło.

Nie było ono już tém, co niegdyś. Nowi ludzie, życie niebardzo zgodne, waśnie i plotki miały teraz w cichém gnieździe panować. Ale Bojarska o niém słuchała, łzy mając na oczach, bo dla niéj było ono tém co dawniéj, ukochaném, spokojném.

Z obawą wielką patrząc na zégar, liczyła minuty przedłużających się odwiédzin profesorowa. Szło jéj o to, aby Bernardek nie nadszedł i nie zobaczył Klarci. Nie wiedziała że kiedyś w kontemplacyach jéj dziecinnych wdzięków się zata-

piał, ale miała macierzyńskie przeczucie niebezpieczeństwa.

Jak się to najczęściéj zdarza, to czego się człowiek obawia, przyjść musi. Wśród rozmowy usłyszano kroki, które matka poznała: Bernardek wszedł i stanął jak osłupiały.

Rumieniec, pomieszanie byłyby go zdradziły, gdyby matka w téj chwili nań spojrzała. Uderzyło ją tylko, że nadzwyczaj uprzejmie i gorąco powitał Saską, że Klarcia się trochę zmieszała, a Bernardek przystąpił do niéj z jakąś nieśmiałością niezwyczajną.

Panna stawiła się dumnie, śmiało, ale wkrótce potém zaczęła śmiać się, poruszać i tak zalotnie spoglądać, krygować, przekręcać główkę, iż Bojarskiéj aż się serce ścisnęło.

Bernardek niezmiernie był wesół. Począł rozpytywać, siadł i dotrwał aż do pożegnania pani Saskiéj, którą do drzwi sieni przeprowadził.

Zaledwie wrócił do matki, gdy nienawykły do tajenia się przed nią z myślami, wykrzyknął jakby mimowolnie:

— Matusiu! jakaż ona piękna! jaka piękna!

Pobladła Bojarska.

— Jużci niczego—odpowiedziała zimno—niczego; ale żeby znowu coś było nadzwyczajnego—nie widzę.

Bernardek zamilkł.

W sieni dwa słowa zamienili z sobą. Dziewczyna wcale nie była ani czułą, ani poruszoną; zgóry i jak wyrostka traktowała starego wielbiciela.

Popsuły te odwiédziny humor biédnéj profesorowéj. Wykrzyknik syna brzmiał jéj w uszach. Tak, wistocie była nadzwyczaj piękna, ale miała téż w sobie coś dla Bojarskiéj odstręczającego... Postanowiła na intencyą, aby Bóg od syna odwrócił pokusę, zmówić koronkę do Przemienienia Pańskiego, a z odwiédzinami Saskiéj wcale się nie śpieszyć... aby nowych nie wywołać.

Na Bernardzie widok Klarci, któréj wspomnienie nosił w sobie, uczynił nadzwyczajne wrażenie. Zarodek stary puścił nanowo; marzenie dziecinne przeistoczyło się w tę miłość piorunową, którą obudza jedno wejrzenie.

Króciuchna chwila, spojrzenie, drgnienie jedno serca — nowe szczęście rozlało po niém. Błogo mu było i straszno; męczarnia, niepokój i niewypowiedziana rozkosz całą jego zmieniły istotę. Coś, na czém życiu jego zbywało, uzupełniło je. Stał się tego dnia innym człowiekiem, a raczéj teraz dopiéro wyszedł z dzieciństwa.

Sparty nad książką, przez cały wieczór rozpamiętywał uroczą piękność tego zjawiska, promienisty blask téj istoty, która musiała w kształtach greckiéj bogini kryć téż boską duszę i serce.

Obraz Klarci nie dał mu zasnąć długo; w marzeniu nawet jego zaszła zmiana: latał po obłokach. Prawie nie wiedząc jak, rano stworzył wiérsz „Do....” który pałał całym ogniem piérwszego, gorącego uczucia.

O wszystkiém tém Bojarska wcale wiedziéć nie mogła; ale coś jéj mówiło dni następnych, że w synu zaszła zmiana niepojęta, niezrozumiana. Oczy pałały jakimś ogniem, twarz miała wyraz smętny razem i upojony, w rozmowie były porywy, tęsknice, pragnienia, o jakich dawniéj nigdy z ust jego nie słyszała.

Nie mogła tego przypisać widzeniu Klarci, bo nie pojmowała, aby jedno krótkie spotkanie, kilku słów zamiana, mogły tak wielki wywrzéć skutek.

Baczniéj poczęła go śledzić.

Los tymczasem, ten nieubłagany pan, który rzuca na drodze życia przepaście i zwodnicze ułudy, zaraz w parę dni potém, powracającemu przez Saski ogród do domu Bernardkowi nastręczył Klarcię.

Szła ona z małą siostrzyczką, a raczéj kuzynką, trochę zwiejska ustrojona, bez wielkiego smaku, narzucająco się, jaskrawo... i wydawałaby się może śmieszną wśród wykwintnych tualet Warszawianek, gdyby tak zachwycająco piękną nie była.

Oczy wszystkich zwracały się na nią; panie i panowie stawali, aby się jéj przypatrywać; starzy, odmłodzeni kawalerowie ciągnęli powoli, nie mogąc się oderwać od jéj widoku. Bernardek musiał się przywitać. Znalazł Klarcię, która doskonale widziała hołdy, jakie jéj oddawano, w zuchwale wesołym humorze — śmiałą, gotową do rozmowy dla popisania się z dźwięcznym, ale trochę ostrym głosikiem. Mówiąc z Bojarskim, spoglądała na wszystkie strony, oglądała się, wabiła oczyma, sznurowała usteczka i była tak jakoś zalotną, że Bernardkowi przykro się zrobiło.

Zazdrość ukąsiła mu serce.

Klarcia w rozmowie, którą on starał się uczynić jaknajmniéj trywialną, zaprawną uczuciem, wspomnieniami, nie okazała ani dowcipu, ani starannego wykształcenia, ani taktu nawet. Kto inny, nie Bernardek, zakochany poraz piérwszy, byłby się zraził smutną prozą tego, co śliczne usteczka wygłaszały bezmyślnie prawie, bo w główce było pusto. Ale niéma sofisty nad miłość. Malując ją ślepą, starożytni mieli słuszność, a jest w dodatku głuchą, nadewszystko zaś wielkim mistrzem, gdy pospolitą istotę potrzebuje na ideał przerobić.

Człowiek kocha, szczególniéj w piérwszéj swéj miłości, nie kobiétę jaką ona jest, ale tę, którą z niéj sobie sam tworzy. Tłumaczy słowa, na-

daje im doniosłość i znaczenie, przebiéra je, komentuje, tak że z najpospolitszych stają się poezyą złotą i brylantową.

Bernardek wciągu téj krótkiéj przechadzki skarby poodkrywał w Klarci; każde jéj postrzeżenie zdawało mu się głębokiém, pełném znaczenia... Piękność nie dawała dojrzéć zupełnéj nicości istoty, stworzonéj do bardzo pozioméj sfery życia, bo piękność jest niesłychaną potęgą.

Częstokroć dopiéro gdy ona zgaśnie, taż sama posągowa bogini zmienia się nagle w najpospolitszą, upośledzoną istotę.

W rozmowie obojga nie było nic zaprawdę, coby Bernarda mogło zachwycić; czczą była i pospolitą, a jednak rozgorzał od niéj, znalazł w niéj wszystko czego pragnął, był nią zachwycony. Przedłużał ją jak mógł i dopiéro wspomnienie matki, obawa opóźnienia i przyczynienia jéj niepokoju zmusiły go do pożegnania Klarci, która pozostała, bo ją niezmiernie bawiło i czyniło dumną, że wszystkich oczy tak chodziły za nią.

Zadumany, przejęty, szczęśliwy tém szczególniéj, że w Saskim ogrodzie czasem będzie ją mógł spotykać, Bojarski powrócił do domu.

Stół już był nakryty, obiad gotowy, matka niespokojna. Nie chciał przed nią zataić tego spotkania, które profesorową niezmiernie zasmuciło i strwożyło. Nie mogła tego nawet przemódz na

sobie, aby nie wypowiedziała, jak się jéj zalotność, strój, obejście dziewczęcia nie podobały. Bernard stanął w obronie. Ale wkrótce przerwała sama Bojarska przedmiot drażliwy.

Niebezpieczeństwo rosło.

Nie było ono jednak może tak wielkiém, jak się zdawało. Saska była ubogą, brat jéj jednak miał dawne stosunki, pochodził ze staréj szlacheckiéj rodziny, w domu jego bywało osób mnóstwo, młodzieży dużo, matka i córka rachowały na to, że prześliczna Klarcia musi wyjść za bogatego obywatela, lub wysokiego urzędnika.

Bojarski, niemający nic, młokos, wcale im się nie wydawał pożądanym, a w sercu dziewczyny płochéj nie było najmniejszego uczucia. Należała do tych istot, które zawsze żyją fantazyą, głową, a o sercu mówią tylko.

Po kilku tygodniach odwlekania, profesorowa naostatek musiała pani Saskiéj oddać odwiédziny. Nie uważała jednak za obowiązek ani o tém wspominać synowi, ani, uchowaj Boże, brać go z sobą.

Przyjęto ją grzecznie. Mogła okiem rzucić na dom i dostrzedz, że w nim ani wielkiego dostatku, ani ładu nie było. Brat Saskiéj był szlachcicem starego autoramentu, gadułą, samochwałem, całym w marzeniach i urojeniach, rachującym na cudowne pomoce Opatrzności, na powrót do do-

statków, noszącym się dumnie i wysoko, choć węgierkę miał bardzo wyszarzaną.

Córeczki, których wychowania nadzór objęła Saska, sposobiły się do téj przyszłości, która się na urojonych nadziejach ojca opiérała. Uczono je tego, czego w życiu nie mogły zużytkować.

Klarcia, dla swéj piękności ulubienica wuja, w domu grała rolę osobliwą, bo zaciemniała matkę, rządziła się i dawała sobie tony dziwne. Bojarską utwierdziło to w przekonaniu, że dziéwczę niewiele było warte. Niemal ją to pocieszało, bo myślała, że rozumny Bernardek poznać się na tém musi. Zabawiwszy niedługo, powróciła do domu i wieczorem obszérnie bardzo zdała sprawę synowi z tego, co widziała. Była może poraz piérwszy w życiu trochę złośliwą i surową.

W milczeniu słuchał jéj Bernard, nie śmiąc się sprzeciwiać.

Posmutniał, ale pocieszał się tém, że matusia trochę uprzedzoną była, a nigdy Saskiéj nie lubiła, więc widziała zaczarno.

Schadzki w Saskim ogrodzie powtarzały się teraz, ale już o następnych milczał syn i tylko naówczas się do nich przyznawał, gdy matka spytała; bo kłamać i teraz nie umiał i nie chciał.

Od piérwszéj nic więcéj już odkryć w ślicznóm dziéwczęciu nie mógł Bojarski nad to, co widział zrazu. Wydała mu się tylko—przyznać to mu-

siał—zaniedbaną, ale zdolności roił w niéj wielkie. Starał się więc namówić ją do czytania, do książek, do poezyi, aby ten posąg ożywić. Ofiarował się dostarczać pokarmu duchowego, do którego Klarcia najmniejszego nie czuła głodu. Przyznała się do tego naiwnie.

— Proszę pana, czy nielepiéj życia szukać w samém życiu, a nie w suchych książkach? Ja wolę świat, ruch ludzi, przechadzkę, rozmowę, niż ślęczenie nad papierem. Pan to co innego, to jest zawód pański, ale ja...

Czuła, że jéj zawodem było bałamucenie ludzi, zawracanie im głów, budzenie marzeń, które się nigdy ziścić nie miały.

Napróżno Bernard brał stronę poezyi i książek. Klarcia, gdy nie znajdowała argumentów, zbywała go takim ślicznym śmiechem, że przed nim uklęknąć był gotów i uznać się zwyciężonym.

Niezrozumiała, zagadkowa ta istota do niezmiernéj ilości sonetów, piosnek, urywków dostarczyła treści. Płynęły one teraz z niepohamowaną siłą, stały się potrzebą, pociechą i—dodajmy—były daleko piękniejsze od piérwszych prób Bernarda.

Pełno ich teraz było wszędzie i matka, która sama sprzątała w pokoju syna, mimowolnie wpadła na parę tych miłosnych elukubracyj.

Trudno wyrazić, jak okrutnie serce się jéj ści-

snęło. Były one wyrazem tak gorącego, prawdziwego uczucia, iż odkryły tajemnicę. To czego się najwięcéj obawiała—stało się:

Bernard był zakochanym.

Klarcia, w któréj obronie stawał, przyszła jéj na myśl wprawdzie—ale—któż wié, co gorszego jeszcze być mogło? Z poezyj nic się dobadać nie było można, oprócz piękności uroczéj. Dawały do myślenia tylko oczy niebieskie i złociste kosy...

Niemało ich jednak na świecie.

Miłości profesorowa w prostocie ducha nie rozumiała inaczéj, jak kończącéj się świętym węzłem małżeńskim, a było to najokropniejsze.

Stracić serce syna, być zmuszoną podzielić je z kobiétą, która kochać Bernarda tak jak ona nie mogła... Zdobyłaby się na tę ofiarę dla jego szczęścia, ale widząc jego zapracowującego się, zawczasu związanego, ciągnącego pług ciężki.... nad tém łzy wylewała.

W rozmowach wprawdzie niekiedy mówiło się o tém ogólnie, ale Bojarska ograniczała się tém, że ostrzegała od przedwczesnego małżeństwa.... Bernardek nie zdawał się go nawet pożądać.

Z miłością tą, jaką miał w sercu, było mu dobrze; nie pragnął więcéj. Gdyby nawet nie mógł z nią mówić, patrzéć na nią tylko zupełnieby mu starczyło.

Ilekroć go rozczarowała, powiadał sobie, że onby ją miłością, obcowaniem, rozmową przeistoczył, podniósł, rozwinął. Spały w téj duszy nasiona, potrzebujące tylko słońca i pogody—szczęścia.

Klarcia niepostrzeżenie się przerabiała na śliczną Warszawiankę. Zwolna znikała parafiańszczyzna, którą z sobą przywiozła z miasteczka: nabierała smaku, powierzchowność wiele zyskała w krótkim czasie, ale charakter się nie odmienił. Zalotność rosła. Roje młodzieży oblegały dom brata pani Saskiéj; ciągnęła je piękność, ostudzało ubóstwo zupełne dziéwczęcia. Kochać się gotowi byli wszyscy, żenić... jeszcze żaden.

Saska mówiła sobie, że to przyjść musi.

Jakim trafem, chodzący już na uniwersytet, znalazł się tu Twardziński, nie umiemy tego powiedziéć; to pewna, że się bardzo podobał dziewczynie. Umiał ją zabawić, zastosować się do jéj sposobu myślenia; smakowała w jego złośliwości.

Był-to teraz piękny młodzieniec, noszący się bardzo starannie, spędzający większą część dnia po kawiarniach i bilardach, mający jakieś źródła dochodów niezbadane i wziętość wśród najzuchwalszéj młodzieży wielką.

On i Bernard spotykali się na wspólnych wykładach historyi i jezyków, ale się nie znali. Emil się nie kłaniał temu, co go wyciągnął

z błota, Bojarski zaś nie chciał znać człowieka, który matki jego nie poszanował. Twardziński w swoich kółkach starał się odmalować dawnego protektora jako zarozumialca, pedanta i człowieka głupiego.

Szkodzić mu nie mógł, ale kąsał. Przed Klarcią też wystawił go w barwach śmiésznych, a ona wcale się za nim nie ujmowała. Dla niéj wszystko było dobrém, co pobudzało do śmiechu.

Nagle z wielką boleścią swą Bernard, stale uczęszczający do ogrodu Saskiego, przekonał się, że Saska chodzić tu przestała. Nie spotykał jéj więcéj. Niespokojny był o jéj zdrowie. Sam się o nie dowiadywać nie śmiał, matce zaś poddać téj myśli nie chciał, aby się niepotrzebnie nie zdradzić.

Sama Bojarska, po długiéj przerwie, poszła do staréj znajoméj. W domu nic nie było zmienionego, ale zajęcie wielkie i ruch jakiś panował. Klarcia chodziła dumniejsza i bardziéj rozkazująca, niż kiedy.

Saska, nachyliwszy się do ucha profesorowéj, wyznała jéj pocichu, ze łzami w oczach, że Klarcia, kochana jéj Klarcia, była tak jak narzeczoną... Starał się o nią majętny wdowiec i dziéwczę było tak rozumne, iż się za podżyłego wyjść nie wahało.

Oświadczył się już wujowi.

Odetchnęła biédna profesorowa i powinszowawszy z serca Saskiéj, a podziękowawszy Bogu, że ją tak cudownie uwolnił od wielkiéj troski, pośpieszyła z nowiną do domu.

Bernardek dnia tego późniéj niż zwykle powrócił. Pozwolił sobie być w teatrze... grano dramat jakiś nowy.

Rozmarzony wstąpił ledwie na próg domu, gdy matka go powitała z rzadką wesołością i czułością podwójną, jakby ocalonego.

Nie śpieszyła jednakże z wiadomością, ażeby się nie zdradzić.

— Byłam dziś u Saskiéj—odezwała się wkońcu.

Bernard aż podbiegł ku niéj.

— Zdrowi?—spytał.

— I szczęśliwi—dodała stara. — Wystaw sobie, Klarcia robi partyą co się zowie: wychodzi za mąż za niemłodego, ale majętnego wdowca.

Zdradził się Bojarski załamaniem rąk i bladością.

— To okropne!—zawołał.

Spojrzała mu matka w oczy.

— Cóż w tém tak okropnego?

Zamilkł Bernard.

— Prawda że piękna—dodała matka—ale też to wszystko. Zalotna, płocha i w głowie niewiele. Ani gospodyni z niéj, ani matki, ani żony nie będzie nigdy.

— Matusiu, taka surowość! —przerwał Bernard.

— Mówię co myślę—ciągnęła matka.—Czas dowiedzie, że miałam słuszność—zobaczysz.

Nie śmiał ani bronić, ani się sprzeczać Bernard; odszedł smutny.

W sercu czuł ból. Zdawało mu się, marzył, pochlebiał sobie, że wejrzenia jéj coś mówiły, obiecywały, że serce biło dla niego. Raz dała mu kwiatek zmięty w rączkach... Przypominał sobie słowa, którym nadawał znaczenie, jakiego nie miały. Wszystko-ż to było złudzeniem?

On jéj mówił często o miłości, ale w ogólnych bardzo wyrazach, nie mógł jéj więc obwiniać o przeniewiérstwo — lecz bolał i zdawało mu się, że miał prawo do jéj serca.

Ból, kilka dni w piersiach noszony, wylał się potém w wiérszu bardzo pięknym i smutnym.

Ale ona — ona nigdy wiérszy nie czytywała...

Postanowił nie widziéć jéj więcéj, a obraz nosił w sercu. Nie chodził już do Saskiego ogrodu.

Tak dwa tygodnie upłynęły. Przypadkiem Bojarski był zmuszonym przejść tylko ogrodem, który teraz tak dla niego był smutnym.

Naprzeciw niemu szła strojna, wesoła, uśmiéchnięta Klarcia. Zawahał się, czy ma się zbliżyć do niéj, czy uciekać, gdy ona sama, śmiejąc się, powiedziała mu dzień dobry.

— Dawno, bardzo dawno nie spotykałem tu już pani i nie spodziéwałem się—rzekł Bernard.

— Bo ja téż długo nie miałam czasu, nie chodziłam—odparła dźwięcznym głosikiem dziewczyna.—Ale pan pewnie słyszałeś?—dodała figlarnie—miałam iść za mąż.

Bojarskiemu serce uderzyło.

— No, i chwała Bogu—zaczęła wesoło—jakoś się to rozeszło. Nie idę.

— Bo téżby to podobno nie było dobrane małżeństwo—podszepnął Bernard.

— Dlaczego?—naiwnie szczebiotała Klarcia.—Mężczyzna wcale niestary, niebrzydki, wdowiec, majętny. Byłabym poszła, choć go nie kochałam;. ale wuj dowiedział się tam czegoś, nie wiem... i wszystko się rozerwało.

— Ja pani winszuję tego—rzekł Bernard.—Znajdziesz łatwo.

— O, niełatwo—paplała daléj Saska.—Ja jestem wymagająca. Serce to tam jak sobie chce, ale musi być człowiek majętny, żebym nie miała troski o nic. Co mi po życiu ciężkiém?

Słuchał Bernard przerażony.

— Żartujesz pani.

— Nie, doprawdy—rzekło dziéwczę.—Patrzyłam na ciężkie życie matki, dzieliłam je z nią, mam tego dosyć.

— Ale uczucie osładza wszystko!

Klarcia wybuchnęła śmiechem.

— To ja chyba nie mam serca—rzekła obojętnie.

Choć urywek ten rozmowy, która się dłużéj przeciągnęła, powinien był ostatecznie ostudzić i rozczarować Bojarskiego, jednak tłumaczył go sobie dziwactwem i swywolą. Zdawało mu się nienaturalném to, co ona głosiła z najmocniejszém przekonaniem.

Powrócił do matki pocieszony.

Dla niego, dopóki ona była wolną, nic jeszcze straconém się nie zdawało. Marzył, że skończywszy uniwersytet, otrzyma z łatwością miejsce profesora szkół wojewódzkich. Z powołaniem literata, poety, godziło się doskonale nauczycielstwo i zapewniało byt nie świetny, ale wolny od wielkiéj troski.

Naówczas mógłby już starać się o Klarcię i pochlebiał sobie, że dziéwczę, udające obojętność taką, poda mu rączki chętnie... że będą szczęśliwi, bardzo szczęśliwi! Zawsze jeszcze widział w niéj z uporem zakochanego nie tę, jaką była, ale jaką z niéj sobie stworzył.

Łatwo wystawić sobie, jak profesorową poruszyła wiadomość o tém, że małżeństwo zerwane zostało. Powracały obawy. Były one teraz bardziéj jeszcze uzasadnione, bo Bernard mniéj się

krył przed matką ze swą miłością dla Saskiéj a przynajmniéj sympatyi dla niéj nie taił.

Reszty domyślać się mogła łatwo.

Rok ten dla Bojarskiego ze wszech miar był ciężki. Nabrał na swe ramiona wiele, wymagał od siebie nadzwyczajnych rzeczy, pracował nieznużenie, walczył i cierpiał.

Serce nie pomagało w pracy... odrywało go od niéj. Zamiast nad dziejami i językami, siedział nad sonetami i elegiami, nad poematem, w którym niechcący odmalował sam siebie.

Głowa przepełnioną była marzeniami; nawet od zbawiennéj, wszystko leczącéj pracy ochota odpadła. Matka czytała w twarzy, odczuwała w nim niepokój i cierpienie, ale wiedząc że nie potrafi pocieszyć, dobadywać się nie śmiała przyczyny.

Zdawało się jéj, że na ferye koniecznie było potrzeba Bernarda, który ciągle miał w myśli bliższe poznanie ludu, wyprawić gdzieś na wieś.

Do spisku wciągnięty został Wroniec.

— Nic nad to łatwiejszego—rzekł.—Pani wié, że ja coroku zawsze sprawiam sobie wakacye u któregoś ze znajomych i starych towarzyszów. W tym roku zaproszono mnie na Podlasie, do hrabiostwa Zygmuntowstwa. Najzacniejsi w świecie ludzie, dom staropolski, gościnni, serdeczni, a dla nich Bernard będzie najpożądańszym go-

ściem. Sama hrabina Marya lubi poezyą, jest kobiétą znakomicie wykształconą, czyta wiele. On koniarz i myśliwy, z kośćmi poczciwy i niedumny. Okolica lesista... położenie piękne.

— Ale jakże tak można komuś narzucać się?— odparła Bojarska.

— Oni są radzi, część roku spędzając na tém wygnaniu, gdy kogo złapią do towarzystwa.

— Bernardek nieobyty jest z tym pańskim światem.

— A ja od czego?—odparł Wroniec.—To się obędzie i trzeba, aby się z nim obeznał.

Uparł się tedy kapitan, a że Zygmuntowstwo byli jeszcze w Warszawie, póty naglił, prosił, zmuszał, aż Bojarskiego do nich zaprowadził, wprzód o nim uprzedziwszy.

Nie bez pewnéj obawy poszedł Bernard wieczorem na herbatę.

Dom był pański, lecz nie tak rażąco wytworny i wspaniały, aby sama jego powierzchowność onieśmielała. Choć na wielkiéj stopie, pomimo to wszystko było skromne: wiele rzeczy pięknych, a najwięcéj starego i poważnego sprzętu...

Obejście się téż hrabiny i hrabiego, pełne prostoty, uprzejme, dodawało odwagi obcemu, nie dozwalając czuć, co go dzieliło od tego arystokratycznego domu.

Sama pani, w średnim wieku, bez najmniejszéj

pretensyi do elegancyi, ubrana czarno, miała w sobie cały wdzięk, jaki nadaje dobre wychowanie, długie życie w najlepszém towarzystwie i charakter łagodny, a umysł wykształcony i uspokojony. Wychowanie odebrała na tle francuskiém osnute—czemu nie była winną; ale życiem się wyrobiła na zupełnie oryginalną istotę. Córkę już miała zamężną, syn rozpoczynał w uniwersytecie wydział prawny; był-to więc towarzysz Bernarda, ale mu prawie nieznajomy.

Nie mając troski o dzieci, hrabina Marya mogła się oddać cała ulubionemu czytaniu i myśleniu. Pociągały ją szczególniéj kwestye religijne, które zaczynały być na porządku dziennym. Lammenais, De Maistre, Bonald zajmowali umysły poważne. Obiecywało się religijne po ruinach XVIII wieku odrodzenie.

Żywo zaprzątało to panią domu, chociaż czytywała i lżejsze rzeczy, a poezya polska nie była jéj obojętną.

Sam hrabia, niemniéj wykształcony, był zajęty zarządem dóbr ogromnych, który sam prowadził, hodowlą pięknych koni które lubił, naostatek myśliwstwem, bo smak w niém po pradziadach i dziadach odziedziczył, a gończe miał sławne.

W domu, choć francuzczyzna, tak u nas rozpowszechniona wówczas, brzmiała często, nie stanowiła tu jednak języka powszedniego i znamię

staropolskie w obyczaju, mowie, w całém życiu było widoczném, a wybitném.

Nadzwyczaj uprzejmie, a nadewszystko ośmielająco przyjęto tu Bernarda. W rozmowie z samą panią dał się jéj lepiéj poznać i podobał.

Syn hrabiostwa, ów uczeń uniwersytetu, młody hrabia Leon był także w domu, z nim więc zabrał znajomość Bernard. Znalazł w nim powagę nad wiek, ale i prozę jakąś a chłód, które go starszym czyniły, niż był. Podobny do ojca, obiecywał być jeszcze praktyczniejszym od niego i życie poświęcić zadaniu, które uważał za obowiązkowe—podniesieniu gospodarstwa, zarządowi dóbr, interesom.

Obok tego miał zamiłowanie w sztuce, wzięte po matce, i był miłośnikiem obrazów, których już zbiorek rozpoczął.

W tym przedmiocie Bernard był zupełnym nieukiem, co naiwnie wyznawał; z uwagą więc przysłuchiwał się i uczył.

Wieczór zszedł tak szybko, nie postrzeżenie, iż gdy się żegnać przyszło, a wyszedłszy Bojarski spojrzał na zégarek, nie mógł pojąć, gdzie się tyle czasu tak przyjemnie podziało.

Wychodzącemu stary hrabia Zygmunt, trzymając go za rękę, rzekł z rubaszną prostotą:

— Przyjedź do nas z Wrońcem, będziemy radzi. Leon zyska towarzysza, my także miłegc

gościa, a wierz mi, że nam najmniejszego nie przyczynisz kłopotu. Na wsi zresztą będziesz miał swobodę zupełną, rozporządzisz dniem, jak ci się podoba. Trzymamy się angielskiéj metody w życiu na wsi. Konia, bryczkę miéć możesz na zawołanie. Zechcesz ze mną polować, dam strzelbę; nie, to zostaniesz z książkami. Biblioteka stara i dostatnia na usługi, a na nowościach nie zbywa.

Zaproszenie wistocie było tak serdeczne, hrabina je tak miłemi poparła słowy i Leon tak po koleżeńsku się obchodził z Bojarskim, iż powrócił do matki zachwycony.

Wcale sobie wyobrażał inaczéj świat ten arystokratyczny; o niczém podobném nie marzył. Pobyt w takim domu, czuł to sam, nadzwyczaj dla niego być mógł korzystnym. Winien go był Wrońcowi.

Profesorowéj szło głównie o to, aby syna z Warszawy i od Klarci odciągnąć.

Dziewczyna, wcale o Bojarskim nie myśląc, śmiejąc się z niego razem z Twardzińskim, z którym daleko więcéj sympatyzowała — ze zwykłym zalotnicom uporkiem, nie chciała go jednak zupełnie wyzwolić. Wiedziała bardzo dobrze, że się w niéj kocha szalenie, wydawał się jéj niekiedy śmiésznym, nie zachwycał jéj powierzchownością, nie obudzał nic w sercu — ale

puścić go i pozwolić mu się odkochać, ostygnąć— nie chciała.

Trzymała tak wielu na paskach, dla saméj przyjemności zużywania na nich siły swojéj.... Chciała aby szaleli, rozpaczali, padali przed nią. Nie pominęła nikogo, ani starego, ani młodego, żeby choć nie popróbowała oczu na nim. Jeśli się zatliła iskierka, rozdmuchiwała ją starannie. Nie można jéj tego było nawet wziąć za wielką winę, bo szła za naturą swojego temperamentu... Był to instynkt zalotnicy.

I znowu jakiś czas spotykali się niekiedy w Saskim ogrodzie.

Stosunek wcale się nie zmienił. Bernard nie ośmielił się nigdy do żadnego wyznania, ona drażniła wprawdzie, pobudzała i wywoływała je niekiedy, lecz miała w tém przyjemność, by już na wargach drżące, zimném słowem odpędzić.

Miłość to była dziwna. Sam Bojarski przyznawał w głębi duszy, że więcéj miał przyjemności gdy na nią patrzył zdala, niż w rozmowie. Ta schodziła zwykle na taki poziom, do treści tak jemu obcéj, iż milczéć musiał roztargniony... podnieść zaś z sobą w obłoki Klarci nie było sposobu.

Chodziła po ziemi.

Przez jakiś czas potém znikła Klarcia... Bernard do Saskiéj nie chodził, matka ochoty nie

miała; nie było więc sposobu dowiedzenia się. Obawiał się choroby, Katarzyna jednak zapewniała, że ją widuje przesuwającą się po ulicach, bardzo zawsze wystrojoną.

Dnia jednego, gdy Bernarda w domu nie było, wbiegła niespodzianie Saska do profesorowéj.

Poznać było można po niéj łatwo, że ją coś nadzwyczajnego boleśnie dotknęło. Twarz miała zapłakaną, oczy wywrócone i nie kryła się z tém wcale... tak była rozpaczliwie czémś przejętą.

Zaledwie wszedłszy, rzuciła się na szyję profesorowéj, łkając i płacząc. Długo nie można jéj było zrozumiéć.

— A! moja pani! droga moja! Ty chyba jedna ulitujesz się nademną, ty pojmiesz, co mnie dotknęło! Jestem najnieszczęśliwszą! O, gdybym była wiedziała... nigdy, nigdybym do téj nieszczęsnéj Warszawy nie pojechała. Klarcia, moja Klarcia!

Tu wybuchnęła takim jękiem i płaczem, a śmiechem serdecznym, że ją trzeba było trzeźwić, nim znowu, nieco uspokojona, mogła o swém nieszczęściu rozpowiedziéć.

— Moja Klarcia—mówiła—nie mam jéj! Zgubiona!... Weszła do baletu... została tanecznicą. Mój brat rozgniéwany znać jéj nie chce... a ja... co ja pocznę? Padałam jéj do nóg, błagałam, nic nie pomogło... Zaczęła się oddawna uczyć

tańca, bo to było potrzebném. Przychodził nauczyciel baletnik i ten ją namówił. Świetna może przyszłość, ale co mi po niéj?... Zgubiona!...

Płakać znowu zaczęła Saska. Z rozmowy z nią Bojarska wyrozumiała, że jeszcze, oprócz wstąpienia do baletu, gdzie jéj piękność, zręczność, wesołość bardzo korzystne wyjednały warunki, o niczém gorszém i straszniejszém mowy nie było.

Uciekła wprawdzie z domu, ale się przeniosła do nauczyciela tańców, który miał żonę i rodzinę. Za pozór do tego porzucenia matki służyła potrzeba nieustannych lekcyj i wprawiania się w skoki.

Samo towarzystwo baletniczek już przeraziło Saską; sława ich przejmowała ją dreszczem. Było do przewidzenia, że pójdzie za prądem, za przykładem, za pokusą.

Matce i wujowi odpowiedziała hardo:

— No, to potrzeba było mnie wydać za mąż, za bogatego. Ja w nędzy żyć wiecznie i marchewkę skrobać nie jestem stworzona. Co mi tam! Potrzebuję żyć i używać—a reszta mi obojętna.

Dwie stare jéjmoście popłakały się i rozprawiały długo. Poszła nareszcie Saska, a profesorowéj znowu się zdawało, że jéj wielki ciężar spadł z serca. Nie mógł Bernard nie uczuć teraz, że Klarcia dla niego była straconą.

Późno powrócił do domu Bojarski, ale matka czekała na niego. Poznał z jéj twarzy, że płakała.

Opowiedziała mu zimno, smutnie historyą Saskiéj, powtórzyła co od niéj słyszała. Milczący, blady, Bernard nie przerywał jéj słowem, ale na twarzy jego taki był wyraz boleści, iż matka po kilkakroć przez litość przerywała opowiadanie. Gdy skończyła, stał długo skamieniały i wryty.

— Nie może być—rzekł wkońcu—ażeby łzy i prośby matki nie miały jéj serca poruszyć. Krok fałszywy, smutny, ale jeszcze nic niéma straconego, może się zwrócić.

— Matka jéj u nóg leżała! — zawołała Bojarska.

W duszy tłumaczył to sobie Bernard, więcéj winy składając na matkę, niż na nią. Wychowanie... niebaczność... zbytnia swoboda...

Nie miał jéj jeszcze za zgubioną.

Nazajutrz, po namyśle krótkim, nie mówiąc nic matce, Bojarski starał się dowiedzieć o mieszkaniu mistrza baletu i postanowił sam pójść do Klarci.

Nie pochlebiał sobie, ażeby mógł zmienić jéj postanowienie, ale sądził, że jedno więcéj naleganie zaszkodzić nie może... że ona chwiała się,

że służyć jéj za pośrednika, pomódz było obowiązkiem.

Z wielką trudnością przyszło mu dobić się do panny Klary, która, przez wzgląd na matkę i wuja, imię i nazwisko zmieniła, do baletu wstępując.

Zwano ją Astreą Cenci. Dlaczego i kto jéj poddał tę włoszczyznę, trudno było zbadać.

Panna przyjęła go w swoim pokoju z tą śmiałością, z zuchwalstwem graniczącą, do któréj była od dzieciństwa przywykła.

Zmarszczyła brwi, zobaczywszy go, jakby mu powiedziéć chciała:

— Pocoś tu przyszedł? co tu robisz? jakiém prawem?

— Co mi pan powiész? — zagadnęła, podchodząc.

— A! panno Klaro — zawołał Bernard, ręce składając jak do modlitwy. — Na miłość Boga, czyż pani się nie domyślasz, co mnie tu sprowadza? Wszyscy są w rozpaczy; matka jéj wypłakuje oczy... Czy się godziło...

— A to mi się podoba, żeby pan mnie dawał nauki!—zakrzyczała.—Co to się ma znaczyć?

— Że pani dobrze życzę, że radbym ją wyrwać...

— Z czego? Cóż to złego tańcować?—wołała szybko i żywo dziewczyna.—Miałam siedziéć i zo-

stać starą panną? Posagu nie mam, wuj mi za mąż iść nie pozwolił. Miałam-że się kwasić nad pończoszką? Ja to mamie mówiłam sto razy, że do takiego życia nie jestem stworzoną. Generałowie i hrabiowie żenią się z baletniczkami, więc prędzéj tu los zrobię, niż gdzieindziéj. Wyperswadujcie sobie, ażebym miała ze skruchą do domu powrócić. Z tego nic nie będzie. Wiem co robię.

— Panno Klaro...

— Ale co tam: panno Klaro, panno Klaro! To na mnie nie czyni najmniejszego wrażenia, bądź pan pewnym. Proszę mi dać pokój.

Bernard ręce załamał.

— Zlituj się pani!

— Wy się zlitujcie nademną i darmo mi nie dokuczajcie — zuchwale odparła Saska. — Stało się... no, weszłam jak powiadacie na drogę zatracenia, jestem zgubioną — więc mnie już nie szukajcie.—I odeszła ku oknom oburzona.

Bernard postał u drzwi, błagalnym wzrokiem rzucił na nią, gdy ona rozśmiała się szydersko — i wyszedł z rozpaczą w sercu. Lecz jeszcze jakąś żywił nadzieję, że Klarcia nie zginie.

„Tanecznica — mówił sobie — to jeszcze nic. Dziéwczę nadto dumne, ażeby dało się wciągnąć na drogę życia, z któréj zejść na lepszą prawie niepodobna.”

Bernard wkrótce potém wyjechał z Wrońcem na Podlasie.

Jak przewidzićć było można, działo mu się bardzo dobrze. Sam powiadał, że gdyby tak jeszcze z matką, rajskie byłoby to życie.

Zabrał z sobą dość książek, a tu znalazł ich taki dostatek, że swoich nie potrzebował. Skorzystał z tego, aby się z nowemi prądami odżywioną poznać literaturą francuską. Była ona właśnie w téj dobie lenienia się z klasycyzmu, które w początkach do poczwarnych nieraz prowadziło wybryków.

Chciano nowości, popłacała jaskrawość, zmagano się więc na poczwarności; ale wśród tego wylewu rzeczy tylko dziwacznych, były i genialne połyski. W. Hugo, Lamartine, Janin, cała falanga romansopisarzy i dramaturgów.

Na spokojnym umyśle Bernarda ta gorączkowa literatura zrobiła wrażenie potężne, lecz niejasne. Czuł jéj piękności, nawet pobudki jéj ekscentryczności po długiém zastygnięciu — ale nie wiedział, czy wszystko w niéj było usprawiedliwioném, najmniéj zaś czy wybryki były samym celem, czy środkiem zdobycia swobody i szałem po długiém odrętwieniu.

Hrabina obawiała się tego wybuchu. Jeden Lamartine i niewiele rzeczy W. Hugo zachwycały ją.

Bernard przetłumaczył „Jezioro" Lamertine'a, na jéj żądanie, i bardzo mu się szczęśliwie tęskny wdzięk lutni egotycznéj powtórzyć udało. Wówczas jeszcze kwestya nawet, czy język polski zdolnym jest do wyrażania pewnych uczuć, dziecinnie była rozstrząsaną, a podniósł ją Kropiński mdło zaprawną poezyą, dowodzącą że języki dostać mogą bladaczki.

Dnie w Powarowie hrabiostwa upływały bardzo mile.

Rezydencyą składał pałac ogromny, w XVIII w. przerobiony z murów starego zamczyska, trochę zaniedbany, ale wygodny. Część jego tylko zajmowali hrabiostwo, syn i goście, bo pokojów pustych i salonów nieumeblowanych na górze pozostawało wiele zamkniętych.

Bernard przy bibliotece umyślnie dostał ładny pokoik, wychodzący na ogród oknami. Dano mu klucz od książek, w których mógł się po całych dniach grzebać. Mnóstwo tu było rzeczy nowych i niewielkiéj wartości, ale znaczną część składały pergaminowe folianty, wydania XVI i XVII w., nawet inkunabuły. Z temi osobliwościami tu się poraz piérwszy poufaléj poznał Bojarski, pokochał w nich i, chcąc dowdzięczyć się za gościnę, postanowił trochę bibliotekę ułożyć, co z wdzięcznością przyjęto.

Po całych więc dniach porządkował i czytał.

Czasem przychodziła hrabina, na krótką rozmowę, niekiedy hrabia Leon, który objeżdżał folwarki i gospodarstwo.

Zapowiedziana swoboda na wsi była wistocie zupełną. Bernard robił wycieczki samotne i przypatrywał się ludowi, lecz zbliżenie się do niego było zbyt trudném. Czuł się nieprzygotowanym.

Na obiad schodzili się wszyscy; po nim każdy się udawał gdzie chciał, a wieczór spędzano znów razem. Bernard czytywał głośno, rozprawiano, hrabina grała na fortepianie, Leon rysował, bo miał talent do szkiców i karykatury.

Wroniec naówczas albo w zamku od ogrodu palił fajkę, lub szedł spać wcześniéj.

Niekiedy odwiédziny sąsiadów przerywały ten jednostajny, ale bardzo miły, uspokajający duszę tryb życia. Bernard w nim smakował szczególniéj. Nie miał trosk o nic, o matce tylko myślał, ale ta cotydzień regularnie pisywała do niego. Była zdrową i prosiła sama, ażeby syn o nią się nie kłopotał i nie przyśpieszał powrotu.

Jak Bojarski z niewymownie uprzejmych gospodarzy, tak oni byli z niego radzi. Umieli go ocenić, powzięli dla niego szacunek i przyjaźń.

Stary hrabia chętnieby był nawet zajął się losem i przyszłością młodzieńca, którego polubił powagę i statek— ale co było robić z literatem, który tego powołania nie chciał się wyrzec?

Starano się potrosze wybić mu z głowy całkowite przynajmniéj poświęcenie się literaturze na inny zawód praktyczniejszy — Bernard stał przy swojém. Nie straszyła go przyszłość cicha, skromna i uboga.

Obudziło to szacunek, a dziwiło, bo nigdy zupełne zrzeczenie się lepszego bytu, robienia majątku nie było pospolitém. Uważano go za fenomen.

Z koniem, ze strzelbą choć trochę się poznajomił Bojarski, ale do poufałości nie doszedł. Dawano mu najspokojniejszego wierzchowca zwykle, a na polowaniu czuwał nad nim stary leśniczy, który więcéj dykteryjkami go zabawiał, niż myśliwstwa uczył.

Wakacye przeszły, jak błyskawica. Hrabiostwo starzy pozostawali na wsi, Wroniec nawet miał tu czas jakiś bawić jeszcze, a hrabia Leon i Bernard wracali do uniwersytetu. Nie kłamał, żegnając się, Bojarski i zapewniając gospodarzy, że pobyt ten na wsi do najmilszych wspomnień jego życia będzie należał.

Wieś zawsze odżywczo działa na człowieka, a zbliżenie do natury krzepi zarówno ciało, jak umysł.

Wiózł z sobą Bojarski wspomnień mnóstwo, całą pakę bibuły z pozasuszanemi kwiatami, dużo notatek z biblioteki i to, czego sam on ocenić

nie mógł: umysł rozmową, rozprawami, obcowaniem z poważnemi ludźmi zbogacony. Działało to obcowanie codzienne powolnie, ale było rodzajem gimnastyki, wyrabiającéj siły nowe. Widokrąg myśli jego znacznie się rozszérzył, dostrzegał sfery, których dawniéj oko jego nie sięgało. Matka go znalazła opalonym okrutnie, ale takim czerstwym i silnym, iż się nim nacieszyć nie mogła.

Krwawo i łzawo, burzą i gromami przerwane zostało to życie, dotąd płynące spokojnie. Bojarski z innymi znalazł się na placu walki takim, jakim był na ławie uniwersytetu—nie cisnąc się do piérwszych rzędów, unikając wrzawy, przekładając posłuszeństwo nad rozkazywanie.

Ranny pod Grochowem, musiał długi czas przeleżéć, pielęgnowany przez matkę i Wrońca, który dla głuchoty służyć nie mogąc, miał sobie tylko powierzony jakiś nadzór nad magazynami w mieście.

Skazany do łóżka, gdy tylko cokolwiek sił odzyskał, otoczył się książkami, wojskową swą służbę uważając za epizod tylko, który nie powinien był odwrócić go z drogi powołania.

Po burzy znalazł się zwichniętym nieco. Nauki potrzeba było szukać gdzieindziéj, a na to nie

starczyły środki; musiał więc samouctwem dopełniać tego, czego mu brakło. Zamiast posady profesora w szkołach, zaledwie udało mu się dostać kwalifikacyą na domowego prywatnego nauczyciela.

I o tę nie było łatwo, ale czasu nie tracił. Kto się uczyć chce, zawsze znajdzie, czego jeszcze nie umie. Ogromną pracą zdobył tak sobie zasób wiedzy niepospolity.

Trochę polyhistor i encyklopedysta, bo każdy umysł wyższy, nieumiejący w ciasnych zamknąć się obrębach, nim być musi—miał Bojarski przedmioty wybrane i główne, do których wszystko co umiał odnosiło się i skupiało przy nich.

Gdy rozproszone nieco dawne towarzystwo stolicy znowu do niéj niedobitkami ściągać zaczęło, powrócili i hrabiostwo Zygmuntostwo do miasta.

Leon, wypadkami wyrzucony za granicę, objął dobra galicyjskie.

Bojarski nie wiedział o ich powrocie, gdy ze starym hrabią spotkał się na ulicy.

— A! cóż tu robisz? — zapytał go, uprzejmie witając, hrabia, który w krótkim czasu przeciągu postarzał bardzo.

— Dotąd nie robię nic—odparł Bernard—ale cośbym rad począć i zająć się czém. Uczyłem się i uczę; lecz na nieszczęście publiczny zawód nau-

czycielski jest dla mnie zamknięty, muszę się ograniczyć prywatnym. Dotąd nic mi się nie trafiło...

Hrabia zadumał się chwilkę.

— Odwiedź-no nas—odezwał się.—Moja żona, która kilka razy pytała o ciebie, rada będzie swemu lektorowi. Żyjemy bardzo osamotnieni i cicho.

Wpomniał potém Wrońca, którego nie widział oddawna, i tak się rozstali.

Z odwiédzinami u hrabiostwa niebardzo pośpieszył Bojarski. Zajęty swém położeniem, losem matki, troskami powszedniemi, nie miał ochoty szukać rozrywki.

Wczasie tych wypadków, w których tyle nowych postaci zjawiło się na bruku, że w ich tłumie dawne utonęły, piękna Klarcia zupełnie zniknęła z oczu Bernardowi, który nie przestał wzdychać do niéj, bo piérwsza miłość, jakąkolwiekby ona była, zostawia po sobie nigdy zatrzéć się niedającą bliznę.

Wiadomości, jakie o niéj mógł zasięgnąć, brzmiały najsprzeczniéj. Matka jéj nie widywała, wyemancypowała się zupełnie.

Natychmiast po wypadkach, które i teatr dotknęły, gdy przyszło do nowéj jego organizacyi, balet stanął na piérwszym planie.

Bojarski (który nigdy teraz nie bywał w tea-

trze) dowiedział się, że panna Astrea, jako jedna z piérwszych tancerek, świetnie i z nadzwyczajném powodzeniem występowala na scenie.

Ale razem z tém podszeptywano, że jakiś stosunek bardzo poufały i blizki łączy ją z pewnym konsulem - dyplomatą, który w jéj domu (bo miała osobne gospodarstwo) był jakby panem, a raczéj ona u niego tylko rodzajem gospodyni. Nie ulegało wątpliwości, że na ślizkiéj dróżynie, którą sobie obrała, Klarcia nie utrzymała się w równowadze... upadła.

Nie mówiono o niéj nigdy zbyt głośno i jasno, ale gdy Bernardowi na myśl przyszła, goryczą zapływało mu serce.

Przechodząc raz tym Saskim ogrodem, który dla niego był tak pełen pamiątek, Bojarski spostrzegł naprzeciw siebie powoli idącą kobiétę, wystrojoną z niezmierną elegancyą, piękną, nadzwyczaj zręczną, posuwającą się z wdziękiem takim, jakby w powietrzu płynęła.

Nie poznał jéj zpoczątku. Szła sama jedna. Przypatrywano się jéj zdaleka, ale do téj zachwycającéj bogini nikt się zbliżyć nie ośmielił. Była to ona, Klarcia—Astrea.

Bojarski, gdy ją nareszcie poznał, chciał, dla uniknięcia spotkania, rzucić się w boczną uliczkę; ale nie było żadnéj w pobliżu i mimowoli zmuszony został zetknąć się z nią oko w oko. Nie

miał jednak zamiaru witać się, usiłując pominąć gdy usłyszał głos dźwięczny.

— Cóż to, pan mnie nie poznajesz?... A! to pięknie!

Bojarski stanął; przywitał się zmieszany dosyć chłodno, ale serce mu biło gwałtownie.

Z jakiego powodu Klarcia teraz życzyła sobie zbliżyć się znowu do Bernarda—czy dlatego, że on jéj się zdawał unikać, na przekorę, czy przez prostą ciekawość? ona sama może tego dobrze nie wiedziała. Mogła to być fantazya tylko, lub rachuba w chwili, gdy dla oczyszczenia się pragnęła zdobyć sobie męża powolnego, coby jéj dał imię swe, a nie przeszkadzał w niczém.

Bernard, zakochany, łagodny, zdawał się (bo go nie znała dobrze) stworzonym do takiéj roli.

— Gdybym pani nie poznał — odpowiedział, zawahawszy się nieco, Bojarski — byłożby w tém co dziwnego? Tyle lat nie widywaliśmy się, pani wypiękniałaś cudownie, stałaś się inną, a ja...

— No, a pan? cóż pan? Wszak matka żyje, zdrowa?

Bernard ujęty został wspomnieniem swéj ukochanéj matusi.

— A! dzięki Bogu—rzekł żywo — matka ma się dosyć dobrze, choć trochę postarzała... jak ja—dodał z uśmiechem.—Pani tylko masz przywiléj wiecznéj młodości.

— A! kompliment! z ust pana! to coś nadzwyczaj osobliwego—śmiejąc się, poczęła Klara.—Cóż się z panem działo pod te czasy?

— Byłem ranny, przeleżałem długo nieużyteczny ludziom, ciężarem matce i wszystkim—odparł Bernard.

— A teraz? co pan myślisz?—nalegała, zwolna prowadząc go za sobą i nie puszczając, piękna Astrea.—Cóż teraz?

— Dotąd szukam czegoś, nie mogąc nic znaléźć — rzekł Bojarski.—Zapewne znajdę gdzieś na prowincyi miejsce prywatnego nauczyciela.

— A cóż w takim razie będzie z matką?—ze szczególną troskliwością zapytała Saska, która zwolna, jakby umyślnie, za ogród już z sobą wyprowadziła Bernarda.

— Albo mnie wezmą z matką, która jednego pokoiku potrzebuje tylko — mówił Bojarski—albo... nie wiem, coś się innego znajdzie może w saméj Warszawie.

Chciał ją w téj chwili, przeprowadziwszy, pożegnać, gdy Astrea go zatrzymała.

— Jesteśmy o trzy kroki od mojego mieszkania—odezwała się.—Proszę, pan koniecznie musisz zajść do mnie.

Bernardowi wydało się to zpoczątku dziwném bardzo.

— Ale jakże? — dorzuciła z nadrobioną ży-

wością Klarcia, nie dając mu odpowiedzieć.— Jesteśmy bardzo, bardzo starzy znajomi, więc zapominać tak o sobie się nie godzi. Pamiętasz pan—dorzuciła, śmiejąc się — jak mała Klarcia, z zaplecionemi we włosy sinemi wstążkami, siadała w oknie dworku, a ktoś... z rogu akademii podkradał się jéj przypatrywać? O! były to te dobre czasy, kiedy surowa marchewka słodką się i smaczną zdawała, jak teraz Loursa cukierki...

Gdy to mówiła, szli ciągle i wchodzili już, po dywanem wysłanych schodach, na piérwsze piętro gmachu, który był pozostałością po pałacu saskim. Astrea tu mieszkała, bo Klarci dawnéj już ani śladu nie było.

Pokoje, do których go wprowadziła, uderzające były przepychem wymuszonym, jaskrawym, chwalącym się sobą, świadczącym że kosztować musiał niezmiernie wiele, choć smaku w nim nie było.

Jak jéj strój, tak i mieszkanie wywoływały pytanie, czy najpiękniejszy taniec w balecie mógł starczyć na przepych taki?

Bojarski, który w życiu nie widział takiego nagromadzenia fraszek, cacek, bronzów, kryształów, draperyj, złoceń, nieznanych kwiatów, porcelany, obrazków, świecidełek — wśród najdziwaczniejszych siedzeń, kanapek, huśtawek, taburetów, stołeczków — znalazł się tak zbłąkany,

onieśmielony, że kroku nie umiał stąpić i nie wiedział, gdzie się obrócić.

W dosyć dużym saloniku wistocie ciasno prawie było.

Nadbiegająca ładniuchna służebna, tak prawie wystrojona jak pani, zdjęła z niéj chustkę, a Astrea rzuciła się na kanapkę, krzesło obok siebie wskazując Bojarskiemu.

— Chciałam się pochwalić przed panem — zaczęła—jak tu u mnie ładnie i elegancko. A! ja-bo tak lubię co piękne, co drogie! przepadam za tem... to pasya moja! Piéniędzy zbiérać nie potrafię nigdy; ale je rozsypywać — o! umiem doskonale!

Podparła się na rączce białéj, wypieszczonéj i patrząc w oczy staremu znajomemu, ciągnęła daléj:

— Nie miała-żem ja słuszności, gdym się upiérała tańcować? Byłabym dotąd wujaszkowi musiała fajkę nakładać szkaradnym tytuniem, który mnie dusił, i chodzić do kuchni wąchać pomyje. A tu u mnie tak ładnie pachnie! Nie mogę się skarżyć, życie mi płynie, jakby sen jakiś rozkoszny. Prawda, że za kulisami męczą mnie zazdrośnice i zatrują czasem chwil parę; ale ja o te stare, chude baletnice z długiemi językami nie dbam. Jeżeli dotąd nie jestem najpiérwszą,

to obok niéj tuż stoję. Pan mnie nigdy nie widziałeś w balecie? nie bywasz w teatrze?

— Nie mogę, nie mam na to ani czasu... ani— odezwał się Bojarski.

— No, rozumiem — przerwała żywo Astrea, odsuwając szufladkę i niecierpliwie wołając służącéj Karusi. — Ale ja panu dam bilet, ja ich mam ile zechcę dla moich przyjaciół. Musisz pan pójść choć raz—mówiła, rozogniając się coraz.— Bo widzieć mnie tu w domu, a na scenie, to wielka różnica. Pan mnie nie znasz jeszcze... Ja na deskach jestem zupełnie inną. Mówiłeś zawsze, pamiętam, o ideałach.... Otóż ja tańcując, wszyscy mi to przyznają, jestem idealną... Słyszałam sto razy to wyrażenie i ono mi nawet pana przypomniało.

Napastliwe to odnowienie znajomości, które zpoczątku Bojarski zimno przyjmował—naostatek na niego oddziaływać zaczęło. Zapomniał się, nie bronił; urok piękności upajał go powoli. Szukał w sobie jakiegoś sofizmatu, aby ją oczyścić, uczynić w swych oczach mniéj winną—choćby naiwną nieświadomością własnéj winy.

Gwałtem prawie wcisnęła mu bilet, którego odrzucić nie miał siły, choć mu ręce palił.

— Przyjdź-że pan raz, zobacz—powtarzała— przecież to grzechem nie jest. Mówią, że nawet księża po cywilnemu na paradyz się wciskają..

Bojarski półgębkiem przyrzec musiał, ale jéj na tém nie było dosyć.

Klarcia, zostająca Astreą, bądźcobądź nieco się rozwinęła; umiała więc tak się znaléźć, aby nie raziła Bernarda.

— W teatrze pan musisz być — poczęła, pochylając się ku niemu — ale na tém niedosyć. Mam daleko większą pretensyą: chcę ażebyś pan bywał u mnie w domu. Tak, tak! —powtarzała, główką przekręcając zalotnie.—Powiédz pan sobie, że masz misyą nawracania grzésznicy! Ja będę kazań słuchała cierpliwie. Nuż pan mnie skruszysz, nawrócisz i ja, głowę posypawszy popiołem, pocznę pokutę?

Śmiała się serdecznie. Bernard sposępniał. Obrócenie w żart tego, co on za bardzo wielką i poważną rzecz poczytywał, raziło go. Ona szczebiotała ciągle:

— Nie możesz się pan mnie obawiać; zbyt jesteś, jak byłeś, panem siebie, a niepodobna aby mu przyjemności nie robiło popatrzéć czasem na to stworzenie, w którém się niegdyś kochałeś. Bo, że się kochałeś — o! na tobym przysięgła! Tego się zaprzéć nie możesz.

Bernard mocno się zarumienił.

— Nie zapiéram się tego— rzekł. — Była to miłość chłopięca, dziecinna, odtrącona, z któréj panna Klara tylko się śmiała.

Astrea błysnęła okiem ku niemu, minkę ułożyła dwuznaczną, spuściła potém wejrzenie na białe swe rączki, całe okryte ślicznemi pierścieniami, które żywo zsuwała z paluszków napół i nanowo je wkładała.

Rozmowa, dla Bernarda bardzo przykra, byłaby się przeciągnęła dłużéj, gdyby w téj chwili mężczyzna łysy, rysów arystokratycznych, niemłody, ale bardzo wykwintnie i młodo ubrany— nie wszedł do salonu.

Zimném głowy poruszeniem, zmieniona nagle, Klarcia pożegnała Bojarskiego, który wysunął się i wyszedł. Za sobą słyszał w salonie natychmiast rozpoczętą francuską rozmowę. W przedpokoju stał kamerdyner w liberyi, a przed gankiem piękny powóz, zaprzężony parą koni tak ustrojonych elegancko, jak ich właściciel.

Wyszedłszy w ulicę, Bernard odetchnął, jakby mu wielkie brzemię spadło z piersi. Nimby powrócił do matki, potrzebował zabrać myśli, zrobić rachunek zaniepokojonego sumienia.

Nierad był z siebie; okazał się zanadto słabym i pobłażającym, nie powiedział Klarci co był powinien, uległ urokowi jéj wdzięku... Miał to sobie do wyrzucenia. Krew oblewała mu twarz, wstydził się tego pokonania wejrzeniem i szczebiotliwością, tego przemilczenia prawdy.

Klarcia mu się wydawała uroczą, ale obudzała

politowanie... powinien jéj był to powiedzićć otwarcie.

W sumieniu przed sobą samym czuł się winowajcą. Krok fałszywy jeden sprowadzał go z drogi najuroczystszych postanowień.

Godziłoż się, nie zaprzeczając jéj, dozwolić tak lekceważąco mówić o życiu, o skrusze, o nawracaniu i obracać w żarty, co dla niego powinno było być świętém? Godziłoż się bilet przyjmować, a nawet dać się wprowadzić do domu, którego progu noga jego przestąpić nie była powinna?

Wszystko to razem teraz dopiéro stanęło mu przed oczyma.

Milczeniem przyrzekł prawie ją odwiédzać. Było to uznaniem jéj położenia za... prawidłowe, jéj życia za zupełnie wytłumaczone.

Gdzież były te zasady niezłomne, to postanowienie mówienia zawsze i wszędzie prawdy, choćby ona kosztować miała życie?

Poruszony do najwyższego stopnia, rozgorączkowany, upokorzony, czując się winowajcą nietyle może przez to co popełnił, jak przez następstwa, które słabość ta pociągnąć mogła za sobą—Bernard w rozpaczy przebiegał plac Saski, gniéwając się na siebie, obawiając powrócić do matki, aby na jego twarzy nie wyczytała grzechu.

Wzruszenie wewnętrzne było tak silne, tak opanowało go, iż wyrzuciwszy precz dany sobie bilet, poprzysiągł naprzód sobie, iż noga jego nie postanie więcéj u Klary.

Ale na tém niedość mu było.

Czuł że zawinił przeciwko zmarłemu ojcu, który zszedł spokojnie do grobu, pewien, iż syn od uznanych i wpojonych zasad nie odstąpi i im się nie sprzeciwi.

Cześć, jaką miał dla pamięci ojca, chwilową tę egzaltacyą spotęgowała jeszcze. Nie myśląc już o tém, że matka, czekając na niego, mogła być niespokojną, chwycił piérwszą wolną dorożkę i kazał się wieźć na Powązki, do grobu ojcu.

Tu na mogile chciał cień jego przebłagać za słabość i uroczyście ponowić przysięgę nieschodzenia nigdy z téj drogi, którą sobie wytknął na całe życie.

Ktoby był naówczas widział Bojarskiego pogrążonego w sobie, zrozpaczonego, pośpieszającego ku cmentarzowi, nigdyby się był nie mógł domyśléć, że tak napozór błahy powód roznamiętnił i pognębił do tego stopnia biédnego Bernarda. Pozostawiwszy dorożkę u wrót, pośpiesznym krokiem, znajomą ścieżyną, pobiegł do grobu profesora.

Dzień był jasny, pogodny, cmentarz pusty, pełen ptactwa... grobowce stały światłem oblane,

opowiadając poswojemu historyą ludzi, spoczywających pod niemi. Najwspanialsze z nich jadła już rdza i pokrywały mchy zapomnienia, wiele skromniejszych odżywiały kwiaty i wieńce.

Profesora grób w skromnym, dalekim kąteczku, utrzymywany był przez syna i wdowę z tém staraniem, które miłości gorącéj dowodziły. Nie mogli mu postawić pomnika, ale się nie chcieli prostym krzyżem ograniczyć. Profesorowa sprzedała jakiś po babuni odziedziczony szal stary, który miał wartość pewną, poświęciła ubogie swe klejnoty, zebrała co mogła i zakupiła kamień, który na podstawie oparty, zabezpieczony od słoty, miał pamięć zacnego człowieka podać potomnym.

Drewniane sztachetki opasywały ciasny skrawek zakupionéj ziemi, okrytéj kwiatami.

Jak winowajca, z głową spuszczoną, ukląkł Bernard przy mogile... W duszy swéj rozmawiał z cieniem, który ożywiał złożone tu zwłoki.

— Jestem winien, ojcze, i przychodzę skruszony wyznać to przed tobą — mówił w sobie, łzy ociérając z oczu. — Niegodnym się stałem ciebie i imienia syna twojego. Popełniłem błąd, którym się brzydzę, i przychodzę tu, u stóp twoich, ponowić przysięgę, że słabości nie ulegnę więcéj... Oczy mi się otworzyły. *Vitam impendere vero!* to była zasada twoja, która moją téż być powinna.

Szczęściem w porę przyszło poczucie winy i następstw, które grzészna słabość sprowadzić może za sobą. Ojcze! przebacz mi i bądź pewien, że błąd mój był ostatnim.

Powtarzając te uroczyste zobowiązania, Bernard zatopił się w myślach, we wspomnieniach, uspokoił nieco, uczuł w duszy jakieś błogie przejednanie z sobą samym i z nowém męztwem powstał do walki życia.

Matka... matka oddawna już musiała, oczekując na niego, być wielce niespokojną, potrzeba było pośpieszać do niéj, a nadewszystko wytłumaczyć opóźnienie, nie trapiąc opowiadaniem niepotrzebném o odwiédzinach u Astrei, które trwogą ją napełnić mogło.

Wistocie, powróciwszy do domu, znalazł ją w progu już stojącą, z załamanemi rękami, przelękłą, bo nawykła do punktualności syna, najmniejsze opóźnienie jego przypisywała zaraz nadzwyczajnemu jakiemuś wypadkowi.

Bernard, ściskając ją z podwojoną czułością, przyznał się, że niewysłowiona tęsknica zaprowadziła go do grobu ojca. Popłakali się oboje i Bernard, niebadany, mógł zmilczéć o Astrei.

Tegoż dnia nad wieczorem profesorowa go namówiła, aby koniecznie odwiédził hrabiostwo. Bernard dał się do tego skłonić i poszedł.

Zastał ich samych, z jednym starym ze wsi

sąsiadem. Hrabina Marya powitała go ze łzami na oczach, wywołanemi wspomnieniem wypadków, które ich rozdzieliły.

Z macierzyńską niemal troskliwością zaczęła go o przeszłość rozpytwać. Okazało się wkrótce z rozmowy, że oboje hrabiostwo, troskliwi o los jego, już mieli dlań miejsce upatrzone w spokrewnionym z sobą domu.

Hrabina szepnęła mu poufnie, iż jest tam do wychowania jedynak, przyszły dziedzic wielkich włości, wielkiego imienia, nadzieja rodziny, którego dotąd zupełnie na sposób cudzoziemski kształcono.

— Uprzedzam pana—dodała hrabina—iż z rodzicami, to jest właściwie z matką, bo ojciec ma tam wpływ mały, a może i z dzieckiem zadanie łatwém nie będzie. Ale pozyskasz wielką zasługę, jeżeli wychowanie chłopca skierujesz na drogę właściwą, bo przy najlepszych chęciach matki... może ono być zwichnięte.

Hrabia Zygmunt podszepnął, że warunki były nadzwyczaj świetne. Bojarskiemu wydały się one bajecznemi, gdy o nich posłyszał.

Umówioném zostało, że za dni parę sama hrabina miała Bernarda matce chłopczyka przedstawić, bo ta była panią domu i rozporządzała samowładnie wychowaniem jego.

— Nie zrażaj się pan—dorzuciła jeszcze—

chociażby zpoczątku wrażenie było niezupełnie korzystne, chociażby cię coś raziło, choćbyś przewidywał trudności. Powtarzamy to panu, będziesz miał wielką zasługę i pociechę. Wychować krajowi człowieka, który imieniem, położeniem, majątkiem wielki wpływ wywrzéć nań może — to coś warto.

— Nie przeczę, warto się poświęcić—odparł Bojarski — ale tylko naówczas, gdy zgodnie z przekonaniami własnemi będzie się go mogło pokierować.

— Kochany panie—przerwała hrabina—właśnie o to idzie, że w piérwszéj chwili mogą nie podzielać waszych przekonań, ale cierpliwie, z taktem, można je wpoić i... nawrócić.

Zaraz nazajutrz Bojarski począł się zdala rozsłuchiwać, pytać i zbiérać wiadomości o tym domu, do którego miał być wprowadzonym. Rodzina hrabiów, których jedynego potomka miał Bernard wychowywać, należała do najmożniejszych, do najstarszych, najbardziéj usprawiedliwionych, by je w piérwszym rzędzie arystokracyi zapisano.

Na nieszczęście pare ożenień, kilka żon i matek cudzoziemek, wprowadzonych do niéj, z polskiéj uczyniło ją kosmopolityczną. Koligacye były świetne, lecz nadawały jéj charakter obcy. Stosunki, podróże, długi pobyt za granicą wpły-

nęły na obyczaje i na pojęcie obowiązków. Szczególniéj sam hrabia był niemal gościem w domu i w kraju; bawił gdzieś zawsze u wód, na zimowisku południowém, robił wycieczki dla rozrywki i dla powietrza, a w miejscu nigdy długo wytrwać nie mógł. Przybywał do żony, którą szanował i słuchał jéj, jakby w odwiédziny, cieszył się synem, na czas krótki w kraju znajdował wszystko bardzo miłém i oryginalném, lecz stale tu zamieszkać niepodobna mu było.

Obiecywał to sobie... na starość. Hrabina, choć się krzywiła na wydatki, tolerowała ten absenteizm dlatego, że jéj dozwalał w silnéj dłoni trzymać interesa, zarząd majątków, edukacyą dziecka, z czego się wywiązywała bardzo szczęśliwie.

Hrabinie Annie odmówić nie było można wielkich przymiotów, zdolności rzadkiéj, pracowitości niezmordowanéj, logiki ścisłéj w postępowaniu, lecz, obok tego, miała słabostki. Przywiązywała wagę przesadzoną, zbyteczną do zwyczajów, obyczajów, konwencyonalnych form świata, szanowała do zbytku rzeczy bałamutne, bałwochwalczo przywiązaną była do pewnych drobnostek, znamionujących, według niéj, dobre wychowanie, cechujących towarzystwo wybrane.

W wychowaniu dziecka ta obawa naruszenia

form stała na piérwszym planie — i przed nią ustępować musiały daleko ważniejsze względy. Sama może niezupełnie sobie z tego zdając sprawę, więcéj niż człowieka, z syna chciała uczynić—pana. Ideał, jaki sobie stworzyła po kobiécemu, składał się z zewnętrznych znamion, z barw i foremek, a nie wchodziła w wykształcenie duszy i serca, z których się rodzić powinny wszystkie te przymioty, jako owoce.

W salonie postaci wspanialszéj, majestatyczniejszéj nad hrabinę Annę trudno sobie było wystawić. Dawna jéj, zimna i marmurowa piękność, zmieniła się z wiekiem w uroczystą jakąś powagę. Obudzała poszanowanie i trwogę.

Na ludzi patrzyła zgóry, nie poufaląc się prawie z nikim, nie zwierzając nigdy całkowicie, trzymając się na wodzy: ale dla wszystkich była nadzwyczaj grzeczną, uprzejmą zarazem i trzymającą ich w pewném oddaleniu, którego przestąpić nie dozwalała. Cała jéj baczność i staranie zdawały się skierowane ku temu, aby zawsze i wszędzie okazać się panią i królową. Nie cierpiała, aby jéj kto śmiał narzucać swą wolę w najmniejszéj rzeczy.

Dom hrabiostwa był pański, w całém słowa tego znaczeniu, miał wszystko co stanowiło atrybut stanu, chociażby wcale tego nie potrzebował. Rachunkowość była prowadzona ściśle, oszczę-

dność surowa, ale nie żałowano na to, co dom na stopie wysokiéj mogło postawić.

Z żelaznych form raz nadanych tu życiu, nic nie mogło wyzwolić się; reguła była zachowywaną jak w klasztorze, musieli się do niéj stosować wszyscy.

Etykieta była niemal hiszpańska; służba miała na piśmie wydane instrukcye, określenie swych obowiązków, przepisane ruchy, stanowisko, ubranie i zajęcia.

Niewoli téj poddawała się ta i co ją stworzyła, ale téż dla innych była nieubłaganą. Począwszy od kamerdynera w białym krawacie, ubranego czarno, aż do umundurowanych lokajów, niepokazujących się nigdy bez rękawiczek, każdy do dworu należący miał miejsce oznaczone, w którém go można było znaléźć, godziny służbowe, których pilnować musiał, a przyniesienie listu na prostym talerzu, zamiast srébrnéj tacki, mogło służby pozbawić.

Porządek był wzorowy, wszystko szło cicho, spokojnie, jak w zégarku, a wielka ta karność domowa tak zalecała tych co się jéj poddawali, że najlepszą rokomendacyą służącego było świadectwo, iż lat kilka wytrwał pod surową kontrolą hrabiny.

Przyszły wychowaniec Bojarskiego dochodził lat dwunastu. Po bonach, trzymano do niego księ-

dza Francuza i drugiego nauczyciela pomocniczego. Chłopiec źle bardzo mówił po polsku i rzadko mógł tego języka używać.

Dotąd, co poprzedzało, było tylko niejako przygotowaniem do wychowania, które się dopiéro naseryo rozpocząć miało. Dziécię, dosyć rozwinięte, nie było bez zdolności.

Bojarski miał objąć, pod nadzorem matki, główny kierunek naukami, nie potrzebując wykładać nad jeden przedmiot, który sam mógł wybrać sobie. Do innych przychodzić mieli specyalni profesorowie. Bernard zato stać musiał nieustannie na straży przy dziecku, nieodstępnym być przy lekcyach, nie oddalać się na krok.

Odpowiedzialność była wielka, ale i wpływ mógł być niemały.

Piérwsze przedstawienie się hrabinie Annie było tylko formalnością, zagajeniem. Prosiła go, oznaczając dzień i godzinę, aby przyszedł rozmówić się z nią obszérnie, wyczerpująco.

Sam widok tego domu sztywnego, pani majestatycznie zimnéj, krótka z nią rozmowa, w któréj o parę myśli wychowania tyczących się potrącono—wlały to przekonanie w Bojarskiego, że świetne stanowisko, jakie mu się tu obiecywało, po latach kilku zapewniające dożywotnią pensyą—z trudnością będzie mógł osiągnąć. Posta-

nowił jednak być cierpliwym, nie zrażać się i.... poszedł na egzamin.

Dla obu stron rezultat jego był wątpliwym. Bojarski miał zasady, od których odstąpić nie mógł; hrabina, w wielu rzeczach różniąca się od niego zdaniem, aforyzmów jakie głosiła nie dozwalała poddawać pod roztrząsanie.

Jednakże Bernard miał w sobie coś tak sympatycznego, poważnego, obudzającego zaufanie, jednającego szacunek — że zaproponowano mu trzymiesięczną próbę, ze znakomitém téj straty czasu wynagrodzeniem, jeżeliby się próba nie powiodła.

Po upływie trzech miesięcy, hrabina miała zdecydować o przyszłości. Czas ten zdawał się dostatecznym do poznania człowieka, a zakrótkim, aby szkodliwy wpływ mógł wywrzéć na dziecko, w najgorszym razie.

Ponieważ hrabina znaczniejszą część roku miała spędzać w Warszawie, Bojarski wymówił sobie godziny dla widywania się z matką, a w duchu sama pani powiedziała sobie, że mogłaby jéj nawet dać skromne w pałacu mieszkanie.

Chłopaczek, którego miano powierzyć Bernardowi, hrabia od kolébki, miał pradziadowskie imię Gwalberta. Była to śliczna laleczka, miła, układna, słodziuchna i w całém znaczeniu wyrazu paniczyk.

Naśladował doskonale w obejściu się z ludźmi zimną grzeczność matki i miał już pewną powagę, świadczącą o poczuciu swojego wyjątkowego stanowiska na świecie.

Napozór Bernard miał niby niewiele do czynienia, wistocie jednak musiał całego siebie tu oddać.

Dzień każdy, z wyjątkiem niedzieli, bo w święta i niedziele udawano się na nabożeństwo do kościoła—rozpoczynał się cichą mszą w kapliczce, którą Francuz l'abbé odprawiał. Potém następowały godziny nauczycieli, małemi od siebie oddzielone odpoczynkami. Po obiedzie para lekcyj lżejszych, przechadzka, potém dozór przy nauce i zadaniach, modlitwa i spoczynek zapełniały dnia resztę. Bojarski wymówił to sobie, że gdy hrabia młody doskonale paplał już po francusku, on z nim będzie po polsku rozmawiał. Matka po namyśle zgodziła się na to.

Dla Gwalbertka przychodziło to zpoczątku z wielką trudnością; krzywił się i dławił; lecz zwolna począł się przyzwyczajać i postanowił przełamać mężnie wstręty i trochę lenistwa.

Przy stole naturalnie panowała francuzczyzna.

Zpoczątku, choć maleńkie następowały starcia i nieporozumienia— pobłażano sobie wzajemnie. Niekiedy jednak coś trzeba było naganić laleczce, która wtedy pocichu wymykała się na

skargę do matki; matka delikatne czyniła wyrzuty, a Bojarski się tłumaczył.

Przychodziło do objawienia zasad, na które niezawsze się zgadzano w zupełności.

Hrabina, sama despotyczna, umiała poszanować niezłomne trzymanie się przy uznanéj prawdzie. Uległość byłaby jéj dogodniejszą, ale nie obudziłaby może zaufania i szacunku.

W rozmowach Bernard umyślnie naprowadzał treść ich na przedmioty, które mogły odkryć jego sposób myślenia i pojmowania.

Niewszystko się podobało. Ksiądz Francuz piérwszy zwrócił na to uwagę matki, iż jakaś woń liberalizmu zalatywała z pojęć chrześciańskich Bojarskiego. Niedosyć dla niego było ortodoksyi w nauczycielu. Hrabina tak samo domyślała się w nim zarodków demokratycznych.

Godzono się jednak na to, że mogły to być małe skazy, młodzieńcze porywy, z których łatwo dałby się poprawić.

Bojarski kilka razy wyrwał się z pojęciami postępu i coraz większego rozwoju ludzkości. L'abbé zbijał to, jak herezyą. Nie mówiono o tém późniéj, lecz Bernard został przy swojém, zadumany, co ma począć daléj.

Różnice takie w wielu zasadniczych pojęciach coraz się dotkliwiéj czuć dawały.

Zdawało się Bojarskiemu, iż po trzech miesią-

cach, dostatecznie go poznawszy i wiedząc już że on się nie da nawrócić — grzecznie pożegnają go; był do tego przygotowanym.

Tymczasem, choć l'abbé podnosił te „kamienie obrażenia," te fałszywe doktryny wieku i groził następstwami wychowaniu, w któreby one wsiąkły — on i hrabina wahali się z rozstaniem i odprawą Bojarskiego.

Obejście się jego z chłopaczkiem, łagodność, charakter, którego strony szlachetne tak były wybitne, powaga, sumienność, spokój ducha—jednały mu zaufanie. Obawiano się go utracić. L'abbé nawet przyznawał mu niepospolite przymioty i gotów był zgodzić się na zachowanie go, czuwając tylko, aby nie zawrócił głowy Gwalbertowi mrzonkami i doktrynami ułudnemi.

Hrabina, która już szukała długo i na kilku się zawiodła, znużona nieco, była tego zdania, iż doskonałości niepodobna znaléźć na świecie, a tam, gdzie suma dobrego przewyższa ujemne strony—należało i tém się zadowolić.

Znając dobrze świat i ludzi, czuła już, że wstępnym bojem Bojarskiego ani nawrócić, ani zmienić nie było można; lecz pochlebiała, że nieznaczny, powolny wpływ atmosfery domowéj musi oddziałać na Bernarda i naprowadzi go na prawą drogę.

Trzymiesięczna próba dobiegała do końca. Wie-

czorem jednego dnia Bojarski, zmęczony i smutny, przyszedł do matki, dla któréj teraz godzina odwiédzin jego była jedyną jasną, oczekiwaną, upragnioną.

Z tego co jéj syn opowiadał o domu, w którym się podjął tak wielkich obowiązków, profesorowa więcéj powzięła trwogi, niż radości.

Oboje oni, syn i matka, nie spodziéwali się, ażeby Bojarski mógł się utrzymać na stanowisku trudném i niezawsze dającém się pogodzić z zasadami wyznawanemi przez Bernarda.

Matka nawet nie wiedziała, czy sobie i jemu życzyć tego miała, obawiając się, aby jéj nie zamęczono Bernarda. Opowiadanie o hrabinie przeraziło ją. Zdala starała się ją widziéć w kościele i majestatem wielkiéj pani była olśniona.

Bernard sam z sobą walczył, nie wiedząc czego pragnie. Przez te trzy miesiące chłopaczek się do niego przywiązał i on do wychowańca. Zdawało mu się, że mógłby w tę duszę jeszcze nierozpowitą zasiać zdrowe ziarno.

Tego dnia jednak, po rozmowie z księdzem, w któréj nieuchronne były maleńkie starcia, powziął to przekonanie, iż zostanie grzecznie odprawiony.

Małego Gwalbertka, w którego duszy odbywał się widocznie jakiś proces, zapowiadający przesilenie, niezmiernie żal mu było. Nie mylił się

Bernard: dziecko, rozmowami z nim rozbudzone, myśléć zaczynało. Przybycie Bojarskiego, obcowanie z nim, podziałało na paniczyka w sposób niespodziéwany. Żelazne kluby, w które go od dzieciństwa zakuła wola matki, piérwszy raz mu zaciężyły. Rodziła się chętka oporu, zmiany jakiéjś, swobody i samoistności, chociaż Bernard nigdy najmniejszém słowem do nieposłuszeństwa go nie podbudzał.

Dzieciak przez ostrożne słowa nauczyciela zaczynał widziéć świat inny, nowy—nie taki, jakim go otaczała matka. Ciekawość razem i pragnienie życia przywiązywały go do mistrza.

Nie taił się z tém przed matką, że Bojarskiego bardzoby mu żal było, a i to wpłynąć miało na ostateczne rozstrzygnięcie o przyszłości.

Bernard milcząco powitał matkę, całując ją po rękach; ona patrzyła mu w oczy niespokojna, starając się zbadać, co przynosił. Lękała się zarazem i pragnęła, aby pozostał u hrabiów. Sama nie wiedziała, co lepszém było.

— Z czém-że ty przychodzisz?—zapytała go pocichu.

— Dotąd niéma nic jeszcze, nie mówiono ze mną — rzekł Bojarski — chociaż w tych dniach termin upływa.

— Jakże ci się zdaje? Co przeczuwasz?—dodała matka.—Co do mnie, modlę się: Bądź wola

Twoja—bo doprawdy nie wiem, czegochcieć i życzyć.

— Ja tak samo—przerwał Bojarski.—Radbym pozostać i lękam się. Niezupełnie się zgadzamy z hrabiną w wielu ważnych kwestyach. Ona nie ma zwyczaju ustępować, a ja od tego, co za prawdę poczytuję, nie mogę.

Łzy kręciły się w oczach matki, która je nieznacznie, skręconą w wałeczek chusteczką ocierała.

Bernard stał przed nią zadumany.

— Niezbyt się niepokoję tém co wypadnie—rzekł, biorąc rękę matki.—Niech matusia téż będzie spokojną. Znajdę sobie inne zajęcie, mniéj zapewne korzystne i świetne, ale téż mniéj kłopotliwe.

— Wola Boża—szepnęła Bojarska, wzdychając.

— Tego matusia pewną być może—dodał—iż ja ustępstwem się nie splamię takiém, któreby mnie poniżało. Na chléb zarobię zawsze, a sumieniu kłamu nie zadam.

Staruszka pocałowała go w głowę.

— Jestem spokojną—rzekła.—Opatrzność Boża opiekowała się nami dotąd, ufam jéj i na przyszłość. Ja nie wiele potrzebuję, a ty, biédaku, przywykłeś znosić cierpliwie, co Bóg zsyła.

— Dotąd nie mam zasługi żadnéj — dorzucił,

uśmiechając się, Bernard — nie cierpiałem jeszcze... a sił mam dosyć.

Bojarski rozpoczął potém rozwijać przed matką plan swój dawania lekcyj na pensyach, przygotowywania uczniów do egzaminów. Dozwalało mu to pozostać w Warszawie razem z matką i skromny chléb powszedni zapewnić mogło.

Tegoż wieczora, gdy tak syn z matką rozprawiali o swéj przyszłości, hrabina z powiernikiem swym, Francuzem, roztrząsała wielką kwestyą, co począć z Bojarskim: odprawić go, czy zatrzymać?

Oboje niezupełnie byli zaspokojeni; oceniali przymioty, lecz obawiali się wielu przekonań, zbyt, zdaniem ich, radykalnych, z któremi Bernard się zdradził.

Hrabina, która już wielu kandydatów pozbyła się bez próby i znała trudność znalezienia nauczyciela idealnego, niemal już godziła się na zatrzymanie Bojarskiego, pod ścisłą kontrolą i dozorem.

Ksiądz się jéj nie sprzeciwiał i żywił nadzieję, że młodzieniec zwolna, karmiony dobremi książkami w atmosferze domu, przerobić się da na to, czém go mieć chciano.

W ostatku dla serca matki ważyło i to, że Gwalbertek mówił za Bojarskim, że się do niego przywiązał.

— Mój ojcze—wzdychając, mówiła hrabina—to darmo, zupełnie nam odpowiadającego człowieka wątpię, byśmy znaleźli. Ten przynajmniéj szlachetny jest, uczciwy, stateczny i otwarty. Ma przymiotów wiele i kocha Gwalbertka...

— Droga pani — odparł ksiądz – a jeżeli późniéj wpływ, tego nauczyciela, codzień, nieustannie obcującego z uczniem, okaże się zgubnym, albo nawet wątpliwym, cóż pani poczniesz wtedy, związawszy się umową na pewien przeciąg lat? Pozbyć się go nie będzie można inaczéj, jak stosunkowo wielką ofiarą.

— Dla tego téż— przerwała hrabina — chcę jutro z nim mówić, stawiąc mu warunki nowe: umowę roczną na przykład, a wrazie rozstania się, jakąś indemnizacyą.

Ksiądz zgadzał się na to milcząco.

Tak tedy nazajutrz, po obiedzie, gdy wedle zwyczaju wszyscy się rozchodzić mieli, l'abbé pozostał z Gwalbertkiem, a hrabina skinęła na Bojarskiego, aby za nią przeszedł do gabinetu.

Nie chcąc dać poznać po sobie niepewności i walki, hrabina Anna przybrała niezwykły ton wesoły, uprzejmie wskazała krzesło Bernardowi i odezwała się z pewną poufałością:

— Trzy miesiące upłynęły nam bardzo szybko, i pomimo małych różnic w zapatrywaniach się naszych, sądzę że pan równie nas znośnymi znaj-

dujesz, jak my go nam miłym i pożytecznym. Gwałbertek przywiązał się do swego mistrza.

Spojrzała mu w oczy bystro.

— Wiész pan co, mam nowy wniosek, na który może się zgodzisz—dodała.—Nie wiążmy się jeszcze żadnym dla obu stron ciężkim ślubem. Zróbmy umowę na rok, to poznamy się lepiéj. Wrazie, gdybyś pan nas nie chciał, a my nie mogli dłużéj korzystać z jego poświęcenia, chętnie ofiarujemy półroczną indemnizacyą, chociaż pewną jestem, że im dłużéj będziemy z sobą, tém ściślej się zwiążemy i zrozumiémy lepiéj. Na wszelki jednak wypadek.... Jak pan to znajdujesz?

Bojarskiemu warunek był najdogodniejszym.

— Z największą wdzięcznością—rzekł—zgadzam się na żądanie pani hrabiny, z jednym tylko warunkiem, że do żadnéj indemnizacyi prawa miéć nie będę.

— O nie, nie! — przerwała hrabina, rada że się tak skończyło—ja stoję przy swojém, uznając to sprawiedliwém. Proszę tylko pana o jedno: w rozmowach z Gwalbertkiem, które na niego widoczny wpływ wywiérają i rozwijają władze jego umysłowe, chciéj pan pamiętać, że chłopiec ten ma od losu zawczasu sobie przeznaczone miejsce i rolę, jaką odegra w społeczeństwie. Do niéj go szczególniéj przygotowywać potrzeba.

Bernard zrozumiał. Nie chciał się w dłuższą o tém wdawać rozprawę i skłonił tylko głowę.

Hrabina wstała, podając mu rękę, którą pocałował z poszanowaniem, a poruszenie jéj z miejsca natychmiast przywołało niecierpliwego Gwalbertka, który wpadł, wołając nauczyciela na zwykłą przechadzkę. Bojarski radby był zaraz dać matce znać o rozwiązaniu sprawy i uspokoić ją, lecz obowiązek nie dozwalał. Panicz niecierpliwie powoływał go na tę rozmowę na cztéry oczy, która służyła mu do badania o tysiące rzeczy, ciekawych, zagadkowych, niezrozumiałych, a tylko przez Bojarskiego mu objaśnianych... On jeden, zastosowując się do pojęcia ucznia, umiał, nie zbywając go milczeniem, zaspokoić pragnienie wiedzy i młody umysł do samoistnego wprawić myślenia. Iść krok w krok za postępami, jakie czynił Gwalbert, za trudem Bernarda, czuwającego nad powierzonym mu sobie uczniem; śledzić zmiany, którym uległ młody hrabia—nie jest zadaniem naszém. Matka śledziła pilnie rozwijanie się syna, umiała je ocenić, ale się niém trwożyła. Chłopak, zdaniem jéj, nadto szybko dojrzéwał. Ksiądz Francuz znajdował to także i podzielał jéj obawy. Oprócz tego w ogólnych pojęciach o świecie, ludziach, obowiązkach, Bernard wpajał mu zasady, wprawdzie godzące się z nauką ewangeliczną, ale nadawał im, zdaniem

matki i księdza, jakąś barwę niewłaściwą, zbyt demokratyczną.

Hrabina znajdowała, że syn jéj, pod wpływem Bernarda, zwolna coraz mniéj paniczem się stawał, tracił cechy dystyngowane, odrębne, które mu były w dzieciństwie nadane, stawał się do zbytku popularnym. Zarzucić nie można było nic nauczycielowi, pochwycić go na niczém, a mimo to działał na Gwalberta nie tak, jakby hrabina sobie życzyła.

Samo przywiązanie do Bojarskiego, wiara w niego, matkę czyniły zazdrosną. Zdawało się jéj, iż przez to straciła część przeważnego swego wpływu na syna.

Pół roku nie upłynęło, gdy już dawało się czuć ostygnięcie wzajemne i Gwalbertek tylko coraz się goręcéj przywiązywał do mistrza.

Mama, zapobiegając przechadzkom samotnym, które posądziła o najniebezpieczniejsze wpływy, potrafiła pod jakimś pozorem dodać do nich Francuza, który towarzyszył Bojarskiemu. Gwalbertek stał się odtąd milczącym.

Co do nauk, postęp w nich był widoczny, dozór ścisły i tu Bojarskiemu nic zarzucić nie było podobna. Hrabina, nie umiejąc się dobrze z tego wytłumaczyć, wogóle coraz mniéj chętną okazywała się dla nauczyciela, ale on to znosił cierpliwie.

Przed przyjaciółkami swemi chwaliła Bernarda, ale pocichu dodawała, iż jednakże pod względem dystynkcyi wychowania wiele zostawiał do życzenia.

Druga połowa roku próby cięższą była od piérwszéj do przebycia. Bojarski przeczuwał znowu nieuchronne rozstanie, hrabina zaś szukała, kimby go zastąpić mogła, ale znaléźć nie umiała. Gniéwało ją to najwięcéj, iż nic wyraźnego, dobitnego, oznaczonego zarzucić nie mogła nauczycielowi. Posuwał powolność dla niéj do ostatecznych granic, przez miłość dla Gwalbertka.

Chłopiec wistocie zasługiwał na nią; budziły się w nim instynkta szlachetne, a właśnie zbyt surowe trzymanie się form ze strony matki, niewola w jakiéj ona go trzymać chciała—pragnienie większéj swobody podbudzały.

Gwalbertek wydawał się przed matką z zachciankami zuchwałemi, które ona nie jemu, ale Bojarskiemu przypisywała.

Twarz jéj posępniała, stawała się milczącą; l'abbé coraz nieznośniejszym był natrętem i dozorcą. Parę razy przyszło do cierpkich wymówek, zpowodu drobnych rzeczy, które Bernard zniósł cierpliwie.

Tak rok ten dobiegał powoli do końca.

Jednego wieczora nagle, po dłuższéj rozmowie

z synem, wezwała hrabina do swojego gabinetu Bojarskiego.

Mógł się łatwo domyśléć, iż mu to nic przyjemnego nie zwiastowało. Zastał hrabinę z podniesioną dumnie głową, chodzącą krokami niecierpliwemi po pokoju.

Była tak poruszoną, iż zpoczątku mówić nie mogła.

— Panie Bernardzie—odezwała się po namyśle — przypomnij pan sobie naszę rozmowę, w któréj to sobie wyraźnie zastrzegłam i wymówiłam, aby Gwalbertowi nie wpajać myśli i zasad, z jego stanem i położeniem niezgodnych. Tymczasem nie od dziś dnia postrzegam w nim zmianę, któréj nie mogę czemu innemu przypisać, jak wpływowi pańskiemu. Gwalbert nadto się z ludźmi spoufala, nie umié poszanować swéj godności. Śmiał mi niedawno dowodzić, że wszyscy ludzie są równi.

— Przed Bogiem i przed prawem — wtrącił Bojarski—nie można ich dzielić na klasy uprzywilejowane.

— Ale życie ma swe warunki — przerwała hrabina żywo — które się tym doktrynom sprzeciwiają. Pan pomimowoli wpajasz mu zasady demokratyczne.

— Nie czuję się winnym—odparł Bernard—

bo z Gwalbertkiem nie mogłem nawet dotknąć tego przedmiotu. Jest zamłodym....

— A jednakże wpływ pański jest na nim widocznym — zaczęła hrabina, głos podnosząc.— Nietylko ja to postrzegam. Dziecko nabija sobie głowę marzeniami niepotrzebnemi.

— Powtarzam—rzekł cierpliwie Bojarski—iż się do winy nie poczuwam. Gwalbertek umysł ma żywy, ciekawość rozbudzoną; ja więcéj pracuję nad tém, aby go uspokoić i zwrócić ku innym zajęciom, niż wywoływać niepotrzebne i przedwzesne marzenia. Ale być może—dodał—że mimowoli postępuję nietrafnie. Jak skoro pani hrabina znajduje, iż życzeniom jéj odpowiedziéć nie umiem, usunę się chętnie...

To mówiąc, Bernard cofnął się parę króków, jakgdyby sprawę uważał za skończoną.

Hrabinę to podrażniło. Nie życzyła sobie rozstać się tak nagle; sądziła że mała pogróżka doprowadzi do porozumienia.

— Ale ja—rzekła—pragnąc się z panem rozmówić, nie miałam na myśli wcale skłonić go do opuszczenia nas. Spodziéwam się, że to nie nastąpi. Zadaj pan sobie tylko pracę baczniejszego czuwania...

— Jest to dla mnie niepodobieństwem—rzekł Bojarski spokojnie.— Nie mogę się ani przyznać do fałszywego kroku, do mylnego kierunku, ani

dostrzedz, w czém uchybiłem. Jestem sobą i innym być nie potrafię.

Hrabina ramionami ruszyła.

— Pozwól sobie powiedziéć, że masz trochę uporu—rzekła.

— Trudnoby mi było z niego się poprawić—dodał Bernard.—Wistocie tam, gdzie przekonanie mną kieruje, nie ustępuję... Lecz ponieważ idzie o Gwalbertka, do którego się przywiązałem, którego przyszłość tak mnie obchodzi...

Tu Bojarski, o mało strasznéj herezyi jakiéjś nie wyrzekłszy, połknął ją, nie domawiając.

— Ponieważ idzie o Gwalbertka — poprawił się — czy mi wolno zapytać, w czém pani widzi zgubny mój wpływ na niego?

Hrabina brwi zmarszczyła.

— Sądzisz pan, że to się tak łatwo daje określić?—odparła.— Jest innym, spoufala się nadto, zapomina często co winien imieniowi swemu. Są małe, niedostrzeżone odcienia, które ja jednak widzę jasno i czuć mi się dają dotkliwie.

Bojarski stał milczący.

— Zdaje mi się— rzekł wkońcu — iż w tym wieku im się więcéj zbliży do ludzi, im lepiéj pozna życie, które nikogo nie oszczędza, tém na przyszłość więcéj skorzysta. Los dał mu wprawdzie położenie wyjątkowe, szczęśliwe, ale któż

zapewnić może, iż się ono nie zmieni? Lepiéj być przygotowanym na wszystko.

— A szczególniéj —przerwała hrabina z oburzeniem—do tego, co najpewniejsze, co niezawodne. Spodziéwam się, iż Gwalbert będzie tém, czém go uczyniło urodzenie. Czego innego nie przypuszczam.

Bojarski, widząc panią domu do zbytku już oburzoną i lękając się dłuższéj z nią rozprawy, która rozdrażnienie powiększyć tylko mogła, cofnął się krok jeszcze i rzekł:

— Nie pozostaje mi więc nic, nad podziękowanie pani za dotychczasowe zaufanie i opuszczenie jéj domu.

Hrabina podbiegła ku niemu.

— Ale cóż znowu!—zawołała. — Tak się nie rzuca porywczo raz przyjętych obowiązków. Daj mi pan czas wyszukania kogoś, coby go zastąpił, i niech Gwalbert nie wié o tém, dlaczegośmy się rozstali. Proszę pana o to.

Nic już nie odpowiadając, Bojarski skłonił się nizko i wyszedł.

Był to dzień właśnie, w którym zwykle matkę odwiédzał; nie zachodząc więc do Gwalberta, który zabawiał sie z l'abbé, wprost udał się do niéj.

Na wchodzącym poznała odrazu profesorowa, że coś z sobą przynosił, co mu czoło zachmurzało

i uciskało piersi. Nie dał jéj długo czekać na wyznanie.

— Matusiu — rzekł — z hrabiną przyszło do otwartego wytłumaczenia się. Oddawna postrzegałem, że nie była ze mnie kontenta. Dziś, po wymówkach jakie mi uczyniła, podziękowałem jéj...

Profesorowa załamała dłonie, które syn ucałował.

— Aleśmy to przecie przewidywali—rzekł.— Z tego, co się oszczędziło, możemy spokojnie żyć kilka miesięcy, dopóki ja sobie nie znajdę zajęcia. Gwalberta mi serdecznie żal, bo z niego uczynią paniczyka, gdy być mógł zacnym i pożytecznym człowiekiem. Ale, niestety, niéma na to rady.

Matce w téj chwili nie szło wcale o młode hrabiątko, ale o własnego syna. Znowu tedy pozostawali z tą nieszczęsną troską o jutro. Bojarski był tak pewnym, że sobie da radę, iż wcale nie myślał o przyszłości. Pensyjka matki, małe oszczędności wciągu roku uczynione, zapewniały conajmniéj na kilka miesięcy skromne ich utrzymanie. Uspokoiwszy matkę i do późna z nią zabawiwszy, Bojarski powrócił do pałacu i nie schodząc już do salonu, wprost poszedł do swojego mieszkania, gdzie wkrótce znalazł się i Gwalbert, który za nim zatęsknił. Humor matki, uni-

kanie jéj w rozmowie wspomnienia o Bojarskim chłopcu dało do myślenia. Obawiał się o swego, kochanego nauczyciela.

Ponieważ stosunek nie był jeszcze zerwany, Bernard nie znajdował właściwém oznajmić uczniowi, iż go miał opuścić. Udawał wesołego.

Gdy się to działo na górze, hrabina z powiernikiem swym Francuzem siedziała na konferencyi, naradzając się, co począć. L'abbé niebardzo lubił Bojarskiego, nie był dla niego usposobionym przyjaźnie, ale bardzo dobrze rozumiał, jak trudno go będzie zastąpić. Niemiły, surowy, obstający przy tém, aby go słuchano, do czego, jako duchowny, miał prawo, Francuz nadto ludzi znał, ażeby nie ocenił Bojarskiego; ale z drugiéj strony tém więcéj się go obawiał. I on, jak hrabina, był wahającym się, niepewnym, które z dwojga złego miał wybrać. Z Bojarskim byli oboje pewni tego przynajmniéj, że ich nie oszuka. Miłość prawdy w nim była przymiotem uderzającym.

Sam Francuz naprzód zwrócił uwagę matki na coraz wybitniejszy wpływ Bojarskiego, jak mu się zdawał niebezpieczny. Teraz niemal się gniewał na siebie za sąd może zbyt pośpieszny, który—wrazie usunięcia się tego nauczyciela—narażał na ciężkie poszukiwania, próby i zawody.

Nielepiéj-że było pozostać przy tém, co się już

znało, niż trafić może na skryte a gorsze jeszcze niebezpieczeństwo?

Hrabina poczęła od opowiadania o swém spotkaniu z Bernardem.

— Koniec końcem — rzekła wprost, z krwią najzimniejszą — sam mi podziękował, ten jeden kładąc warunek, że o żadnéj indemnizacyi słyszéć nie chce.

— Tego ja byłem pewnym — dodał żywo l'abbé—ma uczciwą dumę ubogich. Szkoda człowieka, ale... im czystszym jest i zacniejszym, tém staćby się mógł z marzycielstwem swém groźniejszym dla Gwalbertka.

Hrabina zamyślona stała oparta o stolik.

— I mnie z nim rozstać się będzie trudno—rzekła—a co najgorsza, przewiduję że Gwalbert, który się przywiązał do niego, będzie go opłakiwał. I jak mu tu wytłumaczyć, że się on z nami, czy my z nim rozstajemy?

— Ale on z nami, on z nami! — podchwycił ksiądz.—Tak jest wistocie: on piérwszy podziękował pani hrabinie. Trudno siłą człowieka i gwałtem trzymać, gdy chce odejść.

Oboje zadumani czas jakiś milczeli.

— Nie mam sobie nic do wyrzucenia—rzekła hrabina—najmniejszego niebacznego słowa. Nie mogłam go obrazić, zwróciłam tylko uwagę nato, że mi demokratyzuje Gwalbertka.

Ksiądz ramionami poruszył.

— Tak—dodał—a że te demokratyczne przekonania popiéra niezawsze właściwemi cytatami z ewangelii, to mi się nie podoba. Daje to twierdzeniom powagę wielką. Wiémy jak słowa Bożego łatwo nadużyć można. Czy sądzi pani hrabina, że Bojarski nie dałby się jeszcze na czas pewien zatrzymać, przynajmniéj dopóki my sobie kogoś innego na jego miejsce nie znajdziemy?

— O, do czasu pozostanie pewnie—westchnęła hrabina—lecz, przyznaję się wam, iż ze smutkiem przyjdzie mi się wyrzec nadziei zachowania go przy Gwalbercie. Musimy przyznać, mimo zbałamucenia, że ten człowiek o wiele więcéj wart od innych.

L'abbé westchnął.

— Tymczasem więc—dodał—niech hrabina tylko zażąda od niego, aby nie opuszczał Gwalberta, póki się nie znajdzie zastępca.

— Postaram się o to—zimno odparła hrabina—ale sprawiedliwość nakazuje postawić oznaczony termin jakiś, bo on téż musi się starać o to, aby sobie znalazł zajęcie.

Rozstała się hrabina, niezupełnie kontenta z kapelana, który zanadto surowym się okazał względem Bernarda—i l'abbé z hrabiny, mówiąc sobie, iż go nie zrozumiała, zbyt się pośpieszywszy z wymówkami, gdy można było innych je-

szcze próbować środków oddziaływania na Bernarda.

Nazajutrz dzień się rozpoczął jak zwykle, wedle formy niezmiennéj, a po śniadaniu hrabina na chwilkę rozmowy wezwała do gabinetu Bernarda.

— Pan naseryo obstajesz przy tém, by nas porzucić? — zapytała go.

— Zdaje mi się, że spełniam tylko życzenie pani hrabiny—rzekł spokojnie. — Nie mogę się odmienić, muszę się więc usunąć.

— Jest to dla nas niespodzianką — odparła pani domu. — Mówisz pan że kochasz swojego ucznia, Gwalbert téż mu płaci za to przywiązaniem; nie zechcesz go więc tak rzucić z dnia na dzień, nie dając nam czasu, byśmy mu poszukali zastępcy.

— Pani hrabina pozwoli mi na to zwrócić uwagę, że l'abbé V... może bardzo dobrze zająć tymczasowo moje miejsce—rzekł Bojarski.—Ja będę zmuszonym także szukać sobie...

— Ale ja obstaję przy indemnizacyi, dlatego że ona właśnie ma na celu dać panu czas na to poszukiwanie — rzekła hrabina.

— Tak — odparł Bernard — ale mogłoby się obejść bez niéj i mnieby z tém lżéj było.

— Nie przesadzaj pan w delikatności — ode-

zwała się hrabina.—Słusznie się to panu należy a nam daje czas, abyśmy się rozpatrzyli.

Bernard, skłoniwszy się, chciał odejść, gdy hrabina przystąpiła do niego.

— Gwalbertkowi proszę nic nie mówić o tém; bądź pan z nim jak dawniéj.

Bojarski odszedł i rzeczy pozostały w zawieszeniu.

Do małego kółka przyjaciół i towarzyszów Bernarda, z którymi go związało koleżeństwo uniwersyteckie i służba wojskowa, należał Cezar Muliniec.

Jak Bojarski, sposobił się on do stanu nauczycielskiego, miał wielkie zamiłowanie literatury, niepospolity talent poetycki, pojęcie żywe i bystre, lecz zawczasu zmuszony myśléć sam o sobie i wtajemniczony w ciemniejsze strony życia ludzkiego, nawykł rachować się z niemi i wcale inaczéj wytykał sobie drogę życia.

Muliniec nie był zepsutym, lecz przedewszystkiém tylko własne dobro zawsze mając na widoku, do wielu ustępstw był gotowym, na które Bernard by się nigdy nie zgodził. Charaktery ich miały pewne bliźnie przymioty, ale i wielkie różnice. Bernard przy nim wydawał się naiwnie dziécięcym.

Cezar, jakby przeczuwał naukę Emmersona, miał za zasadę iść do celu własnego, niezbyt się dla drugich poświęcając. Celem tym wprawdzie nie były zdobycze materyalne, nie szło mu ani o zbogacenie się, ani o dogadzanie próżności, ale o wykształcenie siebie, o podźwignięcie swych sił umysłowych; to zaś, co mu na zawadzie stawało, gotów był bez namysłu uprzątnąć z drogi. Syn urzędnika, który nie zostawił po sobie nic nad wychowanie jakie mu dał, Cezar wyrostkiem, na łasce dalekich krewnych, musiał sam dobijać się reszty. Ale czuł w sobie siły i wiodło mu się szczęśliwie. Są ludzie, co mają przeczucie przyszłości swéj, i stąpają nieraz zuchwale, dobijając się jéj osiągnięcia. Zwano go zarozumiałym niekiedy, choć nie był nim wistocie, lecz miał instynktową wiarę w siły własne. Najlepiéj rozumiał czego mu brakło, ale nigdy nie rozpaczał o nabyciu niedosięgniętego. Pracowity, niezmordowany, zawsze pogodnego umysłu, miły w obcowaniu, umiejący się zastosować do ludzi, Muliniec należał do téj młodzieży, którą wymieniano jako świetne rokującą nadzieje. Kilka jego poemacików, kilka rozprawek, parę krytyk teatralnych zwróciły nań uwagę najsurowszych sędziów ówczesnych.

Bojarski był bojaźliwym w wyborze zajęć, wahał się często w posłuchaniu natchnienia, bada-

jąc siebie, czy ono wistocie odpowiadało jego charakterowi i zdolnościom. Każde zadanie w piérwszej chwili uważał za przechodzące jego siły.

Cezar, przeciwnie, mając ogromną łatwość, nigdy nie wątpił o sobie, porywał się na wszystko i gotów był szczęścia próbować w najrozmaitszych rodzajach. Rzucał się na poemata, pisał dramata, marzył o historyi, czuł w sobie powołanie krytyka.

Niezawsze bywał szczęśliwym w tych pokuszeniach, lecz to go nie zrażało. Potrzebował być czynnym, poruszać się, pracować. Czytał ogromnie wiele; erudycyą, choć może niezbyt głęboką, ale świetną, zdumiéwał Bojarskiego. Poznawszy się z sobą, poprzyjaźnili się łatwo, znajdując się sobie wzajem potrzebnymi.

W długich rozmowach, na przechadzkach, poddawali sobie myśli, roztrząsali je, sprzeczali się, a koniec końcem tęsknili za sobą, choć się najmocniéj różnili w zdaniach. Dla Bojarskiego miał Cezar ten przymiot wielki, że sam straciwszy matkę, do któréj był przywiązanym, szanował i kochał profesorową, bo mu ją przypominała.

Rzadko dzień upłynął, żeby się nie spotykali. Muliniec nie miał jeszcze stałego zajęcia; ale dwie siostry zamężne za urzędnikami dosyć wpływowymi, obie przywiązane do brata, starały się o coś dla niego. Tymczasem był on spółpraco-

wnikiem bezimiennym pisemek niewielu, które podówczas wychodzić zaczynały.

Nie przynosiło to nic, lub bardzo mało, lecz nie dawało zardzewiéć i rozpróżnować się.

Tymczasem Muliniec roił plany olbrzymie prac przyszłych. Równie jak Bojarski, uczył się z chciwością wiedzy niezmierną.

Pomiędzy Mulińcem a Bernardem nie było tajemnic; spowiadali się sobie, nie obawiając się zdrady.

Drugiego dnia, gdy hrabina wymogła na Bojarskim, że do czasu pozostanie przy jéj synu, Bernard, idąc do matki, spotkał na drodze Mulińca. Cezar z powierzchowności téż różnił się wielce od skromnego i niepokaźnego Bojarskiego. Był to bardzo przystojny mężczyzna, słusznego wzrostu, zręczny, twarzy pełnéj wyrazu, umiejącéj się przymilić, rozmowy łatwéj i mający pewną dystynkcyą, którą mu nawyknienie do towarzystwa w większém mieście nadawało.

Bernard wyglądał na daleko mniéj wybitną osobistość, niż był wistocie; trzeba go było poznać, aby ocenić. Cezar więcéj obiecywał, niż mógł ziścić, ale zdobywał ludzi łatwiéj, zastosowywał się do kółek, w które wchodził, prędzéj daleko.

Podali sobie ręce.

— Cóżeś tak pochmurny dziś? — spytał Muliniec.

— Jakże chcesz? odprawiono mnie, czy ja się odprawiłem, bo doprawdy nie wiem tego sam — rzekł Bojarski. —Jestem człowiekiem szukającym kawałka chleba, a mam matkę.

Muliniec, który wysoko cenił przyjaciela, szczególniéj jako pedagoga, zdumiał się.

— A toż są... z pozwoleniem... (tu niegrzecznego mu się coś wyrwało), jeżeli mając cię, nie poznali się na tobie. Chyba nie hrabina, ale ty...

— Hrabina zaczęła mi czynić wymówki, posądzając o wpływ na syna w kierunku, który się jéj nie podobał. To było powodem, żem usunąć się musiał—rzekł Bernard.

— Seryo? — zapytał Cezar.

— Nie cofnę się — mówił Bojarski.—Prędzéj późniéj przyjść do tego musiało... przeczuwałem to. Ja z Gwalbertka chciałem zrobić człowieka... matka panicza—nie mogliśmy się pogodzić...

Muliniec słuchał z uwagą.

— Gdybyś troszeczkę, odrobinkę chciał był zażyć przebiegłości—rzekł cicho—byłbyś na swojém postawił.

— Udawać nawet dla najszlachetniejszego celu, maskować się nie potrafiłbym, nie mogę—odparł Bojarski. — Żal mi Gwalberta, lecz sumienie moje droższe mi jest nad niego.

— Więc rzecz postanowiona, nieodwołalna?— przerwał gorąco Muliniec—miejsce wakuje?

— Ja com raz powiedział i postanowił, tego nie odwołuję—potwierdził Bojarski. — Lecz cóż cię to tak obchodzi?

Muliniec na chwilę spuścił oczy, patrząc w ziemię.

— Ba—zawołał—więcéj daleko, niż sądzisz. Nigdy w świecie nie chciałbym tobie odebrać tak pięknego stanowiska, gdyby mi ono nawet było jedyną deską wybawienia; ale jeżeli ty porzucasz to miejsce, nie będę ci taił, że gotówem wszelkiemi siłami dobijać się o nie. Tak—dodał Muliniec—naprzód wychować przyszłego dziedzica takiego imienia jest-to już zdobyć sobie nieoszacowane stosunki, zapewnić przyszłość; powtóre same korzyści materyalne, pensya i t. p. czynią tę posadę wyjątkowo powabną. Na miłość Boga, nie zrzekaj się!—dokończył Muliniec.

— Ale rzecz jest dokonana—odparł Bojarski zimno.—Ja tam nie wrócę już, a ty.... staraj się, jeśli chcesz... Zapowiadam ci jednak, że będziesz miał do walczenia z hrabiną, wymagającą wiele, z księdzem podejrzliwym i z sumieniem....

Muliniec się uśmiéchnął.

— Bądź spokojny — rzekł. — Jest to wielka między nami różnica, mój Bernardzie, że cel możemy mieć jeden i pojmować go jednakowo, ale

w wyborze środków i dróg do tego poczciwego celu różnimy się ogromnie. Ja się nie będę wahał zmilczéć, potakiwać, bylebym osiągnął, czego pragnę; ty idziesz przebojem. Wychować się będę starał Gwalbertka tak jak ty, na prawego i pożytecznego krajowi obywatela, to pewna; lecz nic mnie nie będzie kosztowało oszukać w tym względzie i labusia i mamę. Sumienie mnie moje rozgrzészy.

Bojarski zaciął usta, skrzywił się i nie odpowiedział nic.

Muliniec rękę wyciągnął do niego i w milczeniu dłonie sobie ścisnęli.

— Przedewszystkiém—zawołał Cezar—słowo honoru, że ty mi za złe tego nie weźmiesz.

— Ale owszem, wdzięczen ci będę, gdy Gwalberta weźmiesz pod swoję opiekę; dam ci nawet wskazówki do postępowania z nim. Staraj się, zdobądź to stanowisko i utrzymaj się na niém— rzekł Bojarski — to będę o Gwalberta spokojniejszy.

Raz jeszcze ręce sobie uścisnęli.

— Proszę cię o jedno—dodał, śmiejąc się, Muliniec—abyś ty mnie nie zalecał. Jeżeli się spytają o Mulińca...

— To powiem, co o nim myślę, ani mniéj, ani więcéj — surowo odparł Bojarski. — Zalecać do

zbytku nie będę, lecz wiész, że cieniem nawet kłamstwa się brzydzę.

Nie tracąc ani chwili czasu, Muliniec uściskał Bojarskiego i pobiegł natychmiast rozpocząć starania i zabiegi o wakującą nauczyciela posadę. Bernard tymczasem, nie śpiesząc się, układał sobie drogi, któremi miał zdobyć nowe zajęcie, zapewniające mu choćby skromne z matką utrzymanie.

Przewidywał teraz, iż Cezar, umiejący żwawo popiérać wszystko cokolwiek przedsiębrał, prędzéj daleko albo dopnie tego co zamierzał, lub zostanie stanowczo odrzuconym. Piérwsze jednak zdawało się pewniejszém. Trzeba więc było myśléć o sobie, a raczéj o matce.

Wśród tego zaprzątnienia losem przyszłym i żalu, jaki w nim obudzało rozstanie się z Gwalbertkiem, odebrał kartkę od hrabiny Maryi, w kilku słowach żądającéj, aby się z nią widział niezwłocznie.

Domyślał się łatwo, iż nieporozumienie z hrabiną Anną wywołało to wezwanie. Protektorka chciała się zapewne z ust jego dowiedzieć, co mogło być powodem, iż miejsce tak korzystne utracił.

Wieczorem tegoż dnia wyprosił się Bernard do hr. Zygmuntostwa.

W saloniku wyszła naprzeciwko niego hr. Marya, smutna i zdziwiona. Oczekiwała na niego.

Hr. Zygmunt szedł tuż. Oboje, jak z twarzy ich widać było, mocno zajęci zdawali się tém, co zaszło pomiędzy hr. Anną a Bernardem.

— Ale mów że nam pan, wytłumacz—odezwała się pośpiesznie gospodyni domu, prowadząc Bojarskiego za sobą.—Co to za nieporozumienie? w czém zaszła taka różnica zdań, że się aż musicie rozstawać? Nie pojmuję, nie rozumiem!

— Ani ja też—dodał hrabia.—Znamy się trochę i sądzę, że przekonania pańskie, z któremi się nie taisz, są mi wiadome, a nie przypuszczam, ażebyś je miał zmienić.

— Hrabina Anna—odezwał się Bernard—znajduje wpływ mój na syna swego wogóle szkodliwym. Dostrzegła w dziecku zmianę i mnie ją przypisuje. Zdaje się, że mię posądza o zbyt demokratyczne zasady.

Hr. Zygmunt się uśmiéchnął.

— Mój panie Bernardzie—odezwał się—jakże tam stoisz z temi zasadami? Miałżebyś nagle stać się demagogiem, tak jak Roussseau niegdyś w urojonym stanie natury szukał zbawienia? Miałżebyś szukać wszystkiego u ludu, który jest zaprawdę wielką skarbnicą *in potentia*, ale sam do czynu ani usposobionym, ani przygotowanym? Lud potrzeba kochać, umiéć go cenić, ale go nie

przeceniać... Jest-to bogaty pokład rudy, który topić i oczyszczać należy, a hartować, aby stałą uczynić.

— Zdaje mi się, panie hrabio—odparł Bojarski — że w tym względzie wcale się nie różnim przekonaniami. Demagogiem nie byłem, nie jestem i nie będę, dlatego naprzód, iż w ostatecznościach i skrajnych pojęciach nie szukam prawdy; powtóre dlatego, że wszelka społeczność jest ciałem, składającém się z wielu organów, i najlepszym sposobem sprowadzenia jéj do stanu polipa, jest zredukowanie organizmu do jednego tylko organu, do pierwotnéj formy. Cokolwiek rozwinięte i udoskonalone życie społeczne z konieczności wymaga podziału pracy, a zatém i podziału na klasy. Idzie o to tylko, aby one z sobą zostawały w żywotnym i organicznym związku. Bez pewnéj arystokracyi, bez możnych, bez reprezentantów idei narodowéj, równie jak bez ludu, jak bez klasy średniéj, żadna ukształcona społeczność obejść się nie może. Odjąć jéj jednę z tych klas, jest to odebrać siłę i narzędzie do pracy wspólnéj. Nie wiem czy się dosyć jasno wyraziłem — dodał Bernard — aleśmy nieraz tę kwestyą poruszali i pan hrabia wié, jak ja ją pojmuję. Do tych zasadniczych prawd dodać po-

trzeba, iż każdy naród nieinaczéj jak na podstawach przeszłości swéj i wyrobionego wiekami organizmu życie przedłużać i rozwijać może. I my więc obowiązani jesteśmy iść za wskazówkami, jakie nam pozostawia przeszłość. Jeżelim na małego Gwalbertka wpływał—dokończył Bojarski—to tylko chyba w tém, aby swego położenia, swych obowiązków nie uważał za rzecz odrębną, za oddzielnie dla samych siebie istniejące, ale jako część składową całości. Teoryj tych chłopcu wcale nie wykładałem, bo byłyby zawczesne i nie w miejscu; starałem się tylko wpoić w niego przekonanie, iż powinien był czuć się członkiem, cząstką czynną narodu, a nie jakąś odrębną istotą, dla saméj siebie stworzoną.

— O wszystkiém tém—rzekła hrabina—mówiliśmy nieraz i my nie różnimy się od pana w pojmowaniu obowiązków arystokracyi, bo idzie tu tylko o to, jak mi się zdaje, aby obok jéj praw, położyć obowiązki dla równowagi. Lecz... cóżeś pan przewinił ostatecznie, o co poszło?

— Zdaje mi się, że powodu nie dałem żadnego do wymówek—rzekł Bernard.—Wogóle hrabina postrzegła, że chłopak stał się przystępniejszym i mniéj bacznym na to, co zwie godnością jego... Hrabina Anna nie określiła mi wyraźniéj, co miała do zarzucenia; ja zaś, nie mogąc się

zmienić, gdybym chciał nawet, musiałem się dobrowolnie usunąć.

— Bardzo źle się stało—szepnęła hrabina Marya—postąpiłeś pan zapośpiesznie... Widziałam się z Anną i czuję, że ona sama z tego zerwania jest nierada, że porozumienie się jakieś było możliwém.

— Być może—wtrącił Bernard—aleby to było tylko odwłoką tego, co nieuchronne. Gwalbertekby się przy mnie demokratyzował, jak utrzymuje hr. Anna; jabym zapobiedz temu nie umiał, więc rozstać się prędzéj później musieliśmy.

— Ja nad tém boleję témbardziéj — odezwał się hr. Zygmunt — że nie widzę kim i jak pana mogą zastąpić, a żal mi Gwalbertka. Są to właśnie lata te, dla których wpływ nauczycieli i otaczających osób największéj są wagi. To, co się wyciśnie na miękkim mózgu chłopaka teraz, pozostanie na wieki.

— Ja się serdecznie przywiązałem do mojego ucznia—dorzucił Bojarski—on potrosze do mnie. Boli i mnie, że go porzucę.

— Nie możnaby próbować?—łagodnie wtrąciła hrabina Marya.

— Nie, pani łaskawa — przerwał Bernard — nie, ja to uważam za nieodwołalnie rozstrzygnięte.

Oboje br. Zygmuntostwo zasmucili się. Szło im

o Gwalberta głównie, ale i los Bojarskiego niemniéj ich obchodził.

— Cóż pan myślisz począć z sobą? — spytała hrabina Marya.

— Spróbowałem nauczycielstwa domowego— odparł Bernard — lecz widzę że i odpowiedzialność jest bardzo wielka i zadanie dla człowieka sumiennego trudne. Piérwszym warunkiem byłoby z rodzicami się tak porozumiéć, aby najmniejszéj różnicy w planie wychowania nie było. Jest to jednak prawie niepodobieństwem. Zrzekam się więc wychowania, a będę tylko nauczał—dokończył Bojarski. — Szukam lekcyj, będę je dawał po pensyach, ograniczę się wykładem kilku przedmiotów. Ja i matka nie potrzebujemy wiele, a to nam życie lżejszém uczyni. Będę miał więcéj swobody do pracy nad sobą, do zajęć literackich.

Przez cały niemal wieczór pozostał Bojarski u hrabiostwa. Rozstali się z nim, obiecując mu starać się dla niego o zajęcie, a żądając, aby o nich nie zapominał. Zjednali go tém sobie więcéj jeszcze.

Bojarski, nie dając Gwalbertowi poznać tego po sobie, iż wkrótce rozstać się mieli, mimowoli czulszym był dla niego jeszcze. W stosunkach domowych nic się nie zmieniło, ale czynny i nie zasypiający gruszek w popiele Muliniec już ze

wszech stron zabiegał, aby się wcisnąć do domu hr. Anny i być jéj poleconym.

Znalazł z łatwością kogoś, co się podjął tego i potajemnie wprowadzono go, dla piérwszego poznajomienia się z matką.

Trochę zawiedziona na Bojarskim, postanowiła sobie zgóry być nadzwyczaj ostrożną i nie spieszyć się z ostatecznem rozstrzygnięciem.

Pan Cezar, zbadawszy przez Bojarskiego plac boju, wystąpił zbrojny i dobrze przygotowany, postanawiając zwyciężyć. Mówiliśmy już, że ustępstwa nic go nie kosztowały, że w towarzystwie znaléźć się umiał i do usposobień ludzi zastosować.

Hrabina przyjęła go zimno, sztywnie, od piérwszego słowa zapowiadając, że jest nadzwyczaj wymagającą, ale tam, gdzie szło o całą przyszłość dziécięcia, sumienie jéj to nakazuje.

Muliniec ze swéj strony świetnie rozwinął tę teoryą, że nauczyciel powinien być narzędziem tylko w ręku rodziców, naturalnych opiekunów dziécięcia i najlepiéj mogących niém pokierować. Zdanie to nadzwyczaj się podobało hrabinie, a rozwiązywało odrazu niemal wszelkie trudności.

Wyrzekając się samoistności, Muliniec już napoły zwyciężył. Szło o to teraz tylko, czy miał zdolności umysłowe i naukowe wykształcenie dostateczne.

Z tym talentem popisowym, jaki odznaczał Cezara, łatwo mu było zaraz w piérwszéj rozmowie olśnić hrabinę. Znalazła go nieskończenie wyższym nad Bernarda, sympatyczniejszym.

Zręczny i przebiegły, odgadywał jéj myśli, uprzedzał je, potakiwał.

Po półtoragodzinnéj rozmowie, hr. Anna uszczęśliwiona, byłaby może odrazu zgodziła się z nim, gdyby niezmierna giętkość Mulińca, nadzwyczajna jedność zdań nie obudziły w niéj jakiéjś obawy. Po Bojarskim, który się nie dawał przełamać, ten dowcipny, zręczny, śmiały człowiek, tak nadzwyczaj powolny, był dla niéj zjawiskiem prawie niepojętém.

Rozstając się z nim, hr. Anna zaprosiła go na drugie posłuchanie, obiecując sobie zbadać go lepiéj jeszcze.

Muliniec wyszedł z najlepszą nadzieją.

Wciągu piérwszéj konferencyi, hrabina Anna spytała Cezara, czy zna swojego poprzednika.

— Jesteśmy towarzyszami z uniwersytetu i bardzo dobrymi przyjaciółmi — odparł Muliniec.—Bojarski jest jednym z najwięcéj obiecujących między młodzieżą, ma przymioty wielkie i rzadkie; ale trochę marzyciel, niedosyć się rachuje z rzeczywistością. To jedno mu zarzucić można.

Hrabina uśmiechnęła się milcząco.

Wprost prawie od niéj, Cezar postarał się widzićć z Bernardem i wyspowiadał mu się z całego przebiegu rozmowy.

— Zapyta cię może o mnie — dodał.—Co powiész?

— Żem twoim przyjacielem i że cię cenię wysoko—rzekł Bernard.—A jeśli chcesz, dodam i to, że się po tobie większéj powolności spodziéwać może.

Obawiając się zawodu, hr. Anna, któréj Muliniec podobał się bardzo, poruszyła wszystkie sprężyny, aby o nim, jego przeszłości, charakterze, zdolnościach zasięgnąć wiadomości. Wszystko się składało tak, iż nic p. Cezarowi zarzucić nie było można.

Naostatku, jednego poobiedzia, wyprowadziła hr. Anna Bojarskiego do gabinetu.

— Znasz pan Cezara Mulińca?—zapytala go, bacznie mu patrząc w oczy.

— Bardzo dobrze, jesteśmy przyjaciółmi.

— Cóżbyś powiedział, gdyby on pana zastąpił?

— Cieszyłbym się z wyboru — rzekł Bojarski.—Zdolności ma wielkie.

— A strona moralna?

— Nic jéj zarzucić nie można... Obyczaje najlepsze, pracowitość ogromna, a to już samo jest rękojmią pewną.

Zadumana, przeszła się hrabina razy parę po pokoju.

— Według wszelkiego podobieństwa — rzekła—chociaż waham się jeszcze, będę zmuszoną wziąć p. Mulińca. Proszę pana, abyś Gwalbertkowi przedstawił tę zmianę, jako spowodowaną własną pańską wolą. Ja panu nie miałam nic do zarzucenia, tak jak nic... bylibyśmy się porozumieli, gdybyś nie był tak nieznośnie drażliwym i trochę upartym.

Podała mu rękę.

— Rozstaniemy się przynajmniéj — dodała grzecznie — z wzajemnym szacunkiem dla siebie. Powoli przygotuj pan Gwalbertka.

Bojarski wziął się do tego zręcznie, łagodnie, powolnie, ale chłopak niezmiernie uczuł groźbę rozstania i pobiegł do matki jak oszalały.

Hrabina złożyła winę na Bojarskiego, przedstawiając synowi, iż zbytnich ofiar od ludzi nie godzi się wymagać.

Dla odwrócenia smutnych myśli dziécięcia, hrabina współcześnie zaprosiła Mulińca, którego Gwalbert przyjął bardzo chłodno i z pewném niedowierzaniem.

Nie zraziło to Cezara, umiejącego w każdym razie stosować się do ludzi i położenia. Był pewnym siebie, że młode i wrażliwe paniątko, choćby z początku wstręt do niego miało, pozy-

skać sobie potrafi. Nie lękał się trzech razem zdobyczy, których musiał dokonać, jednając sobie zaufanie matki, życzliwość Francuza i przywiązanie Gwalberta...

Bernard usuwał się ze smutkiem w sercu, bo miał słabość ludzi wielu, że się do tych, z którymi żył, przywiązywał.

Rok upłynął od czasu, gdy Bojarski, uścisnąwszy Gwalberta, milczący, zadumany, opuścił dom hrabiny Anny. Matka, która swém wystąpieniem nieoględném wywołała rozstanie, żałowała Bernarda, Francuz mówił o nim z szacunkiem, Gwalbertek tęsknił.

Muliniec jednak wszystkich sobie, jak postanowił, pozyskać potrafił. Szło z nim daleko łatwiéj; ulegał hrabinie, potakiwał księdzu, zabawiał Gwalberta; ale tego poszanowania i uczucia, jakie pozyskał Bernard, on wzbudzić nie umiał.

Zarzucić mu nic nie było można, ale przywiązać do siebie nie potrafił. Dogodnym był tylko...

Powolność z jego strony dochodziła do tego stopnia, iż Gwalbertowi ułatwiał na przechadzkach spotykanie się z dawnym nauczycielem i długie z nim rozmowy, do których chłopię najczęściéj przed matką się nie przyznawało.

Bojarski ze spokojem ducha począł zaraz po

uwolnieniu swém starania o lekcye i zajęcia literackie... Hrabiostwo Zygmuntostwo dopomogli mu skutecznie do pozyskania piérwszych, w korzystnych warunkach, a to samo już, że zamożniejsze domy powoływały Bernarda, zalecało go pensyom i uczniom, potrzebującym nadzoru i kierunku.

Przez czas jakiś mowa nawet była o tém, że Bernard mógł otrzymać pozwolenie na utrzymywanie pensyi męzkiéj lub żeńskiéj. Obawa jednak, aby dom większy nadto matki nie obarczał, wstrzymała od tego Bojarskiego. Lękał się téż wielkiéj odpowiedzialności, zbyt pochłaniających go zajęć w chwili właśnie, gdy się czuł powołanym do tworzenia.

Do lekcyj prywatnych nie potrzebował się przygotowywać tak mozolnie; wieczory i część dnia miał dla siebie. Mnóstwo planów i projektów przechodziło mu teraz po głowie. Natchnienia poetyczne nawiédzały go niekiedy, częściéj jeszcze pomysły dzieł, których brakło dotąd literaturze. Po wielkich kataklizmach, zwykle w zajęciach umysłowych szuka społeczeństwo wytchnienia. Słowo zastępuje czyn i przygotowuje do niego.

Ale sama ta droga do niedoścignionéj świątyni prawdy była gimnastyką ducha zdrową, wpra-

wiała umysły w poważniejsze, głębsze zapatrywanie się na procesy żywota...

Bojarski, którego obchodziło mocno wszystko, cokolwiek się zjawiało, niosąc z sobą zarody prawdy i światła, należał do małego kółka ludzi, cicho i spokojnie pracujących nad sobą.

Było ich kilku zaledwie, idących w tym poważniejszym kierunku, a obok nich czy przez naśladownictwo, czy z rodzimego gruntu, wyrastało cygaństwo, poezyą zabarwione.

W niém także drgało życie, ale nieświadome siebie, i płomień jego więcéj dawał kopciu, niż światła.

Lekceważenie, ironia łączyły się tu ze szlachetniejszemi porywy, które w nich zasmolone ginęły.

Ze spalonych gorzałką rozpaczy gardzieli tych poetów biédnych, wśród czkawek dobywały się zarazem urocze dźwięki tęsknicy i rozdziérające wołania rozpaczy, we wdzięczną formę odziane. Musset i Byron zléwali się tu w jedno smutne zjawisko, które jak ogień na rozdrożu miało zgasnąć jednéj nocy burzliwéj.

Niekiedy z téj grupy cygańskiéj po trzeźwemu zjawiał się jakiś wysłaniec, ciekawy co w poważniejszém kole się działo i czy cyganów tu brano naseryo; ale dwa obozy te nie zléwały się z sobą.

Gdy w jednym cynizm był tonem dominującym, do którego się wszystko stroić musiało, drugiemu smętna powaga wyczekiwania jakiegoś nadawała charakter nieokréślony, niepewny, łatwo dający się w śmiészność obrócić.

Bojarski, zmuszony dla niektórych lekcyj prywatnych zająć większe mieszkanie, obrachowawszy z matką, co mógł na to przeznaczyć, dom nanowo musiał urządzić.

Wybrał sobie szczęśliwie dosyć, na uliczce od miasta nieodległéj, kamienicę czystą i spokojną, któréj drugie piętro starczyło na wszelkie wymagania. Profesorowa, zawsze pamiętając o skromnym dworku, w którym znaczniejszą część życia spędziła, znajdowała lokal ten nowy aż nadto wspaniałym.

W środku jego Bojarski miał dosyć obszérny salonik, z dwoma stołami i kanapami, tak że towarzystwo mogło się zawsze podzielić w nim na dwie grupy. W prawo potém szedł mniejszy pokoik jadalny, profesorska pracownia z biblioteczką i sypialnia. W lewo profesorowa miała dla siebie dwa pokoje, które się z kuchnią łączyły.

Oprócz staréj Katarzyny, która się jeszcze poruszała, ale głos i siły traciła, był do pomocy wyrostek dziéwczę. Więcéj sług nie potrzebowano.

Profesorowa, sama niewiele mogąc pracować,

bo jéj wzrok nie dopisywał, naglądała czynnie na gospodarstwo. Życie tu płynęło spokojnie i dobrze uregulowane. Bojarski wychodził na lekcye do miasta zrana, powracał zwykle na obiad do domu; czasem schodzili się do niego uczniowie, a około godziny podwieczorku skończone było wszystko i wieczorem zazwyczaj przychodził ktoś z przyjaciół, z nową książką, z dziennikiem lub niedokończoną jakąś rozprawą, o któréj zdania były podzielone... Staruszka matka, choć część wieczoru spędzała w towarzystwie synowskiém, nie brała udziału w rozmowach i pocichu wysuwała się do swojego pokoju, na pacierze i konferencye z Katarzyną.

W saloniku tym, przy szklance herbaty i skromnym kawałku chleba z masłem, w gronie ludzi niepokaźnych, niemających żadnego stanowiska w świecie, często walczących z niedostatkiem i ciężko zarabiających na powszedni chleba kawałek — roztrząsały się nieraz zadania wielkiéj doniosłości, z gorącą miłością prawdy. Starano się odgadnąć przyszłość. Wschodziły zorze dokoła, ale byłyż to zwiastuny dnia, czy owe ognie podbiegunowe, które rodzą się i gasną w łonie nocy? Często na stoliku Bernarda znajdowały się nowości, które gdzieindziéj zupełnie były nieznane.

Kierunek literatury narodowy, zwrot jéj do ro-

dziméj rudy, nie przeszkadzał Bojarskiemu i przyjaciołom jego uznawać żywotnego związku z Zachodem i jego cywilizacyą za warunek główny postępu.

Czytano więc, co się zjawiało w Niemczech, we Francyi, w Anglii i śledzono nadewszystko pulsa, jakie tam drgały.

Do kółka przyjaciół Bernarda należał już nam znany Cezar Muliniec, chciwy wiedzy, zdolny, żywy, obiecujący wiele, ale w początkach, po objęciu kierunku wychowania Gwalberta, ukazujący się tu rzadko. Tęsknił on za Bojarskim i towarzyszami, lecz potrzebował zapewnić sobie uznanie i zaufanie hrabiny, nimby się zaczął emancypować potrosze.

Drugim z towarzyszów Bojarskiego był zamknięty w sobie, milczący, wychudły, żyjący z wyrobnictwa literackiego, z tłumaczeń za bezcen, ze sprawozdań jako tako kléconych, z artykułów do gazet, które ani stylu, ani nowych myśli nie wymagały —Piotr Grochowski.

Był on daleko więcéj wart, niż na oko się zdawało... Nauki miał dosyć, któréj zużytkować nie mógł. Wielki niedostatek wpłynął na usposobienie jego kwaśne i na pewne lekceważenie pracy... Czuł że mógł więcéj i lepiéj, ale z cyniczną pogardą szydząc sam z własnéj roboty, podejmował ją dla chleba, nie ufając przyszłości. Blady,

w okularach krzywo zawsze umieszczonych na nosie małym, trochę już łysy, Piotruś czasem zarywał na cygana... Ubiorem był do nich podobny. Wytarty mocno surdut czarny nigdy się nie zmieniał, a szczelne jego zapinanie zdawało się spowodowane zaniedbaniem reszty ubrania.

Gdzie stał, jak się mieścił, co jadał, o tém nikt nie wiedział; były to jego tajemnice. Adresu swojego nie dawał nikomu. Znajdowano go najpewniéj w oznaczonych godzinach w małéj kawiarence, którą on swoją dziurką nazywał. Zjawiał się rano w biurach redakcyjnych, brał z nich robotę do domu, a bardzo często, gdy była pilną, siadał i wśród gwaru, ze znakomitą przytomnością umysłu, odrazu ją na papiér rzucał.

W téj walce z piérwszemi potrzebami życia, na których zaspokojenie mu nigdy nie starczyło, posądzany o pewne wybryki, które go rujnowały, Piotr był skwaszony, gorzki, niemiły w towarzystwie, a za to, że go nie uznawano, mścił się nielitościwą krytyką na wszystkiém. Słabe strony w każdéj rzeczy, w człowieku i książce, odkrywał najłatwiéj, one jedne go uderzały...

Piękności albo nie czuł, lub stępiony smak nie dawał mu ich ocenić.

Głupia książka więcéj mu daleko sprawiała przyjemności, niż najznakomitsze dzieło.

Lecz w poufałém towarzystwie, gdy był w kil-

ku z Bojarskim, Mulińcem i wśród takich, których musiał szanować, Piotruś innym się stawał. Sąd miał zdrowy, pogląd głęboki, zdanie trafne.

Jedna zato obojętna lub niemiła osobistość starczyła, by mu zamurować usta, lub uczynić go szyderskim i nieznośnym. Bojarski litował się nad nim, lubił go i zapraszał często.

— Jabym przyszedł czasem do ciebie— odpowiedział na to Piotruś — ale — zapominam się i okrutnie cię objadam, bo prawie zawsze przychodzę głodny. Pociecha ze mnie niewielka, a koszt znaczny...

Profesor gimnazyum, Wawrzyn Larski, należał także do małego *cenaculum* Bernarda. Ten przy Piotrusiu w wyszarzanym surducie, którego łokcie połyskiwały, wydawał się jakby istota do innego należąca świata.

Młody, ładny, choć do zbytku blady, posądzanym był nawet iż się fryzował, chociaż ciemny włos lśniący sam przez się w pukle się układał. Figurkę miał bardzo zręczną, ręce białe, rękawiczki nosił obcisłe, obuwie od najlepszego majstra i stroił się może do zbytku, jak na profesora. A że nie miał lat trzydziestu, i płeć piękna nie była dlań obojętną.

Spoglądano zukosa na jego elegancyą, a przebaczano mu ją dlatego, że pomimo starania o nią,

Wawrzyn był nie bez talentu i miał dar wymowy niepospolity.

Piotruś utrzymywał, że słowa toczyły mu się z ust, jak kryształowa woda z górskiego źródła, że błyszczały brylantowemi kroplami, ale nie były niczém więcéj, tylko zimną, czystą wodą.

Larski, dzięki matce Francuzce, mówił doskonale jéj językiem, znał najlepiéj jego literaturę i wykształcenie to odbijało się w umyśle, w obyczajach, w całym człowieku.

Głębokich pomysłów nie miał, lecz drobnym i nieznaczącym nawet rzeczom umiał nadać urok, ubrać je, okrasić, ubarwić i uczynić zajmującemi.

Gdy jeden ze swych występów oratorskich rozpoczynał Larski, Piotruś zwykle ostentacyjnie ziéwał, lub stawał przypatrywać się ścianie. Wzięty w kołach arystokratycznych już dla samego języka francuskiego, Wawrzyn przynosił ich woń z sobą i niezupełnie się dostrajał do Bojarskiego i jego towarzyszów, czując się tu może nieswoim; ale dbał o to, aby go przyjmowano, chcąc uchodzić za poważnego i uczonego człowieka.

Nie potrzebujemy dodawać, że poeci młodéj Francyi, z W. Hugo i Lamartinem na czele, byli bożyszczami, przed którémi składał ofiary. Nowości francuskie on najpiérwszy otrzymywał i sławę ich głosił.

Starszy daleko od nich wszystkich, ale lubujący się w odżywiającém go towarzystwie młodzieży, profesor, emeryt Żardyński należał także do przyjaciół Bernarda.

Był to jeden z tych rzadkich ludzi, którzy na umyśle i duchu nie starzeją. Wykształcony wedle dawnych prawideł, łacinnik znakomity, obeznany z literaturą klasyczną — całe pieśni Wirgiliusza recytujący na pamięć, Żardyński, nie poprzestając na téj specyalności, chciwy wiedzy, czytał co tylko mógł dostać, szedł z ruchem wieku, zapalał się nawet do dzieł jego, choć im wszystkim niedosyć wyrobioną formę wyrzucał, a w towarzystwie młodych łatwością słowa, żywością uczucia stawał się ich rówieśnikiem. Różnice w poglądach jego od młodszych były wielkie, ale profesor ani się zrażał niemi, ani pogardzał nowościami... nadewszystko zaś szukał życia, potrzebował go i dlatego w kółkach młodzieży obracał się z upodobaniem.

Sam jeden na świecie, z żoną staruszką, dobrą a prostą kobiéciną, nie mając nic do czynienia, czytał po całych dniach ogromnie; książek mu nastarczyć nie było można. W niedostatku nowości, rozpoczynał poraz może setny Pliniusza, który go bawił, listy Seneki, lub Cycerona, komedye Terencyusza i Plauta, a niekiedy przynosił młodzieży jakby z tamtego umarłego świa-

ta zaczerpnięte życie nowe... Szanowano go tu, od czego się bronił, chcąc zawsze udawać młodego, a Bojarski, znajdując w nim pewne choć dalekie podobieństwo do swego ojca, kochał go bardzo.

Oprócz tych gości zwyczajnych, zjawili się na ulicy Ś-to Krzyskiéj niekiedy wprowadzani przez którego ze znajomych młodzi ludzie, przy których starszyzna więcéj była milczącą i nieswoją. Z cygańskiego obozu czasami wpadał tu przezwany przez swych towarzyszów nieprzyzwoicie „Skórką na buty,” a przez skrócenie „Skórką” — młody Haburski.

Niepodobna mu było odmówić rzeczywistego, pięknego talentu poetyckiego; — wiérsze pisał i improwizował z łatwością nadzwyczajną; lecz nawet wśród sobie podobnych cynizmem raził i przesadzoném rozpasaniem, z którém się chwalił.

Rzadko bardzo można go było widziéć trzeźwym, a często w ulicach zataczał się o białym dniu i sypiał po szynkach. Naówczas bracia cyganie, którzy w nim uznawali rodzaj naczelnika, bo nikt mu ani talentem, ani cynizmem nie zrównał — brali go na barki ostrożnie i jakby z procesyą wiedli tego nieboszczyka gdzieś na strych, na słomę, aby się na niéj przespał i przetarłszy zaledwie oczy, zawołał o szpagat znowu.

Skórka, obok cynizmu najobrzydliwszego,

z którego popis czynił i chwalił się nim, miéwał chwile smutku i melancholii, można było nawet powiedziéć zgryzot sumienia, a z towarzyszów, co go naśladowali niedołężnie, szydził nielitościwie. W poezyach jego, obok sarkazmu, dźwięczały struny uczuciowe, niekiedy łzawe. Było w nim coś Heinego i Musseta; najpiękniéjszy poryw kończył się swędliwém i obrzydłém szyderstwem. Wszystko to razem wzięte nadawało mu fizyognomią oryginalną i przyczyniło się do zjednania sławy czy osławienia. Poważni ludzie nawet ciekawi byli tego fenomenu, chociaż on obchodził się z nimi, jakby ich chciał od siebie odstręczyć, nikomu nie dając zajrzéć w czarne głębiny swéj duszy.

Rzadko bardzo koryfeusz ten cyganów, który otoczony bywał naśladowcami i podkomendnymi, dozwalał któremu z nich towarzyszyć sobie do Bojarskiego. Przychodził tu sam i bywał milczący, niekiedy tylko strzelając jakim paradoksem lub sarkazmem. Trafiało się, że przynosił jakł ułamek poematu, czytał go, lub deklamował od niechcenia i śledził wrażenia, jakie wywołał.

Jakim sposobem zawiązała się znajomość z Bojarskim i potrafiła się wcisnąć do jego domu i towarzystwa panna Henryka Żabska, nie umiemy wytłumaczyć. Najprawdopodobniéj sama piérw-

sza musiała szukać téj znajomości, narzucić się i raz dostawszy pomiędzy ludzi nauką zajmujących się, miłujących ją, stosunki te pielęgnowała troskliwie.

W owych czasach, gdy jeszcze emancypacya kobiéty nie była na porządku dziennym, panna Henryka mogła się liczyć do istot fenomenalnych. Córka profesora, siérota, zawczasu gruntownie obeznana ze wszystkiém, co stanowi podstawę wychowania ogólnego, z głową otwartą, z energią niepospolitą i siłą woli jéj równą—niepiękna, chociaż powierzchowność jéj odrażającą nie była, a figurę miała zręczną — panna Henryka cała się oddała studyom, własnemu wykształceniu, zdobyciu wiedzy, rozszerzéniu swojego widokręgu poza kresy ogółowi kobiét dostępne.

Był to profesor, pedagog w spódniczce. Umiała wcale dobrze po łacinie, uczyła się filozofii, studyowała Kanta, przez jakiś czas zajmowała się naukami przyrodniczemi, a naukowy ten rachunek nie stępił w niéj talentu poetycznego. Pisała wiérsze i w nich znajdowano więcej siły, wyrazistości, niż w wielu męzkich utworach.

Poświęciła się naturalnie nauczycielstwu, ale nie chcąc popaść w niewolę, najkorzystniejsze czynione sobie propozycye z miejscem guwernant-

ki odrzuciła. Dawała tylko na godziny lekcye języka, literatury i historyi.

W całém jéj obejściu, wysławianiu się, w pismach nawet w ruchach i fizyognomii, znać było usiłowanie stawienia się męzko, samoistnie i niemal zuchwale.

Czasem tylko, zapomniawszy się, dawała poruszyć się sercu i wybuchnąć uczuciu. Źabska miała już naówczas zdobytą pewną sławę kilku poezyami, urywkami opowiadań i ułamkami opisowemi.

Władała językiem dzielnie i styl jéj nawet prof. Żardyński innym za wzór zalecał.

Osierocona oddawna, panna Henryka żyła sama z kuzynką jakąś daleką, którą wychowywała, biegała na lekcye, resztę zaś czasu spędzała w bibliotece, lub nad książkami, pracowała nad sobą ogromnie, a całą rozrywką jéj było spędzić parę godzin u Bojarskiego, albo gdzieś w towarzystwie starszych, poważnych ludzi.

Piotruś złośliwy nazywał ją istotą bezpłciową, słuszniéj jednak można było określić ją, jako zagadkowe stworzenie, które obie płcie łączyło w sobie; bo chwilami miéwała wszystkie słabostki kobiéce, oprócz zalotności. Bojarski czuł dla niéj szacunek wielki, a że najłatwiéj go było ująć, okazując dla matki poszanowanie, panna Henryka, która własnéj nie miała, czuła się sié-

rotą, a do profesorowéj była nadzwyczaj przywiązaną, wielce tém Bernardowi przypodobać się umiała. Nie wypływało to u niéj z żadnéj rachuby: potrzebowała kochać jakąś staruszkę i tę sobie wybrała, dla niéj chętnie czyniąc się prostą kobiéciną i zstępując z wyżyn, na których mieszkała, do prozaicznych zajęć staréj Bojarskiéj, gotowa z nią rozprawiać godzinami o gospodarstwie i bieliźnie. Bernard umiał to ocenić, a Bojarska tę niepiękną i rubaszną jéjmościankę kochała jak córkę, może tém więcéj, że dla syna jéj niebezpieczną nie była.

Z innego koła, z którém mało miał stosunków Bojarski, malarz młody Babski, znakomity szkicownik, karykaturzysta, lubiący rozprawiać dużo o sztuce, wiecznie rzucający na papiér pomysły, a nie mogący nic stworzyć skończonego, miły w towarzystwie, czasem się do literatów przyplątał.

Było to rzeczą uznaną, iż Babskiego natura obdarzyła geniuszem. W owych czasach za cechę genialności uważano łatwość i bogactwo pomysłów, rzutność w ich wykonaniu, a nawet lekceważenie tego, co pomysłom tym rzeczywistą wartość dzieł sztuki nadać mogło.

Rozrywano te kawałeczki papieru, na których Babski od niechcenia piórem rozkwaczoném, węglem, kawałkiem ołówka rzucał główki charak-

terystyczne, lub figureczki zaledwie kilku rysami onaczone, a jednak życia pełne.

Babski téż na tém się niemal ograniczał... szkicował. Kilka płócien zaczętych nie mogło się doczekać końca; inne, o których zawsze słyszano, iż miały być rozpoczęte, pozostawały w głowie artysty.

Wistocie utalentowany młodzieniec był próżniakiem i sumiennie wykończyć czegokolwiekbądź nie był już w możności. Sprzedawał ładnie nakréślone akwarelki, karykatury, małe sceny rodzajowe, a obiecywał, że coś wielkiego kiedyś ma stworzyć. Innéj wymówki swojego próżniactwa znaléźć nie mogąc, tłumaczył się Babski koniecznością odbycia podróży do Włoch... ale na nią nie mógł zebrać funduszu.

Tymczasem prowadził życie wesołe, z dnia na dzień i... starzał.

Obok talentu do szkiców, pan Gerard miał drugi, do wysokiego stopnia wykształcony: rozprawiania o teoryi sztuki, sądzenia o jéj płodach, krytykowania tych, którzy pracowali. Sądy jego bywały często trafne i sprawiedliwe, lecz zawsze grzeszyły tém, że się wyłącznie do stron ujemnych przywiązywały. Oprócz talentu rysownika i krytyka, Babsio — tak go poufale nazywano — dobre, miłe, serdeczne chłopię, miał głosik i śpiewał ładne piosenki, których umiał

wiele. W wesołém więc towarzystwie był to pożądany gość i współbiesiadnik.

Lubili go wszyscy, nazywali go genialnym, lecz nikt się już po nim wielkich rzeczy nie spodziéwał. Zjadał swe życie, nie zachowując nic na jutro.

Od owego niefortunnego spotkania z Klarcią, która przekonała Bernarda, iż ona była jeszcze dla niego niebezpieczną i nabawiła go strachu, unikał on widzenia się z nią. Nie poszedł na teatr, a razy kilka zdaleka ją spostrzegłszy, nie wahał się wymknąć, uciec, aby nie być narażonym na nową pokusę, lub na nieprzyjemne, otwarte wytłumaczenie się, które za obowiązek poczytywał.

Astrea, pochlebiająca sobie, że go potrafi pochwycić, osnuwająca może na tém jakieś plany przyszłości, szukała go nadaremnie, oczekiwała i pogniewała się wkońcu na niewdzięcznika.

Chciała teraz koniecznie złapać go gdzieś, połajać, uczynić mu przykrość; ale nigdzie go spotkać nie mogła. Parę razy przesunął się jéj tak, że go posądziła o umyślną ucieczkę. Rozgniewana, usiłowała się pomścić. Przez kilka dni siadywała na ławeczce w Saskim ogrodzie, spodziéwając się, że może tu go pochwyci.

Długo jednak Bernard unikał właśnie téj przechadzki, mając się na ostrożności. Raz w osta-

tku, gdy bardzo szybko z lekcyi powracając, przerzynał się główną ulicą zamyślony, nie spostrzegł się jak mu Klarcia, wpoprzek zabiegłszy drogę, zastąpiła ją i głośno go powitała.

— A! tym razem nie wymkniesz mi się pan!

Bojarski, zmieszany wielce, skłonił się, wyjąknąwszy że bardzo mu pilno; ale Saska się tém zbyć nie dała.

— Chodźmy — rzekła — musisz mi się pan wytłumaczyć. Jesteś niewdzięcznym i niegrzecznym. Dlaczego pan unikasz mnie, czemu nie chcesz bywać u mnie? Jestżem tak niebezpieczną?

Gdy Klarcia to mówiła — Bojarski całą siłę swą skupił w sobie, aby nie ulegając jéj urokowi, powiedzieć prawdę. Nie chciał być okrutnym i brutalem, a jednak wytłumaczyć się musiał.

Klarcia zarzucała go pytaniami coraz namiętniéj, nagląc o odpowiedź i ścigając oczyma wyraz mieniącéj się jego twarzy.

— Mów pan—dokończyła—co to ma znaczyć?

— Panno Klaro — odparł Bojarski— radbym abyś mnie pani do sumiennéj i otwartéj odpowiedzi nie zmuszała. Nie chciałbym jéj uczynić przykrości.

— Przykrości? co to ma znaczyć? Czy ja zasłużyłam na nią? — podchwyciła, rumieniąc się, Klara.

— Przypomnij pani sobie przeszłość —począł, ostygając, Bojarski — porównaj ją z teraźniejszością, a zrozumiész łatwo, iż teraz my należymy nie do jednego świata, ale do dwóch zupełnie różnych, które się ani rozumiéć, ani zbliżyć do siebie nie mogą.

— Nie rozumiem; mów pan jaśniéj! Któż to ja jestem i do jakiego świata pan zaliczasz siebie?

— Ja poprostu jestem człowiekiem ubogim, żyjącym z pracy, ale nie wyłamuję się zpod ogólnych praw i nie mam powodu z niczém się taić, niczego ukrywać.

— A ja? — gniewnie przerwała Klara.

Bojarski stanął i poważnie, surowo spojrzał jéj w oczy.

— Panno Klaro, mnie jéj żal, żal serdecznie. Pani chciałaś dostatku, goniłaś za używaniem życia tylko i obrałaś sobie drogę, któréj albo się musisz zapiérać, lub ją zakrywać.

Oczy Astrei strzelały piorunami.

— Daléj, mów pan daléj!

— Mógłżem ja bywać w jéj domu? — dodał Bojarski—patrzéć na ten zbytek okupiony dobrą sławą, na stosunek z jakimś możnym przyjacielem, do którego się przyznać nie możesz? Cóżby to znaczyło?... chyba że pochwalam, że nie mam jéj za złe tego lekceważenia...

— Daléj! daléj!—wołała, niecierpliwie tupiąc

nóżką, Klara — nie masz się co żenować. Uważasz mnie więc za nieszczęśliwą istotę upadłą, któréj się dotknąć nie można, nie powalawszy?

— Wierz mi, panno Klaro, że więcéj mam politowania, że boleję nad nią, że do pewnego stopnia tłumaczę sobie to, coś uczyniła bez zastanowienia; ale patrzéć na ten upadek jéj z krwią zimną nie mogę. Dlatego wolałem się oddalić. Nawrócić jéj nie potrafię, ani pani mnie przekonać, że jest rzeczą godziwą to, co czynisz.

— Ale cóż ja czynię? — rozśmiała się Astrea, poruszając ramionami.—Mam jednego kochanka, gdy inne kobiéty, wielkie i małe panie, które wy po rękach całujecie, mają ich po kilku. Ten człowiek, rozkochany we mnie, obdarza mnie, ubiéra, karmi i poi... Jest-że to tak wielka zbrodnia?... Któż wié, czy nie ożeni się ze mną?

Bojarski spojrzał na nią.

— Widziałem pannę Klarę niewinną, śliczną dziéweczką; serce mi się rozdziéra, gdy widzę ją teraz...

— Powtarzam panu, że nie mam i nie miałam nad jednego kochanka, że mój pan hrabia jest nawet nieżonaty, zatém stosunek mój nie tak znowu jest poniżający...

— Pani go takim znajdujesz? — zapytał surowo Bernard.

Astrea zapłonęła.

— Sądź pan zresztą, jak mu się podoba—dodała.—Raz mieliśmy się rozprawić. Wiem dlaczego odemnie uciekasz i wprost wydaje mi się to śmiészném. Żal mi pana: umrzesz starém dzieckiem, nie rozumiejąc świata ani ludzi, nie skosztowawszy życia.

Odwróciła się nagle, poruszając ramionami, i odeszła.

Bernard pozostał chwilę, przykuty do miejsca. Zdawało mu się, że niedosyć i zanadto powiedział; chciał coś dadać jeszcze, ale było zapóźno. Szybkim krokiem, nie oglądając się na niego, Astrea szła do swego mieszkania.

Tym razem rozstali się na wieki. Patrzył na nią z litością i łza mu się zakręciła w oczach.

Tyle wdzięku miała ta istota, skazana na zatracenie!

Bojarski w ostatnich latach pisał wiele; niektóre téż poezye jego były drukowane w pismach peryodycznych i tak zwanych noworocznikach, które wówczas jeszcze zastępowały niedostatek literackich tygodników i przeglądów. On sam jednak wiedział, że nie odznaczały się niczém tak wybitném, oryginalném, ażeby mogły trwalsze uczynić wrażenie. Podobały się, przyznawa-

no talent autorowi, ale je przyjmowano, jako zapowiedzi i obietnice tylko.

Rozpoczęty poemat, w którym Bernard chciał stan swéj duszy, wyrywającéj się ku światłu, goniącéj za ideałami, odmalować w walce z cielesnemi więzami, które ją krępowały—był napół gotowy. Lecz były to słabą nicią połączone fragmenta nierównéj wartości. Niektóre epizody miały niezaprzeczone piękności, inne obok nich, słabsze, raziły. Potrzeba było przerabiać, uzupełniać, poprawiać—i poeta się zrażał.

Zwątpił wkońcu o sobie. Nie przynosząc nic nowego, nic doskonalszego, wartoż było się odzywać?...

Dumając nad poematem, nad warunkami tworzenia, nad kwestyami treści i formy, nad żywiołami, które powinny były w pewnych ilościach wchodzić do dzieła, mimowolnie zszedł Bojarski do zadań estetycznych, do okréślania piękna, do krytyki i do dziejów piśmiennictwa.

Rzucone na papiér myśli stworzyły kilka rozprawek, które samemu autorowi zdawały się nie bez pewnéj wartości. Długo się wahając, kogoby mógł zapytać o radę, czy je ogłosić lub nie, dał je naprzód do przeczytania Mulińcowi, prosząc go, aby nikomu o tém nie wspominał.

Cezar czytał prędko i niezwykł się był zbyt głęboko zatapiać w żaden przedmiot. Piérwsze

wrażenie dla niego stanowiło o sądzie... Przez jednę noc dość spory tom przeczytawszy z zajęciem wielkiém, Muliniec odniósł go nazajutrz.

— Przeczytałeś już?— spytał Bernard zdziwiony.

— Od deski do deski—rzekł, śmiejąc się, Cezar.—Już to samo mówi za twoją książką, że się od niéj oderwać trudno. Rzecz wyborna, poglądy śmiałe, ale...

— Słucham twojego ale—przerwał Bojarski—o nie mi najwięcéj chodzi.

— To „ale" zamyka się w jedném słowie—ciągnął daléj Muliniec. — Książką tą zyskać możesz wziętość i jako występ będzie ona bardzo świetną; ale sobie narobisz nieprzyjaciół we wszystkich obozach i będziesz miał wrogów, którzy ci prawdy wypowiedzianéj nie przebaczą nigdy. Jeżeli masz na celu w ten sposób drastyczny dać się poznać, narobisz wrzawy... jeżeli przygotowany jesteś stanąć do walki i chcesz ją wywołać, to bardzo dobrze...

— Na Boga! — podchwycił Bernard—nie miałem i nie mam tego zamiaru. Mówię co myślę, uważając to za obowiązek; sądzę według przekonań. Nie idzie mi o to, jakie wrażenie uczynię, ale czy prawdę ludzie uznać zechcą.

Muliniec patrzył na przyjaciela smutnie.

— Wistocie ci nie idzie o wrzawę?—zapytał.

— Idzie mi o to, aby w kwestyach spornych, niewyświetlonych, wywołać polemikę i pozyskać rozwiązanie...* o nic więcéj.

— Nie należysz do żadnego obozu, sąd twój jest surowy i bezstronny, nie oszczędzasz nikogo—dodał Muliniec — pozostaniesz więc sam ze swoją prawdą, a co żywe napadnie na ciebie.

— No to co?—odparł Bojarski. — Powtarzam ci, że osobiste względy na stronę odkładam wszystkie. Ale zda się to na co, czy nie?

— Niewątpliwie książka będzie czytaną, rozbiéraną i nie przejdzie bez korzyści dla ogółu, bez rozgłosu, tylko... ty padniesz ofiarą.

Bojarski się uśmiéchnął.

— Zdaje mi się, że się mylisz — rzekł.— W piérwszéj chwili mogą dotknięci w sobie lub swych bożyszczach piorunować, ale ochłoną potém i oddadzą mi sprawiedliwość. Jestem zresztą, zdaje mi się, dla geniuszów i talentów z poszanowaniem wielkiém.

— Pięknie z poszanowaniem! —rozśmiał się Muliniec.—Chwalisz, to prawda, ale wykazujesz ich słabe strony, a dla geniuszów i talentów żadna pochwała nie równoważy najdrobniejszéj, najsłabszéj nagany. Dosyć jednéj skazy, aby dyamentowi odebrać wartość—tak o sobie sądzą ci, co się mają za wielkich. Wady nawet ich potrzeba im rachować za przymioty i widzieć w nich

znamiona oryginalności, wskazówki nowych zwrotów, piękności dotąd nieznanych.

Bernard roztargniony przerzucał rękopis swój, który Muliniec położył na stole.

— Wartoż to drukować?—zapytał.

— Niéma wątpliwości, że ogłosić powinieneś; lecz nawet bezimiennie wydając, zostaniesz odkrytym i nie unikniesz prześladowania. Są w rozprawach zdania śmiałe, są twierdzenia przyjętym ogólnie przeciwne, są rzeczy, jedném słowem, bardzo drażliwe. Dla twojego spokoju wolałbym, ażeby książka w tece została; z innych względów życzę sobie, aby się ukazała conajrychléj.

Bojarski ciągle jeszcze przerzucał swój rękopis tak, jakby chciał z jego powierzchowności, z pomiętych przy czytaniu przez Mulińca kart odgadnąć, gdzie one szczególną jego zwróciły uwagę. Cezar chodził tymczasem po pokoju.

— Jeszcze jedno—dodał po namyśle.—Jest-to uwaga, którą natchnęła moja szczéra przyjaźń dla ciebie. Nie idzie tu o skutek, jaki książka mieć będzie dla literatury. W twojém położeniu niechęć literatów, polemika czysto naukowa może nie pozostać bez wpływu na życie prywatne i stosunki. Straciłeś miejsce u hrabiny Anny, które ja tobie zawdzięczam, przez miłość prawdy

nieugiętą; możesz książką tą narazić się ludziom i stracić lekcye, wywołać ostracyzm namiętny...

— Jakże możesz przypuścić — przerwał Bernard — ażeby literackie moje przekonania i poglądy mogły i oddziałać na stosunki prywatne? Jaki związek zachodzi między jednemi, a drugiemi?...

— Logicznego związku niéma — rozśmiał się Muliniec — ale na świecie i u ludzi nie to tylko się spełnia, co logiczne. Ludzie są namiętni, polemika przechodzi zwykle w prześladowanie. Miéj to na względzie.

Bojarski ruszył ramionami, radę tę lekceważąc. Poszedł tylko uścisnąć Mulińca, aby mu za ten dowód troskliwości o siebie podziękować, i wesoło zakończył rozmowę, nie wyjawiając, co postanowił.

Tak się rozstali. Bernardowi pośpiesznie ogłoszony sąd zdawał się nieco lekkomyślnym. Oceniał on trafność poglądów Mulińca, ale nie znajdował ich dosyć głębokiemi, aby nie potrzebowały potwierdzenia.

Zdało mu się właściwém pokazać jeszcze swe rozprawy profesorowi Żardyńskiemu. Poszedł z niemi do niego i zastał, jak zwykle, starca pożérającego łakomie jakąś nową książkę, która go rozgorączkowała, a milczącą żonę jego w oknie, z pończoszką, spoglądającą na małżonka, nad

którym czuwała, aby się do zbytku w pracy nie zatapiał.

Żardyński, kochający Bernarda jak syna, przyjął go z serdecznością wielką.

— Przyszedłem kochanemu panu—rzekł Bojarski, w ręku ukazując rękopis — nową pracę narzucić, a masz jéj i tak dosyć... Pani profesorowa—dodał, w rękę ją całując — będzie się gniewała na mnie.

Żardyński, niecierpliwy jak młodzik, już mu starał się wyrwać zwitek i oczy starego pałały ciekawością.

— Co to jest? mów!—wołał.

— Okrutna pańszczyzna i w dodatku rzecz pisana, która oczy zmęczy—rzekł Bernard.

— Ale ja widzę doskonale!—zawołał Żardyński—o to obawy niéma.

— Poprostu „oto są grzechy mojego żywota"—roześmiał się, siadając przy profesorze, Bojarski. — Napisałem coś, a nie wiem czy to się zdało na co, czy ma jaką wartość, czy mam się z tém popisać przed światem, czy nie. Przyszedłem zasięgnąć waszéj światłéj rady w tym względzie. Chciéjcie to przeczytać i ze szczérością ojca, z powolnością nauczyciela, powiedzieć mi zdanie swoje.

Żardyński pochwycił go w ramiona, objął i ściskał ze złami w oczach.

— Mój drogi Bernardzie—zawołał — czynisz mi cześć i przyjemność! Dawaj... wdzięczen ci jestem.

Po wymianie słów kilku, Bojarski odszedł, zostawiając rękopis. Ale ze starym profesorem nie poszło tak łatwo i prędko, jak z Mulińcem, który przez jednę noc połknął wszystko, a nazajutrz rano wyrok ferował. Bojarski, jakkolwiek mu pilno było posłyszéć Żardyńkiego zdanie, nie naglił o nie—czekał.

Upłynął tydzień, począł się drugi, a stary nie przychodził. Spotykali się na ulicy; sam Żardyński naówczas zagajał o rękopisie i dodawał:

— Daj mi się zastanowić dobrze. Przeczytałem dawno, ale odczytuję i myślę nad tém, co czytałem. Odniosę ci rękopis, gdy będę gotów.

Drugiego tedy tygodnia Żardyński nie wieczorem, jak zazwyczaj, ale po południu przyszedł do Bojarskiego, rękopis położył na stoliku i podparłszy się na lasce, medytował długo, nim rozpoczął.

— Książka—rzekł—napisana gorąco, narobi wrzawy niewątpliwie. Wrzawa w literaturze, obudzenie w niéj ruchu i życia, zawsze jest z pożytkiem dla ogółu. Już więc to samo, że twoje *opus* poruszy, mówi za niém. Ale w wielu miejscach zdajesz mi się parodoksalnym, może zaśmiałym, w innych zasurowym. Nie na wszystko

się zgodzę, choć wszystko z talentem pisane, starannie opracowane i dziś, gdyśmy zastygli, budzące do żywota... Nie spodziéwaj się jednak, aby książka przeszła bez opozycyi, bez krytyki, bez wywołania małéj wojny. Kilku nowych poetów sądzisz surowo, powiem sprawiedliwie, lecz jednych opromienia aureola poświęceń, blask cierpienia i niedoli, za drugimi mówi gorąca miłość dla kraju, targnąć się na nich nie można, nie narażając ogółowi, nie podając w podejrzenie.

— Są to względy podrzędne — rzekł Bojarski. — *Quandoquidem bonus dormitat Homerus*. Można być wielkim mistrzem i poetą, a niezawsze miéć natchnienie i zbłądzić samą gwałtownością uczucia.

— Uczucia nie rozumują — przerwał Żardyński. — Możesz miéć słuszność i tę ci za sto lat przyznają; ale za życia, jak świętokradca, zostaniesz potępionym.

— Muliniec mi już coś podobnego mówił i groził za moję zuchwałość—odparł Bernard—ale ja mam lepsze wyobrażenie o ogóle naszym, który potrafi rozróżnić sąd trzeźwy od złośliwéj napaści...

Żardyński coś mruczał.

— Książka jest bardzo dobra — rzekł—lecz czy przychodzi w porę—nie wiem...

— Jutro zestarzeje się i na nic się nie zda—

dodał Bojarski—a przyznam się profesorowi, że z obawy wilka w las nie iść, z obawy narażenia się prawdą nie głosić jéj — nazwałbym nikczemnością. Zawsze ktoś dla idei musi paść ofiarą—dokończył Bojarski.—Dlaczego jabym miał oszczędzać siebie?

— Wszystko to śliczne, heroiczne, i ja moję starą głowę skłaniam przed tobą — odezwał się Żardyński—ale dla świętego spokoju wolałbym, abyś guza nie szukał.

To naprzód wypowiedziawszy, Żardyński zwolna począł rozbiérać pojedyncze rozdziały rękopisu i idee zasadnicze w nim zawarte. Podnosił wysoko przenikliwość i trafność poglądów, piękność nawet formy nieszukaną, która wszędzie, gdzie autor goręcéj czuł to co pisał, przychodziła mu sama z siebie.

— Ani Michał Grabowski, ani Tyszyński ani potrafią lepiéj—zakończył — ani nawet Mochnacki. Przygotuj się tylko, jeśli ogłosisz swe rozprawy, bronić ich i wiele czasu zmarnować na opędzanie się napaściom.

Bojarski wysłuchał sądu cierpliwie, podziękował za niego staremu i obiecał zastanowić się jeszcze, czy książkę w świat ma puścić.

Profesor, tak samo jak Muliniec, wrazie gdyby wyjść miała, radził wydać bezimiennie, albo pod pseudonymem.

— Kochany ojcze — rozśmiał się, słysząc to, Bojarski — anonym nigdy nie zasłania pisarza, a świadczy o jego tchórzostwie. Pseudonym również jest według mnie uwłaczającym dla człowieka, co się pod nim kryje. Jest-to zawsze obawa, nieprzyznanie się do własnego dziecięcia. W bardzo niewielu wypadkach można go usprawiedliwić.

Na tém się skończyło, Żardyński zresztą nadzwyczaj gorąco się wyraził o zaletach dzieła i przyznał się Bojarskiemu wkońcu, że jakkolwiek wysokie miał wyobrażenie o jego zdolnościach, owoc ich przechodził jego nadzieje.

Muliniec i Żardyński obaj nie sądzili się obowiązanymi do zachowania tajemnicy o rękopiśmie. Profesor wspomniał o nim kilku znajomym literatom, Cezar pochwytał myśli śmielsze, które, jako wyjęte z niedrukowanego dzieła Bojarskiego, rozgłaszał i poddawał dyskusyi. W kółkach, które obchodziło piśmiennictwo, rozeszła się wieść o tém.

Bojarski, choć nierad był przedwczesnemu rozgłosowi, gdy go poczęto rozpytywać ciekawie, wedle swojego obyczaju kłamstwem i zaparciem ratować się nie myślał.

Jedyny ówczesny śmielszy nieco przedsiębiorca, który coś niby płacił za rękopisma, starał się

o nie i bardzo dobrze na tém wychodził, choć stękał i skarżył się, był właśnie w Warszawie.

On piérwszy uwierzył w to, że polska książka rozkupioną być może i że kraj ma tylu czytelników, by wydawnictwo niekosztowne zysk przynosiło. Po tych czasach, w których za drukowanie rękopisów autor płacić musiał, zmiana korzystna choć jakiéj takiéj płacy za pracę, łatwości ogłoszenia jéj, wydawała się niezmiernym postępem... Pan Teofil więc, choć skąpy, choć ostrożny, ze swemi wydawnictwami niepoprawnemi, na bibule, był owego czasu niemałą figurą.

W filialnéj jego księgarni warszawskiéj, rozprawiano o rękopiśmie Bojarskiego, a nakładca słuchał jednem uchem.

Nagle począł rozpytywać o niego i jednemu ze swoich szepnął, że radby się z nim poznać.

Ułatwiono zbliżenie się tak zręcznie, jakby ono wcale przygotowaném nie było, ale przypadkowém. Znajomy z Bojarskim literat coś mu powiedział o nowości, któréj jedyny egzemplarz był w magazynie pana Teofila.

Bernard ciekawy był ją przeczytać; obiecano mu to wyjednać, ale trzeba się było panu Teofilowi przedstawić.

Są w różnych zawodach ludzie istotnie fenomenalni, obdarzeni instynktem, umiejący nada-

wać ruch tym sferom, którym wykształceniem są obcy — rzeczom, których wartości ocenić nie potrafią. Znają oni jakieś niedostrzeżone dla innych znamiona, po których mogą wywróżyć przedsiębiorstwu powodzenie... Takim fenomenem był pan Teofil, jako wydawca. Książki, któréj nakładu miał się podjąć, nie czytał nigdy: patrzył na człowieka, na stosunki, na treść, na przygodną chwilę — i rzadko się zawiódł na tém, co miało być przyjętém dobrze, a przynajmniéj czytaném chciwie.

Przyjął on Bojarskiego bardzo grzecznie. Niby wypadkiem rozmowa skierowaną została na literaturę, na wydawnictwa.

Pan Teofil skarżyć się począł na oziębłość publiki, na straty jakie porobił na najlepszych książkach i najzdolniejszych pisarzach. W ten sposób zagajał on zawsze przy nowych znajomościach rozmowę na wszelki wypadek.

Bojarski słuchał ciekawie.

Zajnomość została zawiązaną. Pan Teofil prosił o małą przysługę, poddał sądowi młodego literata jakiś rękopism, który mu przyniesiono- Wywdzięczał się, pożyczając mu nowości. Nareszcie jednego dnia spytał znienacka:

— A pan tam nie ma czego w tece?

Nie zaprzeczał Bojarski, że cośby się może znalazło, ale nie chciał śpieszyć z ogłoszeniem,

Bardzo umiejętnie i zręcznie księgarz potrafił zyskać jego zaufanie i skłonić go do drukowania rozpraw.

Co do honoraryów, było to rzeczą powszechnie wiadomą, iż polscy pisarze do znacznych, istotnéj wartości pracy odpowiadających, prawa sobie rościć nie mogli. Książka się rozchodziła w małéj ilości egzemplarzy, była więc ofiarą, składaną na ołtarzu oświaty i postępu.

Bernard téż wcale na zyski wielkie nie liczył; kilkadziesiąt rubli książkami zdawało mu się znakomitą nagrodą. Rękopis rozpraw dostał się do rąk pana Teofila.

Rozprawy, na których stało nazwisko autora, miały wyjść w Wilnie, a na kontrakty kijowskie mogły być gotowe.

Powierzywszy pierworodnego swojego panu Teofilowi, Bernard w gorączce i niepokoju, który dla niego był nowym, oczekiwał ukazania się na świat dziécięcia...

Przewidywał, że wiele z jego powodu cierpieć może, ale, po ludzku—nie przewidział tego, co go najboleśniéj dotknąć miało.

Oszczędny pan Teofil żałował na korektorów i niezliczone omyłki wkradły się w tekst, często tam, gdzie wyraz zmieniony najdziwaczniéj przekręcał znaczenie myśli.

Gdy Bojarski, otrzymawszy piérwszy egzem-

plarz, siadł rozcinać go i czytać, trafił na próżnie, na omyłki poczwarne i rozpacz go ogarnęła. W piérwszéj chwili chciał ostatnim groszem wykupić obrzydliwe wydanie i spalić je. Rozchorował się. List do pana Teofila, błagania, wymówki, ledwie zdołały na nim wymódz dwie stronice sprostowań błędów druku. Ale któż sobie zadaje pracę poprawiania książki, nim ją czytać zacznie?

Całą tę rozkosz oglądania własnego dzieła w szacie, zapewniającéj mu ludzką tak zwaną nieśmiertelność, zepsuły te monstrualne eliminacye i błędy. Bojarski zżółkł, zbiédniał, uczuł się upokorzonym i przybitym.

Książka tymczasem poczęła krążyć z rąk do rąk i — jak przewidywano, zrobiła wrażenie wielkie.

Nie dopatrzono się luk w tekście, nie zważano na druk niedbały; pochwycono naprzód w rozprawach to, co w nich było najzuchwalszém, najśmielszém, najmniéj spodziéwaném, a najłatwiéj podległém krytyce.

Chwalono ogólnie, przyznawano talent, ale zarzucano autorowi zarozumiałość, targanie się na świętości, przypisywano mu cel tajemny, mogący cień rzucić na człowieka. W pismach, które się niekiedy zajmowały literaturą i sprawozdaniami, piérwsze wzmianki o rozprawach były suche, zi-

mne i jakby zastrzegające sobie sąd w przyszłości, którego wygłosić otwarcie nie mogły. Miało to znaczenie dwoiste.

Trochę późniéj, nie mówiąc o rozprawach, zjawiać się zaczęły urywane z nich twierdzenia, poddane najsurowszéj krytyce. Dla Bernarda jawném było, że one się do niego stosowały, lecz nie miał powodu polemizowania z niemi.

Wogóle zresztą powiedział sobie, że w początkach polemiki unikać powinien i pozostawić ją innym. Zdawało mu się, że znajdują się ludzie podzielający jego przekonania, którzy wystąpią w obronie. Ale liczba napadających była wielka, a obrońcy milczeli; ci zaś, co występowali na pozór pobłażliwiéj, umieli w ten sposób wskazać nowe tylko strony, przeciw którym polemika skierować się miała.

Bojarski cierpiał, bo nie był jeszcze do takiéj walki zahartowanym; kosztowało go milczenie. Raz wszedłszy w szranki, nie mógłby się już był cofnąć. Wszystkie skutki wystąpienia, przepowiadane mu przez Mulińca i Żardyńskiego, sprawdzały się. Bernard czuł zmianę w swém położeniu i stosunkach: obawiano go się, posądzano, usuwano potrosze i, jak każdy wybitniejszy nieco człowiek, narażonym był na najrozmaitsze tłumaczenia swego charakteru, słów i czynności.

Najmocniéj mu się to i najprzykrzéj uczuć da-

ło, gdy raz, po dłuższéj niebytności u hrab. Zygmuntowstwa, poszedł ich odwiédzić. Hrabina, która zawsze dla niego była uprzejmą i otwartą, przyjęła go chłodno jakoś, milcząco, nieufnie.

Mógł się domyślać, że krytyka poetów, którzy mieli w narodzie wziętość największą i zyskali cześć jego, kazała się domniemywać w Bernardzie nietylko sędziego dzieł pod względem sztuki, ale przeciwnika w przekonaniach, za kres jéj wychodzących. Sądzono, że Bojarski samo czyste źródło natchnienia pragnął zamącić.

Hrabina nie wspomniała gościowi o jego rozprawach, lecz on sam domyślać się mógł, że one tylko jedne usposobienie jéj dla niego zmienić zdołały.

Niezagadnięty, nie mógł się tłumaczyć. Rozmowa szła bardzo leniwo między nim a hrabiną, gdy sam gospodarz się ukazał i szorstko powitawszy Bernarda, niedługo czekając, otwarcie go o książkę zagadnął.

— Cóżeś to chciał? — zapytał go. — Szukać plam na słońcu, gdy my tego słońca tak skąpo mamy? ostudzić cześć dla geniuszu, gdy ona podnosi nas i uszlachetnia? Przyznam się wam, panie Bernardzie, tego po was anim się spodziéwał, ani mogę zrozumiéć celu waszego dzieła. Chciałeś chyba, przeciwko prądowi idąc, zyskać Herostratowską sławę?

Bojarski stał długo milczący.

— Wytłumaczyć mi się i uniewinnić trudno — odparł. — To pewna, iż celów, jakie mi przypisują, nie miałem, a skutków wystąpienia, choć mi je przepowiadano, nie przewidywałem. Zdawało mi się, że sumienna krytyka wszędzie i zawsze jest dopuszczalną i że ludzie nie zechcą w niéj widziéć nic więcéj nad to, co ona wypowiedziała. Przekonywam się teraz, iż omyliłem się i pokutuję za naiwność moję. Jeżeli co mi jest przykrém, to posądzenie mnie o cel skryty i chęć odjęcia geniuszowi czci, jaka mu się słusznie należy. Lecz geniusz jest że nieomylnym i może-li zawsze być sobą?

Hrabina, zajęta boleściwym tonem, z jakim to Bernard wypowiedział, zbliżyła się ku niemu.

— Jakżeś pan nie przewidział tego—rzekła— że są prawdy, które, wypowiedziane nie w porę, mogą być użyte za narzędzie przeciwko nam i że często milczenie bywa nakazaném?

— Tak, tego nie przewidziałem—wzdychając, odparł Bojarski—i za to pokutuję. Najboleśniejszém jest dla mnie, iż wytłumaczyć się nie będzie mi wolno, bo to, cobym na obronę swoję mógł powiedziéć, nie da się głośno i otwarcie wyrzec. Muszę milczéć i chodzić, okryty więcéj niż posądzeniem, bo potwarzą. Cała moja pociecha

w tém, iż ci, co mnie lepiéj znają, nie uwierzą, abym wistocie był winnym świętokradztwa.

Przed hrabiną i jéj mężem, pod wrażeniem boleści, Bojarski mógł się otwarcie wyspowiadać. Hr. Marya uwierzyła mu, hr. Zygmunt nie mógł darować omyłki.

— Są rzeczy, których u nas człowiekowi nie przebaczają — rzekł wkońcu — Do nich należy odstępstwo od ołtarzy, apostazya od czci tego, co się zachowuje w narodowym przybytku. Pod czysto artystycznym względem poddałeś krytyce dzieła ludzi, którzy, jako artyści, wyłącznie sądzonymi być nie mogą i sąd ten częściowy jest zawsze niesprawiedliwym. Trudno będzie poprawić błąd popełniony, bo w nim nieprzyjaciele nasi szukać będą własnych korzyści i zużytkują głos ten za sobą, przeciwko nam.

— Wszystko to dziś przyznaję — odparł Bojarski — niemniéj jednak czuję się niewinnym, choć może niezręcznym, bo prawda, zdaniem mojém, miła czy nie, korzystna czy szkodliwa, jako prawda jest rzeczą świętą i zawsze a wszędzie głosić się ją godzi. Zamilczeniem jéj świadczy się o słabości swojéj, odracza tylko to, co prędzéj lub później musi być wypowiedzianém.

— Przypomnij pan sobie Fontenella — przerwała hrabina — który powiadał, że gdyby miał

garść prawd pełną, nigdyby jéj nie otworzył i w świat ich nie puścił.

— Tak, pani—rzekł Bernard —pamiętam ten frazes Fontenella, ale jako Francuz, gotów był on zawsze samę prawdę dla dowcipnego ucinku poświęcić.

— Mój kochany panie Bojarski—dodał hrabia Zygmunt — piękną jest w tobie ta cześć prawdy i gotowość do męczeństwa dla niéj; lecz gotujesz sobie tym sposobem życie ciężkie, nieznośne. Wierz mi, że lepiéj ci wychodzą, co powtarzają: *ergo decipiatur*. Nie pochwalam téj zasady, ale z nią jest wygodniéj.

— Panie hrabio—odezwał się Bojarski—zdaje mi się, żeśmy życia nie wzięli dla szukania w niém wygód, ale mamy obowiązki i wyznaczoną cząstkę pracy, którą, bądźcobądź, spełnić powinniśmy. Samo poczucie się do tego wskazuje mi moje przeznaczenie...

Hrabina patrzyła na mówiącego z zajęciem i sympatyą. Rozpromieniony tém uczuciem swojego posłannictwa, Bernard piękniejszym, jakby natchnionym się wydawał; postać jego skromna ale wyrażająca siłę, obudzała poszanowanie.

— Wysoki i piękny cel założyłeś pan życiu swojemu—dodała gospodyni—żal mi tylko, że i sam i matka jego będziecie nieuchronnie ofiarami téj idei.

Na wspomnienie matki, Bernard pobladł.

— Masz dla staruszki obowiązki — dodała hrabina.—Jeśli nie oszczędzasz siebie, powinieneś ją oszczędzać.

— Lecz—przerwał Bojarski—nie sądzę abym tak zgrzészył wiele, by mnie już na osobie méj matki karać miano.

— Daj Boże, aby tak było—rzekł hrabia—no, i w każdym razie znajdziesz obrońców w tych, co cię lepiéj znają. Ale, wierz mi, niepodobieństwem jest oddzielić pisarza od człowieka.

Po tém piérwszém rozjaśnieniu sprawy, hrabiostwo oboje wrócili do dawnego sposobu obchodzenia się z Bernardem i on trochę się rozchmurzył. W rozmowie hr. Marya wspomniała o Mulińcu.

— Hr. Anna, kuzynka moja — rzekła — jest niewymownie z niego kontenta. Ja, com go parę razy spotkała u niéj, nie mogę mu odmówić wielkich towarzyskich przymiotów. Jest miły w obejściu się, pełen przebiegłości, umié się zastosować do ludzi i znaléźć właściwie; ale zawsze wołałabym pańską czasem szorstkość prawdomówną, niż jego sofisteryą. Szczególna rzecz: hrabina, wychowaniec, Francuz—wszyscy zarówno są z niego uszczęśliwieni.

— Jest to zdolny bardzo człowiek, a w gruncie też bardzo zacny—dokończył Bernard.

Uśmiéchnęła się gospodyni.

— Masz go pan za przyjaciela swego?— spytała.

— Jest nim, jak sądzę—odparł zdumiony zapytaniem Bernard.

— Co nie przeszkadza, że chórem za innymi przeciwko jego książce otwarcie się oświadcza i napada na nią.

Bojarski słuchał, milcząc.

— On piérwszy mi przepowiadał jéj skutek—rzekł—i nie mam mu za złe, że mimo przyjaźni dla mnie to głosi, co sądzi być i co dla niego jest prawdą.

— Powinienby jednak stawać w obronie—szepnęła hrabina.

— Zdaje mi się—przerwał Bojarski — że ja sam chyba, rozjaśniając myśl moję, o ile się to da uczynić, będę mógł rozproszyć skutki piérwszego wrażenia; ale to mnie wciąga w polemikę, która jest wielką stratą czasu i siły. Cóż robić? kto rozpoczął niebacznie, kończyć téż musi.

Rozstanie się z hrabiostwem tego wieczora już było tak serdeczne prawie, jak dawniéj. Oboje oni zrozumieli i uniewinnili Bernarda.

On wyszedł pocieszony od nich; ale teraz każdy dzień niemal przynosił mu jakąś troskę i dowód ludzkiéj złośliwości.

Zazdroszczono mu lekcyj licznych, o które się

dotąd dobijano; nieprzyjaciele skorzystali z rzuconego cienia na człowieka, aby niepopularnością jego właścicieli i właścicielki pensyj nastraszyć.

Zwolna zaczęto się usuwać od Bojarskiego, który dla siebie małąby do tego przywiązywał wagę, ale dla matki lękał się, aby zmniejszony dochód, zmuszający do oszczędności, nie przeraził jéj i nie wzbudził obawy na przyszłość.

Krył się więc przed nią z temi niepowodzeniami, nie zmieniając trybu i skali życia, w nadziei, że się to da naprawić i trwać nie będzie.

Kółko przyjaciół najbliższych stało dotąd przy nim wiernie, chociaż i wśród nich pewna zmiana tonu czuć się dawała.

Wszystko to Bernard stoicko i milcząco przyjmował.

Ci co mu piérwsi prorokowali skutki wydania rozpraw, Muliniec i Żardyński, nie opuszczali go. Rzadziéj zaczął tylko przychodzić profesor Larski, a Grochowski zdawał się poto tylko tu zjawiać, aby robić psychologiczne studya nad obżałowanym. Skórka wręcz i grubijańsko zarzucał Bojarskiemu zdradę. Według niego, poetów i wieszczów, do których on i siebie zaliczał, nikt sądzić nie miał prawa. Obwiniał Bojarskiego o świętokradzkie targnięcie się na przybytek.

Wierną pozostała Henryka Żabska, umysłem

wyższa nad wielu mężczyzn i równa prawdy bezwzględnéj czcicielka, jak Bojarski.

— Nie troszcz się pan o te hałasy — mówiła mu—a nadewszystko nie daj sobie narzucić milczenia, ani się onieśmielić. Należy walczyć i na nic nie zważać. Poważniejsze umysły stać będą po waszéj stronie.

Długo ważąc i rozmyślając co miał począć, Bojarski wkońcu na te zarzuty przeciwko sobie, w znaczniejszéj części nie drukowane, ale latające w powietrzu — zdecydował się odpowiedzićć nową seryą rozpraw.—Siadł do pisania.

Matka, która go dobrze znała, po wypalonych rumieńcach, po długich czuwaniach, po rozgorączkowaniu poznała, że pisał coś nowego, co go niezmiernie zaprzątało.

Nie śmiąc odwodzić go od pracy, czuwała tylko, aby powszedniego życia warunki czyniły ją jaknajmniéj ciężką i wyczerpującą. Stawiała mu niby przypadkowo pozostałe jedzenie i machinkę do kawy. Zrana, gdy zasypiał, chodziła na palcach.

Bojarski, wczasie takiego duchowego tworzenia, nie miał zwyczaju myślami dzielić się z nikim. Utrzymywał że należało bronić się od wszelkiego wpływu obcego i być jaknajbardziéj samym sobą. Muliniec, znający i przenikający ludzi, odgadywał co się w nim i z nim działo.

Nie pytał i nie badał przyjaciela, ale przypatrywał mu się ciekawie.

Był pewnym, że po ukończeniu téj nowéj pracy, Bojarski, jak piérwszą, odda mu ją pod sąd i radzić się go będzie. Omylił się w tém jednak: Bernard zrażonym był nieco. Jednemu staremu Żardyńskiemu chciał się zwierzyć i jego wrażeniem skontrolować swoje własne.

Czas jakiś upłynął i mimo, a raczéj właśnie dla wrzawy jaką wzbudziły rozprawy, piérwsze ich wydanie bardzo szybko się rozeszło.

List grzeczny pana Teofila oznajmił, że „chociaż znaczna liczba nierozprzedanych egzemplarzy była na składzie, uwzględniając to, że wistocie wydanie bardzo błędne było (nie z jego winy), gotów zrobić nowe, a nawet skromnie wynagrodzić za nie, gdyby autor parę rozpraw dodał nowych" i t. p.

W samę porę przychodziło to dla Bernarda, mógł bowiem i piérwsze poprawić i dorzucić do nich nowe, po których sobie obiecywał wiele.

Z autorstwem dzieje się, jak z nałogiem do picia. Dosyć jest począć od jednego kieliszka, aby on się stał niezbędnym, a po nim coraz ich więcéj. Dzielenie się to myślą z ogółem czytelników przeradza się w potrzebę, w konieczność.

Bojarski, raz skosztowawszy zakazanego owo-

cu, pragnął i łaknął. Cynik Piotruś wybadywał go zręcznie i śmiał się.

— Czego ty się kwasisz i zrzymasz?— mówił czasami.—Głupi ludzie chyba mogą ci wmawiać, że tém piérwszém wystąpieniem popsułeś sobie sprawę. Gdybyś umiał rachować i był filutem, ty prostoduchu, lepiéjbyś nie mógł rozpocząć. W pisaniu nie o to idzie, czy się głupstwo napisze, czy rzecz rozumną i doskonałą, ale o to, aby narobić hałasu i oczy zwrócić na siebie. Tego dopiąłeś! Vivat! Myślisz że to mała rzecz zmusić tych próżniaków ludzi, aby się czém zajęli, co im ani chleba, ani wody nie daje? To największa sztuka, a ty dokonałeś jéj, sam nie wiedząc jak. Wal-że teraz żelazo, póki gorące, bo zastygnie...

Na to mało zważał Bojarski i Piotrusia zdanie miał za wybryk humorystyczny.

Nowe rozprawy dostały się do przeczytania, *sub rosa*, profesorowi Żardyńskiemu, który zapowiedział, że je uważniéj jeszcze i dłużéj będzie studyował, niż piérwsze.

Z księgarzem nie było jeszcze umowy, tylko wstępne listy zamieniono. Bernard ani obiecywał, ani odrzucał propozycyi.

Jednego wieczora, gdy zmęczony po pracy w mieście i bieganiu za lekcyami, Bojarski powrócił do domu, matka czekała na niego przy ostygłym podwieczorku, poruszona jakaś i smu-

tna. Wciągu dnia była u niéj profesorowa Żardyńska, która zwykle dla zabawienia przyjaciółki z miasta jéj różne przynosiła historyjki.

— Proszę cię, Bernardku—po wstępnych kilku słowach przemówiła profesorowa — słyszałeś co o téj biédnéj Klarci? nic nie wiész?

— O Saskiéj?—przerwał zdumiony Bernard.— Słyszałem i widziałem tylko to co wszyscy, a bardzo dawno straciłem ją z oczu. Można było przewidziéć, że ją spotka to, co wszystkie słabe istoty, narażające się na niebezpieczeństwo. Wiem że została przyjaciółką jednego dyplomaty i zbytkiem a elegancyą gasiła swe współzawodniczki.

— Zatém nic nie wiész, mój drogi?—westchnęła staruszka—to tylko piérwsza część téj smutnéj historyi dziéwczęcia.

— Cóż się z nią stało?—podchwycił Bernard.

— Żardyńska mi powiadała, że biédna w balecie na scenie przed kilku miesiącami zwichnęła czy złamała nogę—dokończyła Bojarska.—Z początku zdawało się, że to za sobą żadnych nie pociągnie skutków, obiecywano wyzdrowienie. Tymczasem noga długo się nie dała wygoić, a teraz podobno uczyniła ją zupełnie niezdolną do pokazywania się na scenie. Biédna grzésznica wczasie długiéj słabości zmizerniała, zbrzydła, zamęczyła się, niecierpliwiąc. Dyplomata podobno

wyjechał za granicę i czy powróci, niewiadomo, a w każdym razie zerwał stosunki i z pomocą jéj nie przychodzi. Nie umiejąc oszczędzać, Klarcia miała już stracić prawie wszystko, posprzedawać co tylko było kosztowniejszego i rozpacza, nie wiedząc co począć z sobą. Co za los nieszczęśliwy!...

Bojarskiemu ścisnęło się naprzód, potém gwałtownie uderzyło serce. W duszy powiedział sobie, że teraz właśnie czas biédną obłąkaną sprowadzić na drogę prawą. Nie byłoż to obowiązkiem przyjaciela?

KONIEC TOMU PIERWSZEGO.